Z tym wydaniem
KALENDARZ ŚCIENNY NA 2019 ROK GRATIS!

WOLTA PROF. STANISZKIS
ZDRADZIŁA PRAWICĘ CZY TO PiS SIĘ ZMIENIŁO



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 49 (314) 2018
3–9 grudnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

ZA KULISAMI SKANDALU

PANIE TRUMP, KOGO PAN NAM PRZYSŁAŁ?

EMBASSY OF THE
UNITED STATES OF AMERICA
WARSAW, POLAND

November 19, 2018

Morawiecki:

to express my deep concern over recent allegations made by members of
overnment against journalists and the management of TVN and Discovery
n investigative story that TVN24 broadcast on "Superwizjer" in January
t the activities of neo-Nazis in Poland. As you may have seen, Minister
Brudziński and a Law and Justice Party member in the Sejm have publicly
(via Twitter) TVN of staging the Hitler birthday party depicted in
. It is astonishing that these public figures would attack journalis
g the functions of an independent media in Poland's vibrant demo
tand that following the initial broadcast, Polish law-enforcement
ned actions against members of the extremist group that organized
ffling that members of the government now appear more interested
ot on the motives of the journalists and attempting to associate TV

he U.S. government stands firmly with Poland and the world agai
extremism espoused by individuals and groups glorifying Hitler an
ppreciate the many sacrifices Poland made during WWII. It is equally important
that as we look to the future, the United States and Poland make clear that we join
support media freedom and freedom of speech, the cornerstones of democracy. I hope
that members of your government will refrain from attacking, let alone prosecuting,
independent journalists, who articulate public interests and strengthen our societies.

Sincerely,

Georgette Mosbacher

Georgette Mosbacher

Cc: President Andrzej Duda
Minister Brudziński, Minister of Inter

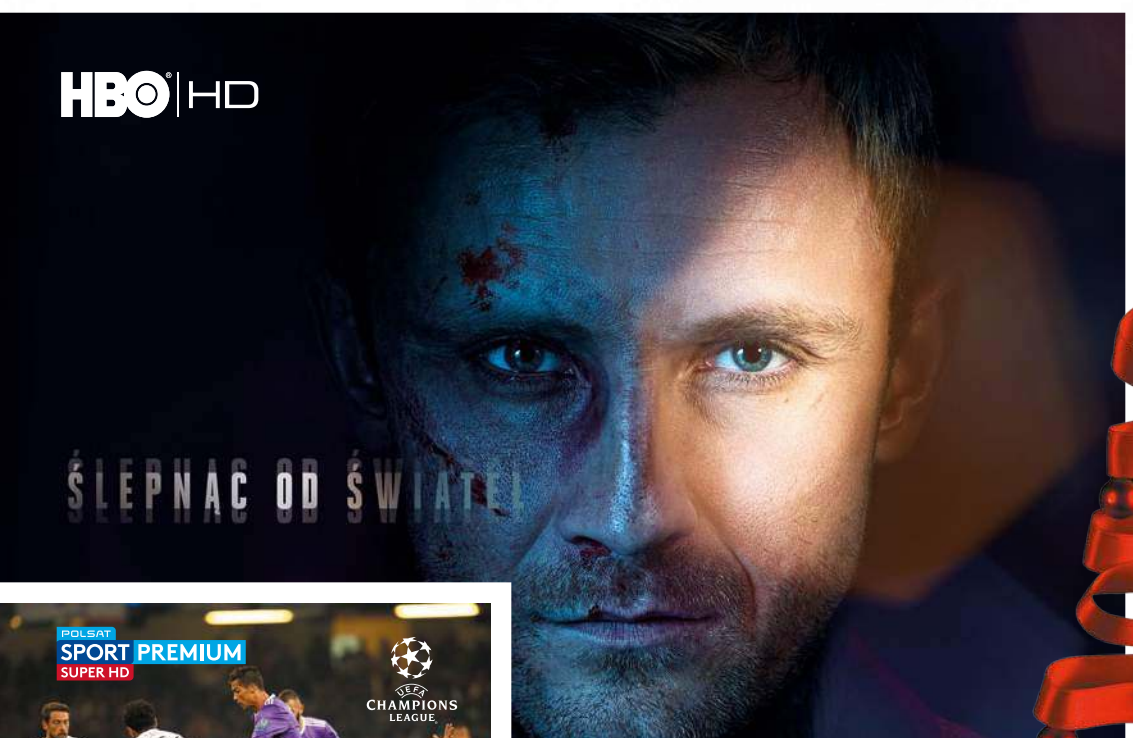
His Excellency
Mr. Mateusz Morawiecki,
Prime Minister,
of the Republic of Poland.

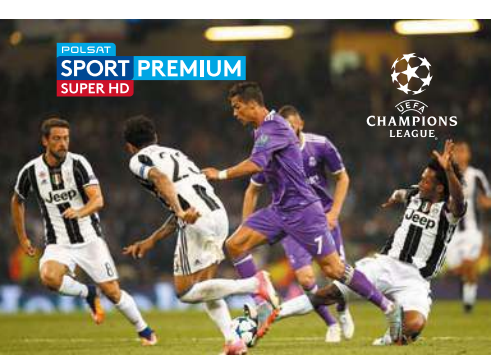
W KILKADZIESIĄT GODZIN AMBASADOR USA GEORGETTE MOSBACHER ZRAZIŁA DO SIEBIE PÓŁ POLSKI. CO NIĄ KIERUJE? W CO I Z KIM GRA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
49
9 772544 269809

CYFROWY POLSAT

Świąteczne promocje!
Telewizja na start
6 miesięcy bez opłat!











Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Ślepnąc od świateł" © HBO Europe s.r.o. 2018. „Legion samobójców" © 2016 Warner Bros. Entertainment Inc. and RatPac Entertainment, LLC. „Lego Ninjago" I LEGO the LEGO logo and the Minifigure are trademarks of the LEGO Group © 2011. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl ed099b4aa6

Niemcy niczego się nie nauczyły

Jeśli spojrzeć na mapę Europy, to tylko jeden kraj czuje się naprawdę komfortowo w unijnych ramach – Niemcy. Oto wzorowy pracownik i demokrata. Wszyscy inni cokolwiek znaczący stawiani są pod pręgierzem. Włosi, odchodzący Brytyjczycy, Węgrzy, Polacy, Grecy itd. I nawet Francuzi, tak łatwo oczarowani półtora roku temu przez liberalnego populistę Macrona, oddają się bijatykom. Przypomnijmy, jak bardzo unijny pociąg miał przyspieszyć po zmianie w Paryżu. Jedyne, co ruszyło, to procesy gnilne.

Jednym z tego przejawów jest zapowiedź kanclerz Merkel, że „państwa narodowe powinny być gotowe do oddania suwerenności". Odłóżmy na chwilę brak moralnego prawa do formułowania tego typu wezwań przez kogokolwiek, a już zwłaszcza kanclerz Niemiec. Czy tak ustawiony projekt europejski może być skuteczny? W perspektywie krótkoterminowej – możliwe. Być może da się chwycić na chwilę wszystkich za twarz. Ale co dalej? Ileż to już razy głoszono koniec narodów i państw. Każda taka próba kończyła się tragicznie.

Tak będzie i teraz. Tylko Unia Europejska szanująca suwerenność każdego państwa, pozostająca dobrowolną wspólnotą negocjacji, może przetrwać.

Niemcy nic nie zrozumiały ze swojej historii, niczego się nie nauczyły. Nadal po osiągnięciu przewagi nie potrafią się zatrzymać i chcą totalnej dominacji, co w efekcie sprowadza na ich projekty klęskę. Teraz ta pycha niszczy Unię.

Michał Karnowski

Nie ma świętych krów

Słynne „urodziny Hitlera", które stacja TVN zaprezentowała światu na początku roku, nie były zwykłym reportażem, załóżmy nawet, że wcieleniowym. W kontekście ataków na Polskę miało to być pośrednie, choć czytelne, potwierdzenie, że nad Wisłą zalęgło się brunatne zło: otwarcie nazistowskie w śląskim lesie i bardzo podejrzane w Warszawie, w rządzie i w Sejmie. Każdy, kto choć trochę rozumie naszą sytuację, wie, że tego typu materiały mają siłę rażenia bomby atomowej. To nie są niewinne reportażyki z życia zagubionej młodzieży na prowincji.

Już wówczas, w styczniu, wiele osób zwracało uwagę na zdumiewającą teatralność owych „urodzin", kuriozalnie obchodzonych w maju. Jeden z publicystów słusznie przywołał w tym kontekście brytyjski serial „Allo, Allo". Na kilometr pachniało pastiszem. Ujawnione przez portal wPolityce.pl zeznania głównego oskarżonego sprawiły, że wątpliwości jest jeszcze więcej. Mówi on o tajemniczych osobach wręczających duże kwoty pieniędzy i o konkretnych życzeniach nieznanych zleceniodawców.

To wszystko sprawia, że tej sprawy nie można zostawić bez wyjaśnienia. Ani ostentacyjne nagrody dla autorów reportażu, ani bezceremonialna interwencja władz amerykańskich nie zwalniają niezależnych dziennikarzy od stawiania pytań. Potężna i bogata TVN podlega takiej samej ocenie i krytyce, jak inne media. A jeśli pojawia się zarzut manipulacji w sprawie w istocie gardłowej, to również instytucje publiczne mają prawo domagania się wyjaśnień. Pani Mosbacher nie jest w stanie tego zmienić.

Jacek Karnowski



Fot. Julia Szewczyk

eprasa.pl ed099b4aa6

SIECI spis treści



39 *Grube kreski Jadwigi Staniszkis*
Maja Narbutt



47 Jaślanka, która podbiła Europę
Jaromir Kwiatkowski



57-66 Polacy, którzy zmienili świat
odc. 10

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PRALKA W GARDLE**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **WYBITNI LAUREACI TP**
Jan Pietrzak

15 **PO CO WAŁĘSA**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **FIRMA W SPADKU**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **DWÓJA Z DYPLOMACJI**
Marek Pyza, Marcin Wikło

26 **PO PIERWSZE – BIZNES, PO DRUGIE – PRZYJAŹŃ**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

30 **ODWRÓT Z PLACU KRASIŃSKICH**
Jan Rokita

34 **WYKOPKI LIDERÓW**
Stanisław Janecki

39 **GRUBE KRESKI JADWIGI STANISZKIS**
Maja Narbutt

44 **NIEBEZPIECZNA GRA**
Stanisław Żaryn

47 **JAŚLANKA, KTÓRA PODBIŁA EUROPĘ**
Jaromir Kwiatkowski

50 **POLSKA DROGA CZY FRANCUSKIE BEZDROŻA**
Bernard Margueritte

53 **Z MARKIEM GRABOWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

SIECI KULTURY

67 **ŚWIĘTY MIKOŁAJ BIERZE SIĘ Z POTRZEBY**
Jolanta Gajda-Zadworna

71 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **PENDERECKI: TALENT, ENERGIA, SZCZĘŚCIE**
Adam Ciesielski

73 **BERTOLUCCI: MARZYCIEL I IDEALISTA**
Łukasz Adamski

74 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

76 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

78 **WOJNA KULTUROWA W KOŚCIELE KATOLICKIM**
Grzegorz Górny

HISTORIA

82 **KULISY DEBATY MIODOWICZ–WAŁĘSA**
Grzegorz Majchrzak

86 **Z MAGDALENĄ GAWIN**
rozmawia Grzegorz Górny

ŚWIAT

88 **W CIENIU KRYMSKIEGO MOSTU**
Piotr Skwieciński

92 **BUNT WE FRANCUSKICH TROPIKACH**
Tadeusz Brzozowski

GOSPODARKA

94 **GDY LISY PILNUJĄ KURNIKA**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: IWONA CICHOSZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **PROPORCZYKI NA BIURKACH**
Piotr Skwieciński

105 **JEGO DOM PODPALILI NIEMCY**
Maciej Pawlicki

106 **NIE Z NAMI TE NUMERY**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **PALĘ PARYŻ**
Aleksander Nalaskowski

109 **SURFER BALCEROWICZ**
Wiktor Świetlik

110 **EUFONIE I NOWE OBLICZE WSPÓŁCZESNEJ DUCHOWOŚCI**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **KASTA SIĘ OCZYSZCZA**
Ryszard Makowski

113 **PODCHODZI KU NAM GRUDZIEŃ…**
Leszek Długosz

114 **WŁADCA ZIEMI?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

39/1018/F

eprasa.pl ed099b4aa6

PGE

Zapewniamy energię

Oszczędzaj z rabatem na urządzenia AGD z grupy Whirlpool w PGE eSklep

Wybierz ofertę na prąd od PGE i odbierz rabat na energooszczędne urządzenia AGD z grupy Whirlpool.

Poczuj oszczędności, które płyną z prądem.



Jesteś klientem PGE?

Korzystaj z kuponów rabatowych i oszczędzaj nawet 50% podczas zakupów w sieciach popularnych sklepów. Kupony dostępne na PGE eSklep lub PGE eBOK.

Wejdź na sklep.gkpge.pl

422 222 222

O szczegóły zapytaj konsultanta w Biurze Obsługi Klienta. Infolinii PGE lub sprawdź w regulaminie na www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl ed099b4aa6



Sygnalista nadaje

Sprawa tzw. urodzin Hitlera przyniosła nam jednak nie tylko kompromitację pani ambasador, lecz także ciekawy wist nadwiślańskich narodowców, którzy zaczęli bronić TVN. Gorąco przekonują, że stacja jest niewinna, a jeśli ktoś coś inscenizował, to na pewno jakieś służby specjalne. Zabrzmiało wyjątkowo fałszywie, zwłaszcza w kontekście ciągłych ataków na PiS za rzekomą ustępliwość wobec możnych tego świata. Bo jeśli ktoś chce się bić nieustępliwie z obcymi potęgami, to niech najpierw pokaże cojones wobec krajowych aligatorów.

Tymczasem Angela Merkel uważa, że to wszystko, czyli te kilkaset, może nawet tysiąc lat europejskiej historii, było bez sensu. „Państwa narodowe powinny być gotowe do oddania suwerenności" – orzekła słabnąca kanclerz, dodając do tego iście rewolucyjną myśl, że „naród stanowią ludzie, którzy na stałe żyją w danym kraju, a nie grupa, która ich jako naród definiuje". Cóż, poczekamy, aż Niemcy się samorozwiążą. Zobaczymy, co z tego wyniknie, i pomyślimy, co dalej.

Na konferencji obok Angeli Merkel wystąpił Bronisław Komorowski, ale nie powiedział niczego istotnego. Nie było Radosława Sikorskiego i chyba dlatego Merkel musiała osobiście wzywać do likwidacji państw narodowych. Do tego nie mogła otwarcie mówić o konsekwencjach tego procesu, czyli o pełnej dominacji Niemiec. A Sikorski w 2011 r., w czasie słynnego „hołdu berlińskiego", tego nie ukrywał, stwierdzając: „Mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności".

Wygląda na to, że Georgette Mosbacher uznała, iż woli być przyjacielem i obrońcą TVN niż ambasadorem USA w Polsce. Bo takie historie kończą się dla dyplomatów celebrytów zawsze tak samo – odwołaniem. Wcześniej czy później. Właśnie teraz żegna się z Polską Anna Azari, która w imieniu Izraela kilkukrotnie łajała nasz kraj. Teoretycznie jedynie realizowała instrukcje, ale to niewiele zmienia, bo przecież ktoś musi zapłacić za nowe otwarcie.

W Polsce były szef KNF stał się Markiem Ch., czyli człowiekiem z zarzutami. Co ważne, postawiono mu zarzut przekroczenia uprawnień, a nie korupcji. Cóż za filmowy los – jeszcze kilkanaście dni temu Singapur, świetne restauracje, high life, wszystko, co najlepsze, a dziś cela w areszcie. Może trochę posiedzieć, bo tu chodzi także o lekcję dla całego obozu rządzącego – jeśli zejdziesz na manowce, nie licz na naszą solidarność. Czyli opozycja nie ma racji, to nie jest żadna mafia. Mafia swoich broni do końca.

Marek Ch. w rozmowie z ***Czarneckim*** chwalił się, że jego bezpieczeństwa strzegą „szumidła". Jak się okazuje, nie chodziło mu jednak o system chroniący przed nagrywaniem (czy w ogóle są takie systemy?), ale o wydającą szumiący dźwięk niewielką skrzyneczkę – owe szumidło – w której rozmówcy złożyli swoje telefony komórkowe. Trzech mikrofonów Czarneckiego nie zakłócało więc nic. Może nie jest prawdą, że zadziałał tylko jeden?

Najciekawsze pytanie brzmi: co dalej z bankami Czarneckiego? Na razie dostały ładnych parę miliardów pożyczki z NBP, ale tylko na trzy miesiące. W lutym problem wróci. Gdyby nie taśma rzucona na stół przez biznesmena, tracące płynność przedsięwzięcia przejęłoby państwo za ową złotówkę, ale po taśmach chwilowo „nie wypada". Jedno jest pewne: banki nie mogą upaść, bo jest w nich 60 mld,

eprasa.pl ed099b4aa6

a w Bankowym Funduszu Gwarancyjnym ledwie kilkanaście.

Czarnecki zarobił miliardy na sprzedaży Polakom różnych mało ciekawych produktów finansowych. Dziennikarz Jacek Łęski tak opisał ich jakość: „Te polisy można do świń porównać. O ile z tych zachodnich firm, które wprowadzały te produkty na polski rynek, to są świnie holenderskie, trochę wymyte. Te oferowane np. przez firmy Czarneckiego to są najbardziej chamskie świnie, śmierdzące, prosto z gnoju". Metafora i trafna, i szersza, niż można sądzić.



Z komisji śledczej badającej aferę VAT odwołano ***Marka Jakubiaka*** – człowieka, który o potrzebie powołania takiego ciała mówił jako jeden z pierwszych i który tę komisję w sumie wychodził. Musiał jednak odejść, bo wcześniej odszedł z klubu Kukiz '15 i myśli nad własną drogą. A Paweł Kukiz, jak wiadomo, ogólnie brzydzi się partyjniactwem, ocenia ludzi wyłącznie po kompetencjach, a zemsta jest mu obca, ale w wypadku Jakubiaka zrobił wyjątek.



W polityce zdarza się jednak i wdzięczność. Kardynał Kazimierz Nycz podczas mszy św. w intencji Hanny Gronkiewicz-Waltz nie mógł się nachwalić odchodzącej prezydent stolicy: „Pani prezydent zawsze była zaprzyjaźniona z Panem Bogiem i Kościołem". Dorzucił też tajemniczo, choć i nieco niejasno, wzmiankę o budowie „już tu, na ziemi, Królestwa Bożego", w kontekście sugerującym, że chodzi mu właśnie o HGW. Internauci skomentowali wydarzenie pytaniem: czy na mszę św. zaproszono córkę śp. Jolanty Brzeskiej?



Tymczasem ***następca Gronkiewicz-Waltz*** już realizuje obietnice. Będą podwyżki, ale cen biletów, a nie nauczycielskich pensji. Zaprezentowano również projekt ożywienia terenów wokół Pałacu Kultury, który sprowadza się do posadzenia paru drzew i zasiania trawników. Na wizualizacji widać także unoszącą się w powietrzu wielką świnię (to nie żart). Można powiedzieć: to jest świnia na miarę biznesowych możliwości ekipy, która nadal rządzi w stolicy.



Opozycję wciąż boli utrata Śląska. ***Stefan Niesiołowski***, tak jak wszystkie jego koleżanki i wszyscy koledzy, także zaatakował radnego Wojciecha Kałużę: „To jest odrażająca korupcja polityczna. W mediach były całe finansowe argumenty. Pensja, samochód, też może jakaś blondynka z opuchniętymi ustami". Takie to stawki mają w tej PO. Na dole, bo wyżej to chyba liczy się jak w Rosji w całych sektorach do prywatyzacji albo do złupienia.

Na zaproszenie PFN Polskę odwiedził Steve Wozniak, amerykański inżynier i wynalazca polskiego pochodzenia, konstruktor komputerów Apple I oraz Apple II. Gdy już zeszli się goście, nieco zblazowany człowiek sukcesu pytał głośno: „Który to jest ten Mateusz?", mając na myśli oczywiście premiera Morawieckiego. Ale w sumie był bardzo miły i nawet koszmarna kuchnia fusion (największe oszustwo kulinarne w dziejach świata) nie zepsuła atmosfery.

Ksiądz Daniel Wachowiak, popularny w mediach społecznościowych poznański kapłan, który nie bał się mówić prawdy w lewackim Poznaniu, został zesłany do niewielkiej parafii Piłka, położonej na prawdziwych peryferiach archidiecezji poznańskiej, w Puszczy Noteckiej. Sam ksiądz nie narzeka, cieszy się z tego awansu (wcześniej był wikarym, teraz jest proboszczem), ale zauważa, że listopad to nietypowy czas na takie przenosiny. Zastanawia się też, dlaczego „Wyborcza" tak bardzo cieszy się z jego „zesłania". Cóż, ludzie „GW" wiedzą, ile może zdziałać nawet jeden mocno wierzący ksiądz.

Z perspektywy hierarchii sprawa wygląda nieco inaczej. Usłyszeliśmy taką oto wersję: „To ksiądz inteligentny, ale zapatrzony w siebie. Wikariuszostwo w Piłce to kolejna już próba wprowadzenia go w rzeczywistość. To mała parafia, w której sam będzie musiał zadbać o siebie, włącznie z kupnem węgla i paleniem w piecu". A więc nie chodzi o poglądy, ale o kwestie osobowościowe. Może i prawda, tylko dlaczego księża lewicowi, także ci obrażający hierarchów, wciąż siedzą po miastach?

Aleksandra Jakubowska postawiła na łamach portalu wPolityce.pl pytanie, czy Włodzimierz Czarzasty stracił kontrolę nad swoją partią. Szef SLD odpowiedział niełądnie, sugerując, że pani Aleksandra „jest osobą, która nie wytrzymuje nerwowo ze swoim życiem". Publicystka odpowiedziała ostrzeżeniem: „Jeśli Czarzasty mówi, że mnie zna od lat, to powinien wiedzieć, że mam pamięć jak słoń i że jeśli się słonia uderzy, to kiedyś się »odwdzięczy«. Zatem radziłabym, żeby w przyszłości powstrzymał się od podobnych ataków z argumentami poniżej pasa". Żeby potem nikt nie mówił, że nie było ostrzeżenia.

Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk (x2)

eprasa.pl ed099b4aa6

Pralka w gardle



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wysoki Siądzie... Niski niech lepiej też siądzie! Do ciebie mówiem, Jarosław, siadaj, bo ja mogem ci jeszcze dołożyć... A więc od porządku: nie chcem, ale muszem przypomnieć Wysokiemu Sędziowi, że imnię moje brzmi: Lech, a nazwisko – Wałensa. Przez „ą", jak już mnie pany notuje, szanowna pany. Tak, do pany mówiem, co tam teraz pany stuka i mnie troszkie przeszkadza. Ale trudno.

Wyskoki Swądzie, znowu mnie nie posłuchaly, bo mówiłem wyraźnie, jak Danucie na Wieży Ajfela – żeby siem nie wychylaly. Na razie tylko tyle żem powiedział, że Kaczyński kazał lądować, a mogiem jeszcze dodać, że to jest wszystko najświentsza prawda. Mnie o tym esbeki mówily jeszcze w siedemdziesiątym szóstym roku, jak żeśmy się żegnaly. To ja im mówiem: „Dlaczego mnie odsyłacie, z czego ja teraz praleczkę spłacę, jak mi się totolotek urwie?". A one na to: „Spokojnie, panie Bolku, to jest, panie Tewu, my siem jeszcze po pana zgłosimy...". Parę lat minęło, Danuśka siem na szczęśliwe rodziny gapiła i nagle wrzeszczy: „Chodź, stary, zobacz, jakie jaja jak berety!". Biegnem do okna, a tam na podwórku motorówka stoi. „Do kogo?!" – wołam. Kierowca nic, tylko mnie taki gest pokazał, jak się psa woła. Wsiadłem, bramę przeskoczylim i tak żem komunę obalył. Potem było jakieś internowanko, niech mnie Wysoki nie pyta, czym myśmy wtedy kaca leczyly, bo kaca to trzeba najpierw mnieć. Tak siem po prostu z komunistami walczyło, że Mnietek, taki mój kolega od kapci, to siem nawet śmiał potem, że gdyby przypowieści z tysiąca i jednej nocy mnieli w Arłamowie kręcić, to i tak flaszka dziennie by pękła.

Więcej nie powiem, bo jak nie chcem, to nie muszem. Skończyli się czasy, gdy Kyszczak tylko szafy dokupywał. Bardzo mnie ten Czesiek zawiódł, ale trzeba przyznać, że pałować umnial. Mnie to siem nawet podobało, mówiłem kilka lat temu, że chętnie bym takiemi pałami związkowców poczęstował, jak im się protestować zachciało. W ogóle co to jest za zwyczaj, żeby prezydent stał na czele Solydarności? To znaczy – ja wiem, że to nie ten Duda, no ale jednak, Wysokie Siądzie, czy to jest demokracja? O, ten tutaj, do pana mówię, o Matko Boska w klapie przekrzywiona, po co ja żem pana w ogóle znał? On mnie zarzuca, że kłamstwo, a sam co po godzinach robi? Patrzem ostatnio na interneta, a tam wszędzie wywiady: Jarosław Kaczyński to, Jarosław Kaczyński tamto. I to nawet sensownie mówił: że PiS-u nie cierpi i takie tam podstawy. Ale patrzę na zdjęcie i mówiem Danuśce: „Patrz, jak się zamkamuflował, gembe zmienił i teraz ryje sam pod sobą". A potem siem okazuje, że to nie ten Jarosław, tylko jakiś ze zbieżnościom nazwisk. No ludzie kochani, to może teraz wszyscy siem nazwijmy Jarosław Kaczyński? Wysoki Siądzie, można było go po prostu przez okno wyrzucić, jak planowałem niedawno na drodze refrendendum. Potem mnie przeszło, ale aresztować to bym mógł natychmiast. Byle szybko, póki jeszcze w tej Unii jesteśmy... Nie śmiej się, pisodziadu, bo żebyś się nie śmiał po raz ostatni. Sam prosiłem, żeby nas wywalyly. Jeszcze nie odpowiedzieli, bo mnie w domu nie było, a ten skurier to Danuśce już niczego nie zostawi od czasu, jak chciała Nobela podpieprzyć. „Zostaw to – mówię do niej – kobieto, bo to jest pokojowy, czyli musi stać w pokoju, a jak ty go na bibloteczce postawisz, to bendzie, że lyteracki!". Ale co ona rozumie, jak jednom książkie wydała i już fryzurę zadarła? Z babami tak bywa, niech siem Wysoka Sędzina nie gniewa, bo ja wiem, że koszulkie mamy takie same z napysem. Zawsze zapomnem przeczytać, zanim założę, sąsiad mnie ostatnio powiedział, że tu jest „Kasta Tuska" napisane, czy jakoś tak, ale czy to by było możliwe w Europie?

Nawet myślałem, żeby u tego Mika Dżendera z Rolnik Stonków interweniować. Mam tu nawet kawałek listu, to Wysoka pozwoly, że nadmienię: „Szanowny panie Dżenderu, w pierwszych słowach mego emalia nie chcem, ale muszem panu podziękować, że siem pan tak pięknie włączył w naszom walkę. Bo nie o take Polske myśmy z Mnietkiem walczyli. Proszem pana, to wszystko było już poukładane. Macierewicze, Cenckiewycze, Gontarczyki i Zyzaky – won. Kaczyńskie, Brudzińskie i Błaszczaky – też won, ale przez okno. Związkowcy z „Solidarności" – pod pały. A ja z Mnietkiem albo Danuśkom – pod palmy, zdjęcia robić. To siem nie udało, ponieważ mnie nie słuchaly. Mówiłem: dajcie miliona ludzi, to mnie Gasiuk-Pechowicz mówi, że nikogo nie ma, bo Ruskie Mundial zrobily. No ludzie złoci, tak siem demokracji nie zaprowadzi. Pan tego nie zrozumiesz, bo Rolnikom Stonkom to się raczej kamnienie toczą, a nie procesy lustracyjne". Podpisano: „Te..., „wu..., „ój... Wałąsa".

Potem chciałem broń do Warszawy przywieźć, żeby tych kodzierastów nie tylko w cierpliwość uzbroić, to mnie policja straszy, że ja straszę. A co ja, jakiś niepoczytny jestem, żeby mnie resztek uzbrojenia pozbawiać? Jak przyjdą o 6.00 rano, to czym ja ich poczęstuję? I takie nieporozumnienia mam ciągle. Albo z tymi matkami niepełnosprawnych w Sejmie, co siem w politykie bawić zaczęły. Mniałem akurat spotkanie z fanami w Puławach, to podjechałem. A one mówiom, że matareca dla mnie majom. „Kochanieńkie, no przepraszam, czy ja na basen jadem, czy na prelekcję?".

A teraz wnoszem o przerwę. Muszem siem napić, żeby mnie ta tabletka, jak praleczka, w gardle nie stanęła...

eprasa.pl ed099b4aa6

Wulgarny atak „Wprost” na Jarosława Kaczyńskiego

Pękający od reklam spółek skarbu państwa tygodnik „Wprost” kolejny raz przekracza granicę przyzwoitości. Można zrozumieć krytykę, nawet najostrzejszą, ale język, jakim opowiada się w tym piśmie o Jarosławie Kaczyńskim, zasmuca

Oto stała autorka tygodnika – skrajnie lewicowa publicystka Ewa Wanat – przypuszcza brutalny i wulgarny atak na prezesa Prawa i Sprawiedliwości.

Wanat wychodzi od informacji, że jedynie 2 proc. uczniów w ostatnim roku nauki potrafi bezbłędnie zinterpretować tekst i użyć do tego logicznej argumentacji. Dla „Wprost” to tylko pretekst do uderzenia w lidera PiS:

„Jarosław Kaczyński najwyraźniej też ten raport przeczytał i zaciera dłonie. Marzenie każdego satrapy – rządzić ludźmi nieumiejącymi samodzielnie i krytycznie myśleć. A Kaczyński, jak wielu podobnych przywódców cierpiących na urojenia wielkościowe, ma ambicję stworzyć nowe społeczeństwo zgodne z jego wyobrażeniem. Do tego potrzebne są dwie rzeczy – słaba edukacja i nowe elity. Stare elity nie chcą być posłuszne. A narodem niezbyt oświeconym łatwo jest manipulować”.

Jak widać – czysty bełkot, ale też naruszenie godności osoby ludzkiej. W jaki sposób to Kaczyński, a nie np. Tusk, odpowiada za stan systemu edukacji, która jest wciąż wytworem III RP? Skąd Wanat wie, że prezes PiS zaciera ręce na wieść o takich danych? Nawet jeśli przyjąć, że to tylko felieton, to on też ma jakieś granice logiki.

Ale nie o to tu chodzi, by być logicznym. Bo kolejny wątek podjęty przez Wanat to wiek prezesa PiS:

„Kiedy się dobiega siedemdziesiątki i chce się jeszcze posmakować statusu zbawcy narodu, trzeba zbawiać go jak najszybciej, a nie rozdzielać włos na czworo”.

Specjalną uwagę korzystająca z niemieckich funduszy Wanat poświęca też – jak stwierdza – „małżeństwu państwa Przyłębskich”. I znowu – ataki na prezes Trybunału Konstytucyjnego sędzię Julię Przyłębską i ambasadora RP w Niemczech Andrzeja Przyłębskiego nie dziwią, bo dobrze służą oni Rzeczypospolitej. Ale pogarda wobec nich bijąca z każdego zdania jest jednak szokująca.

„Julia Przyłębska została prezesem atrapy Trybunału Konstytucyjnego [...]. Dla panii Julii to jedyna taka szansa w życiu”.

„Z kolei pan Przyłębski [...] zajmuje się psuciem tego, nad czym przez kilkadziesiąt lat pracowało wielu niemieckich i polskich polityków, intelektualistów”.

Warto podkreślić, że nie wszyscy ludzie prawicy mają we „Wprost” złe notowania. Taki np. piarowiec Adam wciąż jest przedstawiany jako „spin doktor Jarosława Kaczyńskiego”. Z prawdą ma tyle wspólnego, co wcześniej zacytowane zdania.

Całość w sumie zabawna – sama dobra zmiana sobie to funduje. Musi więc być dobrze, a nawet bardzo dobrze!

(wu-ka)



Autopromocja

eprasa.pl ed099b4aa6



Paryż zapłonął

Prezydenta Macrona, wykreowanego przez elity na rzekomą nową jakość, demaskują i być może pogrążą „żółte kamizelki".

To ruch spontaniczny i zróżnicowany, ale składający się przede wszystkim z rdzennych, białych Francuzów, niezamożnych i w dużej mierze z mniejszych ośrodków. Zapalnikiem stały się ceny paliw – nazwa ruchu bierze się od noszonych przez uczestników kamizelek samochodowych. Wywodzą się oni z grup, dla których ze względu na miejsce zamieszkania (prowincja lub bardzo odległe przedmieścia metropolii) rezygnacja z posługiwania się własnym autem, do czego w imię realizacji postulatów ekologicznych usiłuje zmusić Francuzów rząd, oznaczałaby całkowitą społeczną degradację. Łączy ich sprzeciw wobec tego i nienawiść do Macrona.

Ogromna większość uczestników gwałtownych demonstracji, które wstrząsnęły Paryżem, nie uczestniczyła w niszczeniu mienia ani w atakowaniu policji. Mają to na sumieniu bojówkarze ze skrajnej prawicy, a także lewicy. Przy czym francuskie władze kłamią, usiłując „przyklepać" tego rodzaju działania wyłącznie tym pierwszym – świadczy o tym choćby to, że wielu zamaskowanych uczestników działań agresywnych miało na sobie emblematy z wizerunkiem Che Guevary. I choć „żółte kamizelki" poparła siostrzenica Marine Le Pen, Marion Maréchal, to partie mają niewielki wpływ na ruch.

Emmanuel Macron w rankingach niepopularności przebił już swojego poprzednika, uznanego za rekord nieudacznictwa, François Hollande'a. „Nie zdołałem pogodzić francuskiego ludu z rządzącymi" – przyznał ponuro prezydent, jeszcze przed chwilą wielka nadzieja liberalizmu.

Piotr Skwieciński



Fot. PAP/Abaca

eprasa.pl ep099

Filipiny

Antykatolicki prezydent w katolickim kraju



Fot. ROBINSON NIÑAL JR./PRESIDENTIAL PHOTO

Prezydent Filipin Rodrigo Duterte wezwał katolików w tym kraju, by nie chodzili do kościołów, lecz wybudowali sobie w domach kapliczki i tam się modlili. To nie pierwsza kontrowersyjna wypowiedź tego polityka na temat religii. Wcześniej nazwał już wszystkich świętych „głupkami" i „pijakami"; krzyczał podczas przemówienia, że skopie d... wszystkim biskupom; obiecał, że poda się do dymisji, jeśli ktoś udowodni mu istnienie Boga, robiąc sobie z Bogiem selfie; w końcu namawiał wierzących, by na ołtarzykach ustawili sobie jego zdjęcie i modlili się do niego. Doszło nawet do tego, że na skutek publicznych bluźnierstw prezydenta tamtejszy episkopat zarządził trzy dni ogólnonarodowego postu i modlitw przebłagalno-pokutnych za jego słowa.

Sam Duterte, notabene absolwent katolickiej uczelni, twierdzi, że jest wierzący, ale inaczej, ponieważ Bóg chrześcijan jest głupi, natomiast „jego Bóg" ma dużo zdrowego rozsądku. W jego religii – jak ją opisuje – nie ma życia pozagrobowego, a śmierć jest końcem wszystkiego.

Duterte został prezydentem w 2016 r., zyskując masowe poparcie dzięki obietnicy, iż rozprawi się z szalejącą przestępczością, a zwłaszcza z gangami narkotykowymi. To przysporzyło mu głosów wielu katolików. Jego brutalna walka z narkobiznesem doprowadziła jednak do powstania „szwadronów śmierci" i mordowania niewinnych ludzi. Jednym z największych krytyków prezydenta szybko stał się Kościół katolicki. Niektórzy kapłani, krytykujący Duterte, np. ks. Amado Picardal, muszą się dziś ukrywać w obawie o swe życie.

Cała sytuacja jest zadziwiająca, ponieważ Filipiny to jeden z najbardziej katolickich krajów na naszym globie, a mimo to jego prezydent okazuje się jednym z najbardziej antykatolickich przywódców świata. To pokazuje, jak duże znaczenie ma dla Kościoła posiadanie własnego zaplecza intelektualnego, a także zaprzyjaźnionej klasy politycznej, reprezentującej wrażliwość chrześcijańską w życiu publicznym. Zaniedbania na tym polu mszczą się szybko. Nie tylko na Filipinach.

Grzegorz Górny

Rosja

Na afrykańskim szlaku

Afryka coraz rzadziej może dziś liczyć na wsparcie ze strony dawnych metropolii kolonialnych. Owszem, związki polityczne tu i ówdzie pozostały, jednak inwestycje gospodarcze stały się dla Zachodu znacznie bardziej ryzykowne niż kiedyś. Niekończące się konflikty zbrojne, korupcja, brutalne łamanie praw człowieka, despotyczne rządy – to wszystko utrudnia poważniejsze zaangażowanie zachodnich pieniędzy.

W powstałą w ten sposób lukę śmiało wkroczyły Chiny, które nie stawiają swoim afrykańskim partnerom wygórowanych warunków. W ciągu ostatnich lat Pekin zdołał uzależnić od siebie wiele państw w Afryce, przejmując kontrolę nad najważniejszymi gałęziami ich gospodarki. Dziś jednak coraz częściej jego rywalem w wyścigu do afrykańskich surowców staje się Rosja, która powraca na ten kontynent po 30 latach nieobecności.

Wtedy obecność Moskwy wpisywała się w logikę zimnej wojny, Kreml wspierał antyzachodnie reżimy i rebelie. Dziś Rosja nie odżegnuje się całkiem od politycznych motywów, jednak jej główne cele związane są z gospodarką. Najbardziej znanym przykładem jest wsparcie udzielane przywódcy libijskich rebeliantów Chalifie Haftarowi, który kontroluje złoża ropy naftowej, oraz rosyjska obecność w bogatej w diamenty i złoto Republice Środkowoafrykańskiej. Inne to m.in. Gwinea, która jest największym dostawcą boksytów dla Rosji, Sudan oraz Erytrea, gdzie Moskwa chce zbudować centrum logistyczne nad Morzem Czerwonym tuż obok podobnego w sąsiednim Dżibuti – tyle że należącego do Chińczyków.

Rywalizacja z Chińczykami widoczna jest również w Demokratycznej Republice Konga (m.in. miedź, diamenty, kobalt i rzadkie metale). Tamtejszy prezydent Joseph Kabila zorganizował coś w rodzaju licytacji – ten, kto da więcej, otrzyma szerszy dostęp do bogactw. Wygląda na to, że tę licytację wygrywają dziś Rosjanie, którzy udzielili Kabili nie tylko wsparcia zbrojnego, lecz zaoferowali również pomoc przy organizacji wyborów prezydenckich w Kongu. Moskwa zdaje sobie sprawę, że musi je wygrać protegowany Kabili (on sam kończy ostatnią kadencję).

Rosyjscy „eksperci wyborczy" działają również na Madagaskarze oraz w Gwinei. W tej ostatniej prezydent Alpha Condé bardzo chciałby ominąć konstytucyjny zapis zabraniający mu startu w kolejnej kadencji, a Rosjanie mają tu pewne doświadczenie.

Rosyjskie i chińskie standardy polityczne odpowiadają afrykańskim satrapom. Innego zdania są chyba sami mieszkańcy Afryki, którzy od lat próbują za wszelką cenę emigrować do Europy.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl ed099b4aa6

Włochy

Cisza przed burzą

„Jeśli chcą nałożyć na nas sankcje, to znaczy, że są szaleńcami, bo uderzyłoby to bardziej w Unię niż we Włochy" – wypalił na użytek mediów włoski wicepremier Matteo Salvini. Różne niemiłe słowa dały się wcześniej słyszeć z Rzymu, ale tak buńczuczne jeszcze nie. Miały znaczyć: ej, wy tam w Brukseli, majstrować przy naszym budżecie ani narzucać nam polityki finansowej nie wolno! Salvini zagroził, że Włochy mogą nawet zawetować budżet UE oraz forsowane przez Niemcy i Francję tworzenie odrębnego budżetu dla krajów eurostrefy.

Równolegle jednak wicepremier Luigi Di Maio zasygnalizował, że w sumie nie byłoby problemu z dokonaniem „drobnej korekty i zmniejszeniem deficytu", ale co do innych działań włoski rząd nie zamierza oglądać się na Brukselę. W skrócie chodzi o to, że choć zadłużenie Włoch osiągnęło bajońską sumę 2,3 bln euro, co stanowi aż 130 proc. (przy dopuszczalnych w UE 60 proc.) wydajności ich gospodarki, koalicyjny rząd Ligi i Ruchu Pięciu Gwiazd obstaje przy realizacji wyborczych obietnic, dotyczących tzw. gwarantowanych dochodów (780 euro miesięcznie) oraz świadczeń dla najuboższych i bezrobotnych, niższego wieku emerytalnego i obniżenia podatków.


Fot. MikeDotta/Shutterstock.com

Matteo Salvini

Komisarz do spraw ekonomicznych Pierre Moscovici zrugał włoskich polityków, że są niepoważni, a on nie będzie siwobrodym Mikołajem w czerwonym kubraczku. Jeśli nie dojdzie do ugody z Brukselą, na Włochy może być nałożona kara 3,4 mld euro. Nakazywanie Włochom zaciskania pasa przez tego byłego ministra gospodarki i finansów zadłużonej dziś po uszy, rozchwianej protestami społecznymi Francji ma osobliwy wydźwięk...

Do porozumienia pewnie dojdzie, gdyż pogłębianie konfliktu nie jest na rękę żadnej ze stron. Będzie to jednak cisza przed burzą. Unia stoi bowiem przed egzystencjalnym problemem narastania antybrukselskich nastrojów. We Włoszech poparcie dla Ligi Salviniego od niedawnych wyborów niemalże się podwoiło.

Eurosceptycy świętują triumfy nie tylko na Półwyspie Apenińskim. Jak można się spodziewać, przyszłoroczne wybory do europarlamentu zapoczątkują fundamentalne zmiany w całej wspólnocie.

Piotr Cywiński

USA

To po prostu źli ludzie są...

Pytanie, jak to się stało, że tylu Amerykanów (a przy okazji również obywateli innych państw) tak dalece nie dostrzega, gdzie są dobro, prawda i piękno, i daje się omamić tzw. populistom, dręczy liberalną lewicę w USA. Już kiedyś któryś ze związanych z tym kierunkiem ideowym znanych publicystów posunął się daleko i stwierdził, że nad tą kwestią w ogóle nie należy się zastanawiać, bo analizowanie przyczyn tej potworności równa się odnajdywaniu w niej racjonalności, a to z kolei równa się usprawiedliwianiu zła.

We własnym mniemaniu rozciął wówczas węzeł gordyjski, ale dziś Michelle Goldberg, publicystka „New York Timesa", poszła chyba dalej. Mianowicie z tego, że niegdyś pewna kręcąca się w środowiskach republikańskich amerykańska liberałka radośnie opisała we wspomnieniach, jak to uprawiała seks oralny z pewnym członkiem administracji George'a Busha juniora, i stwierdziła, że to w tej personalnej konstelacji oddaje jej ówczesny stosunek do polityki jako takiej, Goldberg wysnuła wniosek, że dziś zwolennicy Trumpa są, po prostu, złymi ludźmi.

Nie rozumieją państwo związku? Ja też mam z tym pewną trudność.

Choć coś z tez pani Goldberg da się, mimo wszystko, pojąć. Opisuje ona rozmaite osoby, które znalazły się w ekipie Trumpa motywowane przede wszystkim własną karierą, a popierają prezydenta rasistę (taka kwalifikacja poglądów Trumpa jest w środowisku Goldberg oczywistą oczywistością, o której się nawet nie dyskutuje), choć wcale nie są rasistami. Oportuniści znaczy. Źli ludzie? Ależ bardzo źli. Czy potrzeba jeszcze jakiegoś innego wytłumaczenia zwycięstwa Trumpa i jego utrzymującej się popularności? Przecież złych ludzi jest zawsze dużo; to takie proste.

Czy można się posunąć, w sensie intelektualnym, dalej? Jednak można. Niedawno inny znaczący amerykański lewicowy publicysta, Dylan Matthews, opublikował tekst, w którym udowadniał, że samo powstanie Stanów Zjednoczonych w XVIII w. było zwycięstwem zła. No bo USA uznawały niewolnictwo i eksterminowały Indian. A gdyby nie powstały, to na pewno w obu tych sprawach historia potoczyłaby się inaczej, lepiej. I w zasadzie powstały właśnie dlatego, że ówcześni Amerykanie chcieli w sposób nieskrępowany cieszyć się zniewoleniem Murzynów i mordować Indian. Innymi słowy – USA powstały dlatego, że ich założyciele byli złymi ludźmi.

Tak jak dziś zwolennicy Trumpa. Chyba to jasne?

To naprawdę interesujące, jak dalece pycha środowisk lewicowo-liberalnych uniemożliwia im znalezienie odpowiedzi na pytanie: czemu, u licha, tylu ludzi nas nie lubi...?

Piotr Skwieciński

eprasa.pl ed099b4aa6

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wybitni laureaci TP



Jan Pietrzak

Miło mi poinformować szanownych czytelników, że w chwilach wolnych od pisania felietonów, razem z żoną i przyjaciółmi, zajmuję się Towarzystwem Patriotycznym, ponieważ nie dam sobie „nigdy, przenigdy" (jak mówi prezydent Trump) wmówić, że polski patriotyzm może być kojarzony z faszyzmem lub bolszewizmem. A to nam wmawiają liderzy różnych środowisk politycznych, agenturalnych i nieodłączni od nich pospolici głupcy, mówiąc klasykiem „użyteczni idioci".

Towarzystwo Patriotyczne organizuje koncerty „Niepodległa 100+", zbiorowego poloneza 3 Maja, rocznicę Cudu nad Wisłą, wspólne śpiewanie „Mobilizacji"... Między innymi raz w roku w listopadzie przyznaje nagrody pod nazwą „Żeby Polska była Polską". W obecnej siódmej edycji piękną (moim zdaniem) statuetkę otrzymali: premier Mateusz Morawiecki, historyczny przywódca Solidarności Śląsko-Dąbrowskiej Andrzej Rozpłochowski, wybitny pisarz Stanisław Srokowski, publicysta i wydawca krakowskiego Wydawnictwa Biały Kruk oraz świetnego miesięcznika „WPIS" Leszek Sosnowski, śpiewający poeta Andrzej Kołakowski, doskonały grafik i plakacista Wojciech Korkuć.

Prawdę powiedziawszy, wszyscy laureaci to ludzie wybitni. Nie wstydźmy się tego słowa – bez fałszywej skromności, proszę państwa. Ta uwaga dotyczy również spraw większego kalibru, jak radośnie fetowana – i słusznie – setna rocznica odzyskania niepodległości. Bez fałszywej skromności, Polacy!

Jest rzeczą niesamowitą, że przeróżne ciemne typki mają odwagę szydzić z naszego świętowania. Użyję sprawdzonego określenia „zdradzieckie mordy i kanalie", to nie jest wasze święto, więc macie okazję siedzieć cicho. A my, kochani, musimy pamiętać, że niepodległość odzyskujemy, ale również tracimy co jakiś czas, bo jesteśmy dobrotliwi i po chrześcijańsku miłosierni, podczas gdy nasi sąsiedzi to niezwykle agresywne plemiona! Nie mają żadnych hamulców, by stosować wobec Polaków propagandową broń w iście goebbelsowskim stylu, na co zwrócił uwagę wicepremier Gliński. Kanonada oszczerstw i naloty kalumnii, jakie na Polskę spadają, wymagają odpowiedzi. Nie może być tak, że w leśnych ostępach prywatna telewizja urządza urodziny Hitlera i nie ponosi żadnych konsekwencji. Towarzystwo Patriotyczne może się zdenerwować. Ostrzegam!

Przyczajony tygrys i Sikorka

Z aktorką Martą Żmudą Trzebiatowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Podlewski/AKPA

Można powiedzieć, że na dobre i na złe wróciła pani w tym sezonie do seriali. Ale czy tylko jedna z bohaterek jest tą dobrą?

Marta Żmuda Trzebiatowska: Hania Sikorka, lekarka z Leśnej Góry, pozwoliła mi na powrót do cudnych czystych postaci, idealistek, a Monika z „O mnie się nie martw" ma charakter i trochę mąci w spokojnym, sielankowym życiu Igi Małeckiej i Marcina Kaszuby, ale nie jest zdeklarowanym czarnym charakterem. To taki „przyczajony tygrys, ukryty smok". Przynajmniej w ten sposób chcieliśmy z reżyserem Filipem Zylberem tę postać zbudować.

Na ekranie była już m.in. farmaceutka i prawniczka, teraz jest lekarka i dziennikarka. Coś przejmie pani z naszej pracy?

Dociekliwość... ale też skuteczność. Monika Kuczyńska pomaga czasami w kancelarii w wyjaśnianiu spraw, które dzięki nagłośnieniu medialnemu nagle szybciej się rozwiązują [śmiech]. Interesują ją tematy społeczne. Jeśli zaczyna działać, potrafi być bezkompromisowa i przebojowa.

Sala operacyjna, kancelaria... W innych realiach też panią zobaczymy?

Gram w „Wojennych dziewczynach", ale to wiosenna ramówka, więc nie mogę nic więcej powiedzieć. Zakończyłam zdjęcia do fabuły – „Mowy ptaków" Xawerego Żuławskiego. I są też inne plany, ale jak to z planami, poczekajmy, aż nabiorą realnych kształtów.

Wakacje dawno się skończyły, czas rozkręcać kolejne projekty?

Przede wszystkim urlop macierzyński się skończył i faktycznie sporo jest pracy, ale z tego można się tylko cieszyć.

eprasa.pl ed099b4aa6

BRONISŁAW WILDSTEIN

Po co Wałęsa

22 listopada sąd gdański stał się miejscem historycznego spektaklu. Na sali rozpraw spotkały się dwie najbardziej znaczące postacie ostatnich 40 lat dziejów Polski. Pierwsza z nich to Lech Wałęsa. Wkraczając w III RP jako osoba, która absolutnie zdominowała scenę naszego kraju, dość szybko roztrwonił cały swój kapitał polityczny. Pierwszym dobitnym tego sygnałem był marny wynik (5,41 proc.) w wyborach 1993 r. prezydenckiego ugrupowania BBWR. Potem była przegrana z Aleksandrem Kwaśniewskim i wreszcie blamaż w wyborach prezydenckich 2000 r. Wałęsa uzyskał 1,01 proc., co dało mu siódme miejsce, nie tylko znacznie za Andrzejem Lepperem, lecz i za Januszem Korwin-Mikkem.

Na scenie publicznej wegetował jeszcze jako coraz mniej znaczący, narzekający emeryt, który usiłuje wyłgać się ze swoich uwikłań, wraz z odsłanianiem archiwów służb PRL, coraz mocniej rzutujących na ocenę jego dawnej działalności.

Im jednak więcej dowiadywaliśmy się na temat współpracy Wałęsy z SB, tym bardziej hołubiły go elity III RP, tym bardziej angażowały się w odbudowę jego znaczenia i prestiżu. Byli to ci, którzy, jak „Wyborcza" wcześniej, nie zostawiali na nim suchej nitki. Wprawdzie zmiana stosunku do niego zaczęła się wcześniej, kiedy zamiast obiecywanej dekomunizacji zaczął wspierać „lewą nogę" i otaczać się coraz bardziej szemranymi postaciami, ale pełna aprobata Wałęsy ze strony salonu nastąpiła, kiedy fakty na temat jego ciemnej przeszłości stały się publicznie znane.

Ta wiedza pozwalała byłego lidera „Solidarności" potraktować jako ikonę postkomunistycznego systemu. Jego uwikłanie uzasadniało relatywizację historii, która stała się ideologią III RP, usprawiedliwiało brak rozliczenia komunizmu i przejęcie kluczowych pozycji w nowym państwie przez dawnych aparatczyków. Sugerowano nam, że przeszłość była zupełnie niejednoznaczna, co uniemożliwiać miało, zdaniem autorytetów nowego ładu, szansę jej osądu, a więc i krytyki teraźniejszości, która z niej wyrastała. Najważniejsze w tej operacji było przesłonięcie Wałęsą „Solidarności". Już nie wielki dziesięciomilionowy ruch, ale, jak mawiał dawny przywódca, on sam obalił komunizm.

Tusk porównał go ostatnio do Józefa Piłsudskiego, stwierdzając, że obaj w swoim czasie „pokonali bolszewików". O wielkim narodowym zrywie nie wspomniał. To lider PO ma największy udział w odbudowie pozycji społecznej Wałęsy. Jego główny interes tkwił w tym, że były prezydent żywi maniakalną nienawiść do jego wrogów, Kaczyńskich. Należało więc na nowo, wbrew faktom, napompować jego dziejowy monument (patrz m.in. film Andrzeja Wajdy), aby przyzwyczajony do bezkarności stał się najważniejszym aktywistą szokującej swoją brutalnością kampanii wymierzonej w Kaczyńskich. Stanowią oni jego obsesję, od kiedy okazało się, że wierni są deklarowanym ideom, a nie liderowi, który je zdradził. O ile jednak Kaczyńscy przestali interesować się Wałęsą, od kiedy przegrał on prezydenckie wybory, jego mania narastała wraz z ich wznoszeniem się na politycznym firmamencie. Była zresztą zręcznie wykorzystywana przez graczy III RP, a zwłaszcza Tuska, którego umiejętności posługiwania się ludźmi nie sposób nie docenić.

Wałęsa odwoływał się do najskrajniejszych obelg, kłamstw i pomówień. Nawoływał do przemocy. I był za to oklaskiwany przez salon III RP. Do jego najbardziej podłych wystąpień należy oskarżanie Jarosława Kaczyńskiego, że psychicznie zmusił swojego brata do lądowania w Smoleńsku – wszystko od początku do końca jest tu kłamstwem – a więc, że odpowiada za śmierć blisko stu osób z czołówki polskiego państwa. Kalumnia ta sugerowana jest, a niekiedy wręcz powtarzana, przez totalną opozycję.

W tym stanie rzeczy proces, który zdecydował się wreszcie wytoczyć Wałęsie Kaczyński, pomimo wiedzy o tym, że ma przeciw sobie większość korporacji sędziowskiej, a zwłaszcza jej establishment, wydaje się zachowaniem właściwym. Bez względu na to, czy wyrok będzie miał jakikolwiek związek z faktami i rzeczową prawdą, sam proces odsłoni, o co chodzi.

Naturalnie nie dla wszystkich. Nowo wybrany prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski oczywiście w TVN „dziwił się Kaczyńskiemu, że próbuje z Lechem Wałęsą brać się na pojedynek, zwłaszcza na słowa, który jest niesłychanie szybki i ma taki intelekt najwyższych lotów".

Nie wiem, czy bardziej nachylić się nad intelektem, czy cynizmem Trzaskowskiego. Wydaje się jednak, że pomimo wszelkich wysiłków jemu podobnych, którzy ciągle mają wielkie możliwości w kraju, a zwłaszcza za granicą, prawda o zachowaniu Wałęsy, tak jak i o jego bardzo dwuznacznej przeszłości, dotrze do większości Polaków.



Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Osły w Strasburgu



Granica pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Kanadą jest najdłuższą lądową granicą na świecie. Ekspert ds. terroryzmu David Harris z Canadian Security Intelligence Service (wywiad) ostrzega USA przed poważny atakiem ekstremistów islamskich z Kanady. „To tylko kwestia czasu" – stwierdził. „Wiele lat temu sugerowałem, że wielu ekstremistów islamistycznych może uznać Kanadę za »lotniskowiec«, z którego można przeprowadzać operacje przeciwko USA" – dodał Harris. Całej sytuacji winna jest polityka imigracyjna premiera Justina Trudeau. To politycznie poprawne dziecko światowej, liberalnej demokracji ściąga do swojego kraju każdego, kto tylko wyrazi ochotę na pobyt. Inny znawca tematu Thomas Quiggin, były oficer kanadyjskiego wywiadu wojskowego, przypomina w tym kontekście swoje słowa wypowiedziane w parlamencie w Ottawie: „Jeśli ktoś sprzeciwia się powrotowi bojówkarzy ISIS do Kanady, to jest islamofobem. Innymi słowy – to nie oni są problemem. To sprzeciw wobec ich powrotu robi z nas islamofobów, robi z nas rasistów". Marc Le Buis, kolejny spec od terroryzmu, podsumowuje: „Problem jest tak zaawansowany, a agencje rządowe decydujące o naszym bezpieczeństwie narodowym są tak zinfiltrowane, że bardzo, bardzo trudno będzie to odkręcić". Poza tym w Kanadzie robi się wszystko, aby umniejszyć zagrożenie przemocą ze strony islamistów, czego dowodem była sprawa przemilczenia ataku na Danforth Avenue w Toronto w lipcu 2018 r., w którym zginęły dwie kobiety, a 13 osób zostało rannych. Wygląda na to, że Amerykę czeka budowa dodatkowego muru, tylko 10 razy dłuższego niż ten z Meksykiem.

Ale i Niemcy mają kolejny migracyjny problem, tym razem z powracającymi z terenów byłego państwa ISIS kobietami. Polityk CDU Ismail Tipi na łamach konserwatywno-liberalnego portalu „Tichys Einblick" przestrzega przed islamskimi żonami, których mężczyźni zginęli na wojnie Państwa Islamskiego na Bliskim Wschodzie. „Teraz mogą działać w RFN, stwarzając wielowymiarowe zagrożenie terrorystyczne. Niemieckie władze nie próbują jednak zwalczać przyczyn zagrożenia terrorystycznego. [...] Gdy mówimy o radykalizacji i salafizmie, mamy w głowie zazwyczaj brodatych, młodych mężczyzn". Jak dodaje, nie odpowiada to prawdzie, ponieważ w Niemczech islamistyczne zagrożenie stanowią także nieletni oraz kobiety. Przestały już być „maszynami do rodzenia dżihadystów". Niektóre z nich przeszły przeszkolenia wojskowe i są gotowe do wyrzeczeń. I tak wygląda równouprawnienie po arabsku.

W Strasburgu zaś, choć wokoło problem goni problem, a Ruski znów szczerzy zęby na Ukrainie, życie toczy się niezmąconym niczym rytmem. Odbywają się konferencje, jak choćby ta podnosząca poważny problem „Ukrytego handlu osłami". Specjalista ze stowarzyszenia The Donkey Sanctuary (!), pan Backer, wygłosił referat zatytułowany „Globalny kryzys dobrostanu osłów i co się z tym wiąże". Później było jeszcze lepiej. Pod patronatem „Platformy UE na temat dobrostanu zwierząt" głos zabrał pan Owers. Jego zajmujący i jakże aktualny wykład traktował o „Progresie podgrupy zwierząt koniowatych powstałej z własnej inicjatywy". Konferencja tłumaczona była na pięć języków, w tym polski. Co tam Nord Stream 2, Ukraina nas też średnio interesuje. Palący problem dla Europy to problem zwierząt kopytnych.

Z okazji stulecia odzyskania niepodległości wchodząca w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej Fabryka Broni „Łucznik" wypuściła okolicznościową serię legendarnych pistoletów Vis wz. 1935. Skonstruowany przez polskich inżynierów – Piotra Wilniewczyca i Jana Skrzypińskiego na początku lat 30. XX w. – składał się z 48 elementów i otrzymał oznaczenie WiS od pierwszych liter nazwisk jego twórców, które później zmieniono na Vis – od łacińskiego terminu „vis" (siła). W poprzedniej okolicznościowej serii cena jednego egzemplarza tego pistoletu wahała się w granicach 8 tys. zł. Broń ta cieszyła się dużym powodzeniem w czasie II wojny światowej również w armii niemieckiej, ze względu na swoją celność i niezawodność. Kiedy mój ojciec dostał się do niewoli pod koniec obrony Warszawy w 1939 r., dowódca kompanii Wehrmachtu wszczął z nim kurtuazyjną konwersację. Podkreślił, że w polskiej armii najbardziej podobały mu się trzy rzeczy: działka przeciwpancerne Boforsa, wojskowe buty oficerskie (niemieckie miały pomarszczone cholewy) i właśnie pistolety Vis. Po czym przepiął kaburę ze swoim Parabellum 9 mm, zastępując ją pistoletem ojca. Żeby podobna sytuacja nie zdarzyła się już więcej, pamiętajmy o przestrzeganiu rzymskiej zasady „Si VIS pacem, PARA BELLUM" („Jeśli chcesz pokoju, przygotuj się do wojny").

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ed099b4aa6

Firma w spadku

Jednoosobowa działalność gospodarcza to najpopularniejsza w Polsce forma prowadzenia biznesu. W Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) zarejestrowane są niemal 2 mln wspomnianych firm. W formalnie jednoosobowe przedsięwzięcia zaangażowane są często całe rodziny. Mniejsze i większe tego typu firmy nierzadko mają historię sięgającą lat 80. XX w. i choć mogłyby zyskać prawną samodzielność poprzez przekształcenie w osoby prawne, pozostają zarejestrowane na jedną osobę.



Marta Kaczyńska-Zielińska

Nowo obowiązujące przepisy pozwalają na przedłużenie funkcjonowania przedsiębiorstwa po śmierci osoby, na którą zostało zarejestrowane

Prawie 230 tys. przedsiębiorców działających w opisany sposób osiągnęło wiek okołoemerytalny, a do niedawna każdego miesiąca 800 firm znikało z ewidencji wskutek śmierci właściciela, co powodowało liczne utrudnienia zarówno dla bliskich zmarłego, zatrudnionych przez niego pracowników, jak i kontrahentów. Nowo obowiązujące przepisy pozwalają na przedłużenie funkcjonowania przedsiębiorstwa po śmierci osoby, na którą zostało zarejestrowane, umożliwiają dopełnienie wszelkich formalności oraz podjęcie decyzji o kontynuacji działalności gospodarczej w nowej formie prawnej albo o jej zakończeniu.

Przepisy ustawy z 5 lipca 2018 r. o zarządzie sukcesyjnym przedsiębiorstwem osoby fizycznej, która weszła w życie 25 listopada 2018 r., ustanawiają możliwość powołania zarządcy sukcesyjnego przez przedsiębiorcę prowadzącego jednoosobową działalność gospodarczą (wpisanego do CEIDG) lub jego spadkobierców. Zarządca musi posiadać pełną zdolność do czynności prawnych i pozostawać nieobjęty zakazem prowadzenia działalności gospodarczej. Tymczasowy sukcesor pozwoli na zachowanie ciągłości działania firmy po śmierci właściciela. Będzie występować jako pracodawca dla pracowników oraz urzędów, a przedsiębiorstwo będzie posiadało dotychczasowy NIP oraz nazwę z dopiskiem „w spadku". W kompetencjach zarządcy pozostawać będą zarówno czynności zwykłego zarządu, jak i te przekraczające ten zakres, ale za aprobatą nowych właścicieli, a do chwili stwierdzenia nabycia spadku za zgodą sądu. Sukcesor tymczasowy będzie ponosić odpowiedzialność osobistą wobec spadkobierców. Co warte podkreślenia, przedsiębiorcy nie mają obowiązku zabezpieczania się w opisany sposób, ale ustawodawca daje im taką możliwość. Mogą tego dokonać poprzez stronę internetową CEIDG.

Firma będzie mogła dzięki temu funkcjonować bez przeszkód, w szczególności zaś nie przestaną pozostawać w mocy stosunki pracy, nie wygasną zezwolenia ani koncesje. Powołującymi zarządcę mogą być także spadkobiercy lub zapisobiorcy, którzy przyjęli spadek. Jeśli jest ich wielu, wymagana jest aprobata 85 proc. uprawnionych. Możliwość powołania zarządcy przez osoby trzecie ma decydujące znaczenie dla pracowników zmarłego przedsiębiorcy. Przepisy ustawy nakazują bowiem ich zatrudnienie na uprzednio obowiązujących warunkach, jeżeli umowy o pracę wygasły wskutek śmierci pracodawcy, a zgłoszą oni wolę podjęcia pracy w ciągu jednego miesiąca od dnia ustanowienia sukcesora. Zarząd sukcesyjny może zasadniczo trwać przez dwa lata od śmierci przedsiębiorcy, a wyjątkowo dopuszczalne będzie jego przedłużenie do pięciu lat lub do chwili dokonania działu spadku.

REKLAMA





62/1118/F

eprasa.pl ed099b4aa6

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Dzieci genetycznie modyfikowane



Co zrobić, gdy najczarniejsze sny naukowców stają się rzeczywistością i nie widać szans na przebudzenie? „W Chinach urodziły się pierwsze na świecie dzieci, których geny zostały zmodyfikowane przez naukowców – poinformował w poniedziałek He Jiankui, badacz z Południowochińskiego Uniwersytetu Nauki i Technologii w Shenzhen, którego zespół dokonał zmian" – podaje Stefczyk.info. Naukowiec tłumaczył, że celem jego modyfikacji była eliminacja genu CCR5. Podobno ludzie nieposiadający tego genu są całkowicie lub w znacznym stopniu odporni na zakażenie wirusem HIV. Zmiany przeprowadzono w embrionach, w procesie zapłodnienia in vitro, za pomocą odkrytej przed kilkoma laty metody inżynierii genetycznej o nazwie CRISPR/Cas9. Tej informacji nie potwierdza żadne inne źródło. Gdyby jednak okazała się prawdziwa, kto wie, czy za kilka lat nie będzie sobie można wybrać dziecka z katalogu, zaplanować kolor jego oczu, włosów, talenty. Niech mnie ktoś obudzi z tego koszmaru.

580 tys.

– tylu Polaków po ukończeniu studiów w 2017 r. zamieszkało w innym niż rodzinny kraju UE. To najwyższy wskaźnik spośród 28 państw Unii – wynika z raportu na temat drenażu mózgów przygotowanego dla Europejskiego Komitetu Regionów.

6,5 mld zł

– tyle po październiku wyniosła nadwyżka w budżecie państwa. Taką informację podało Ministerstwo Finansów.

90 mln dol.

– za tyle został sprzedany obraz Davida Hockneya. W ten sposób został ustanowiony rekord: to najdroższe dzieło żyjącego (81-letniego) artysty.

Pierwszy polski Yoda

Mamy w Polsce pierwsze dziecko o imieniu Yoda. Zgodę na to wyraził Urząd Stanu Cywilnego w Warszawie, a chłopiec o oryginalnym, na szczęście drugim, imieniu ma cztery lata. O sprawie informuje Rp.pl: „Yoda dołączył oficjalnie do spisu imion, jakie rodzice mogą rozważyć przy wyborze imienia dla swojego dziecka. A pomysłowość Polaków w tym zakresie nie zna granic. Z oficjalnych statystyk Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wynika, że tylko w zeszłym roku dwie dziewczynki dostały od swoich rodziców na imię Leia, a dwóch chłopców Geralt. W tym czasie zostały także nadane inne znane z popkultury imiona, jak Elvis i Cristiano, a także Arya, Atena czy Jutrzenka". Cała sprawa zaczęła się od tego, że ojciec chłopca złożył we wrześniu wniosek do USC, prosząc o zgodę na zmianę drugiego imienia chłopca. Imię Yoda jako drugie chciał nadać synowi już przy rejestracji, ale obawiał się wydłużenia procedury. Rodzice zdecydowali więc, że syn będzie miał na drugie imię Olgierd. Jednak i tak wszyscy – rodzina oraz znajomi – mówią o chłopcu „mały Yoda". Stąd pomysł, by tę sytuację sformalizować. USC odmówił, jednak po rzeczowej argumentacji ojca kierownik USC wydał decyzję zmieniającą imię dziecka. Na razie rodzice i mały Yoda się cieszą. Ciekawe, czy chłopiec będzie równie zadowolony, gdy podrośnie. Na szczęście to tylko drugie imię. Jakby co, zawsze można przestać się do niego przyznawać.

Koniec tej rewii

W Woodchurch High School w Birkenhead w Wielkiej Brytanii zakazano uczniom noszenia do szkoły ubrań luksusowych marek. O sprawie informuje portal Independent.co.uk. Decyzja zdobyła tylu zwolenników, ilu przeciwników. Dyrekcja szkoły tłumaczy się potrzebą wyeliminowania wyśmiewania uboższych dzieci. Uczniowie bogatsi pojawiali się w szkole w ciuchach takich marek jak Canada Goose, Pyrenex czy Moncler. Ceny tych ostatnich sięgają nawet 9 tys. funtów, czyli ok. 43 tys. zł. W polskich szkołach też ktoś mógłby zakazać lansu na metki. To ostatnio prawdziwa plaga.

eprasa.pl ed099b4aa6

Zagrożony jak policjant

Według tygodnika „Der Spiegel” policjanci w Niemczech czują się coraz mniej bezpieczni. Ich zdaniem imigranci nie szanują stróżów prawa. Szczególnie funkcjonariuszek, których migranci pochodzący z krajów Bliskiego Wschodu czy Afryki nie uznają za przedstawicielki państwa. To co? Może jakieś bransoletki na rękę? Na przykład: „Jestem kobietą, szanuj mnie” lub „Policjantka też człowiek”? I problem z głowy.



Ta luka vatowska była ogromna. Była wielkości polskiego budżetu. Liczmy 250 mld zł – powiedziała w RMF FM Elżbieta Chojna-Duch, była wiceminister finansów w rządzie PO. I od razu wiadomo, dlaczego pieniędzy na 500+ nie było.

Polak = patriota

99,1 proc. badanych przez Narodowe Centrum Kultury Polaków twierdzi, że darzy szacunkiem godło, flagę i hymn narodowy. Dla 88,9 proc. badanych ważne jest bycie patriotą. W porównaniu z badaniami przeprowadzonymi przez TNS Polska w 2016 r. odsetek tak odpowiadających wzrósł o prawie 17 proc. Tylko nie mówcie o tym Krystynie Jandzie. To może być dla niej za dużo.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x2)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Węgierskie lustereczko



Dominik Zdort

Miłość Polaków do Węgier i Węgrów jest tyle gorąca, ile trudna do wyjaśnienia. Sam padłem jej ofiarą, co przyniosło parę niemądrych życiowych decyzji, ale też kilka wydarzeń magicznych – takich jak wieczór w uroczym mieście Nagykanizsa nieopodal granicy chorwackiej i długa rozmowa przy lokalnym czerwonym winie, podczas której jedynymi zrozumiałymi równocześnie dla mnie i dla moich gospodarzy słowami były „na zdrowie” oraz „egészségre”. A jednak było o czym gadać.

Uwiedziony wspomnianą sympatią nie potrafiłem odmówić sobie obejrzenia w jednej z komercyjnych telewizji ubiegłorocznego filmu „Węgierska robota” („A Viszskis”). To oparta na faktach historia Attilli Ambrusa, Węgra urodzonego w 1967 r. w szeklerskiej wiosce w Siedmiogrodzie, a więc na terytorium Rumunii.

Jeszcze przed upadkiem komunizmu, w 1988 r., chłopak nielegalnie (uwieszony u podwozia pociągu) ucieka na Węgry. Tam zgłasza się do drużyny hokejowej i zaczyna robić karierę jako bramkarz – reprezentuje m.in. pierwszoligowy klub Újpesti TE.

Równocześnie z grą w hokeja zaczyna... napadać na banki. Od 1993 do 1999 r. dokonuje 27 rabunków, kradnąc ok. 100 mln forintów, czyli pół miliona dolarów. Ponieważ przy żadnej ze swoich akcji nikogo nawet nie postrzelił, staje się ludowym bohaterem porównywanym do Robin Hooda.

Jak to możliwe, że ludzie utożsamili się z rabusiem, a nie z państwem, które właśnie odzyskało niepodległość i tego rabusia ściga? Ten film w pewnej mierze na to pytanie także odpowiada. Węgry, jakie widzimy, to państwo toczone przez wszystkie choroby, przez które równocześnie przechodziła III RP.

Ogromne wpływy niedawnych komunistów, niemoc instytucji państwowych, leniwi urzędnicy utrudniający ludziom życie, powszechna korupcja – wszystko to było tolerowane przez polityków, którzy „kłamali rano i wieczorem”.

W wywiadzie opublikowanym w „Gazecie Wyborczej” tłumaczył to Attilla Ambrus tak: „To, że ja jestem dziś taki popularny, jest winą polityków ostatnich 25 lat. Bo oni kradną, defraudują publiczne pieniądze i kłamią w biały dzień, prosto w twarz całego społeczeństwa”.

Ten film powinni obejrzeć ci wszyscy, którzy nie rozumieją, skąd się wziął Orbán, Kaczyński i Babiš oraz Conte i Salvini, skąd popularność pani Le Pen, AfD, Szwedzkich Demokratów i dlaczego doszło do brexitu. Niech spojrzą w lustereczko.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl ed099b4aa6

RZECZY POSPOLITE

Kołodziej Polski



Tomasz ***Łysiak***

Powiedzcie, co tu robić z Majką Dłużewską? Pytam, co robić, bo jej filmy nie dają mi spokoju. A im bardziej nie dają mi spokoju, tym bardziej chcę zapytać – dlaczego ciągle jest ona autorką w jakiejś mierze niszową?

Jej najnowszy film „Andrzej Kołodziej – bardzo polska opowieść" to obraz człowieka, który sam niemal podtrzymał strajk w Stoczni Gdyńskiej. Jako młody chłopak wyjechał z Bieszczad do Gdańska, by pracować w stoczni. W sierpniu 1980 r. został wysłany przez „Solidarność" do Gdyni, by tam w Stoczni im. Komuny Paryskiej organizować strajk. Dłużewska opowiada o nim z pasją – w tle słychać „Konie" Wysockiego albo „Nie chcemy komuny, nie chcemy i już...", a kolejne zwrotki pieśni wyznaczają rytm i melodię narracji. Opowieść o Kołodzieju to jednocześnie historia strajków i „Solidarności". Przez lata podtrzymywano sztucznie fałszywy mit Wałęsy. Film Dłużewskiej ułatwia zobaczenie prawdziwej historii i prawdziwych bohaterów wydarzeń sierpniowych. Ale, co ważne, prowadzi nas dalej – przez lata 80. XX w. – zaczynając od uwięzienia bohatera filmu w praskim więzieniu, o czym on sam opowiada z uderzającą lekkością, choć siedział w najgorszej ciupie, jaką można sobie wyobrazić. Nawet osadzeni tam Rosjanie prosili, by wysłano ich do rosyjskich łagrów, uważając, że tam będzie im lepiej! Andrzej Kołodziej wraca po dwóch latach do Polski potwornie schorowany. Ale wymyka się esbekom, działa w podziemiu, w Solidarności Walczącej, ukrywa się. Znowu zostaje aresztowany. Wreszcie w roku 1988 deportowano go (wraz Kornelem Morawieckim) do Watykanu. Wcześniej władze nalegają, wręcz szantażują ich, by zgodzili się na opuszczenie kraju. W tych negocjacjach uczestniczy biskup Orszulik, który w pewnej chwili dzwoni do Kiszczaka i rozmawiając, zwraca się do niego po imieniu. Potem jest okrągły stół. I dalsza historia „przekształceń", które w efekcie zamiast Polski prawdziwie wolnej dały nam ją koślawą i „przekształconą". Polskę, w której Kiszczaka i jego kolegów nazywano „ludźmi honoru".

A Kołodziej? Jego nazwisko, tak jak nazwisko Anny Walentynowicz, powinien znać każdy Polak. Tym bardziej ważne, by film Marii Dłużewskiej obejrzeli wszyscy Polacy. W czasie najlepszej oglądalności.

Pić wolno



Piotr ***Cywiński***

Bardzo jest dobrze w tej naszej Europie. Tak dobrze, że dobrze nam tak. I niech nikomu – broń, Boże! – nie wpadnie do głowy, jak tym katonarodowcom pisowcom, żeby z tej Europy, gdzie nam tak dobrze, że dobrze nam tak, gdzieś wychodzić.

Brytyjczycy już prawie wyszli. Ichnia premier się cieszy, że „now they will decide for themselves", np. kto przyjedzie, a kto nie zostanie wpuszczony na Wyspy... A fuj, zyg-zyg marchewka, rasiści! U nas, w Europie, to kultura – w Paryżu sprzątnęli z ulic ultrasów w żółtych kamizelkach, najpierw doprowadziwszy ich do łez wzruszenia dzięki trosce służb oraz umywszy przedświątecznie z armatek wodnych, bo dużo ich było. I teraz zamiast opon płonie pod Łukiem Triumfalnym iluminacja bożonarodzeniowa. W Berlinie na jarmarkach ustawiono między choinkami kloce z betonu, żeby było o co się oprzeć, pijąc grzańca. U nich alkohol na wolnym powietrzu pić wolno, wiadomo, kultura. W Rzymie gwiezdni ligowcy pohukują, że Niemcy i Francuzi nie będą im niczego narzucać poprzez Brukselę, ale ucichną przed Cichą Nocą, najpóźniej gdy powstanie odrębny budżet dla ich wspólnoty we wspólnocie, bo Włosi są zadłużeni po uszy jak Hiszpanie i inni, z Francuzami włącznie. W Szwecji kolejny trup w kolejnej strzelaninie między imigrantami, jest jednak nadzieja, że kolejna kandydatka na premiera w ciągu kolejnych tygodni skompletuje przed świętami gabinet, a jak nie, to się wybierze na nowo w kolejnych wyborach i może trupów będzie mniej.

Trzeba bronić wartości. Macron umiał utulić czarnoskórego? Umiał! Dlatego Francja i Niemcy chcą razem skonstruować czołg dla euroarmii, która ma powstać do obrony naszej Europy. Złośliwi szydzą, że czołgi zrobione przez Francuzów będą miały jeden bieg do przodu i pięć do tyłu, ale przecież zawsze można je ustawić odwrotnie. Niemcy meldują, że wespół z Rosjanami ułożyli już 300 km rur Nord Stream 2. Przyjaźni Rosjanie chcą uporządkować sprawy granicy ze wspólnotą. Na Krymie już uporządkowali, w Donbasie prawie.

Europa więc musi się bardziej scalić. Kanclerz Merkel wzywa, by kraje wspólnoty dobrowolnie zrzekły się suwerenności. Bo bardzo jest dobrze w tej naszej Europie. Tak dobrze, że dobrze nam tak. I niech nikomu – broń, Boże! – nie wpadnie do głowy, jak tym katonarodowcom pisowcom, żeby z tej Europy, gdzie jest nam tak dobrze, że dobrze nam tak, gdzieś wychodzić...

eprasa.pl ed099b4aa6

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: JAN BIELECKI/EAST NEW, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, ALEXEY VITVITSKY/SPUTNIK/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK, BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl ed099b4aa6



Ambasador Stanów Zjednoczonych Georgette Mosbacher na tegorocznym balu Fundacji TVN

Fot. Piotr Mojeck/East News

Dwója z dyplomacji

Stawiająca pierwsze kroki na ambasadorskiej drodze Georgette Mosbacher wprowadziła nieco zamieszania w naszej polityce. Próbowała zaszantażować polski rząd, stając się napastliwym rzecznikiem TVN. Jeżeli nie powróci do swojej roli, to zapewne napsuje nam jeszcze sporo krwi. Choć wydaje się, że nie ma takiej mocy, by poważnie naruszyć sojusz Warszawy z Waszyngtonem



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Trudno zapomnieć występ Jolanty Pieńkowskiej, gwiazdy TVN, podczas wieczoru wyborczego, gdy rozstrzygały się losy amerykańskiej prezydentury. Wielotygodniowa kampania stacji należącej do amerykańskiego koncernu Discovery opierała się na próbach naprzemiennego ośmieszania Donalda Trumpa i straszenia nim. Gdy sukcesywnie spływające wyniki pokazywały coraz większą przewagę republikanina, redaktor nie wytrzymała. „Ja zastanawiam się, co teraz będzie, jeżeli Donald Trump rzeczywiście zdobędzie albo przekroczy 270 głosów elektorskich. [...] Co będzie z weteranami obrażanymi przez Donalda Trumpa? Co będzie z kobietami, którym Donald Trump okazywał kompletny brak szacunku? Co będzie wreszcie z Hillary Clinton? Co będzie z obietnicami wyborczymi? Co będzie z tymi wielkimi inwestycjami, które obiecywał Donald Trump? Co będzie z tą opieką zdrowotną dla wszystkich? [...] Co stanie się z mediami? [...] Co będzie, jeśli obudzimy się z prezydentem Donaldem Trumpem?!".

– Ciekawe, czy pani ambasador zna tę wypowiedź? A przecież to nie był odosobniony przypadek. Dla Amerykanów może nie mieć znaczenia to, że jakaś telewizja atakuje polski rząd, który jest w bliskiej przyjaźni z amerykańskim prezydentem, ale gdy atakuje samego Donalda Trumpa, to coś chyba jest nie tak? – pyta jeden z polityków PiS, z przeszłością w dyplomacji. Kolejny polityk znający kulisy relacji Warszawa–Waszyngton dodaje: – Naszym przyjaciołom za oceanem nie umyka ta przewrotność. Widzą to i są zniesmaczeni, choć oficjalnie tego nie powiedzą. Po 1989 r. nie mieliśmy rządu tak bliskiego wartościom amerykańskiego prezydenta, a z Amerykanami, poprzez panią ambasador, bratają się teraz osoby, które jeszcze niedawno wściekle atakowały Donalda Trumpa.

MUREM ZA TVN

Georgette Mosbacher na dorocznym balu fundacji TVN wystąpiła w osobliwej złotej kreacji. Nawet plotkarskie portale uznały „kosmiczną stylizację" za „modową wpadkę". Pani ambasador na pewno się tym nie przejęła. To ekscentryczna postać, charakteryzująca się krzykliwymi stylizacjami rodem z Hollywood, z tatuowanymi co dwa lata brwiami w kolorze toffi, burzą rudych włosów i zamiłowaniem do kiczu. Jej kariera to zaprzeczenie amerykańskiego snu. Nie pięła się po szczeblach mozolnie do góry, lecz wjechała na szczyt ekspresową windą, wychodząc za mąż za nieprzyzwoicie bogatych mężczyzn. Jako ich żona wkraczała w świat wyższych sfer, z czasem stała się jego nieodłącznym elementem jako organizatorka legendarnych rautów. Tak w dużym skrócie i uproszczeniu wygląda geneza jej pozycji na styku amerykańskiej polityki i biznesu.

Wielu przewidywało, że jej nominacja na ambasadora w Warszawie będzie oznaczała kłopoty. Mało kto przypuszczał, że będzie o niej tak głośno, i to tak szybko. A przecież urząd pełni dopiero od dwóch miesięcy.

W ciągu ledwie kilku listopadowych dni najpierw w czasie spotkania z polskimi posłami, a później w liście do premiera Mateusza Morawieckiego Mosbacher znacząco przesunęła granicę funkcji ambasadorskiej, strofując polskich polityków, by nie ważyli się przyjmować rozwiązań prawnych niekorzystnych dla należącej do amerykańskiego koncernu Discovery telewizji TVN ani nawet jej krytykować. W liście znalazł się odręczny dopisek pani ambasador, który właściwie można odczytywać jako formę szantażu: „Musimy rozwiązać ten problem, ponieważ staje on na drodze bardzo ważnych spraw". Przypomnijmy – chodzi o poważne wątpliwości wokół materiału „Superwizjera" TVN, który – według ustaleń portalu wPolityce.pl – był opłaconą ustawką z co najmniej kontrowersyjnym udziałem dziennikarzy stacji.

W kręgach polskiej polityki zaczęło się pojawiać pytanie, czy ta inicjatywa to pomysł samej Mosbacher, czy też postępowanie zgodne z wytycznymi przełożonych. Heather Nauert, rzeczniczka Departamentu Stanu USA, w jednym zdaniu odmówiła skomentowania listu do polskiego premiera. W drugim zaś mocno wsparła Mosbacher, mówiąc, że „ambasador świetnie reprezentuje rząd Stanów Zjednoczonych w Polsce" oraz „podziela nasze idee i wartości, m.in. wolność prasy". Imponująca spójność przekazu, której mogliby się uczyć dyplomaci z całego świata, również z Polski. Na kilometr czuć, że popełniono, delikatnie mówiąc, faux pas, ale swojego człowieka będziemy bronić do końca.

– Ambasador każdego kraju ma za zadanie reprezentować interesy swego państwa wobec rządu, przy którym jest akredytowany. Ponieważ Discovery jest firmą amerykańską, której polska stacja telewizyjna znalazła się pod ostrzałem Ministerstwa Sprawiedliwości, ambasador Mosbacher mogła się tym zainteresować. Forma, w jakiej to zrobiła, jest co najmniej niezręczna. Przykro mi, że najbardziej kompetentny amerykański dyplomata z ambasady USA w Polsce, John Armstrong, przebywa w tej chwili w Anglii. On na pewno

eprasa.pl ed099b4aa6

nie popełniłby takiej gafy – komentuje w rozmowie z „Sieci" prof. Marek Chodakiewicz, historyk i znawca relacji polsko-żydowskich i polsko-amerykańskich, na co dzień pracujący w waszyngtońskim Institute of World Politics.

Jak dodaje, Polska ma „wszelkie racje, aby prowadzić śledztwo w sprawie rzekomej czy faktycznej prowokacji dziennikarskiej, która doprowadziła do zorganizowania narodowo-socjalistycznej imprezy honorującej Hitlera". – Jeśli faktycznie afera ta została sztucznie wywołana przez telewizję, to trzeba to nagłośnić, czyny gloryfikujące nazizm i jego wodza w RP są bowiem nielegalne. Władze polskie powinny się nauczyć, jak takie sprawy komunikować w odpowiedni sposób. Inaczej znów wychodzą na buców łamiących wolność słowa, a powinny być bohaterami miażdżącymi prowokatorów i kłamców – podsumowuje prof. Chodakiewicz.

UWIEDZIONA

Były szef polskiej dyplomacji Witold Waszczykowski powiedział portalowi wPolityce.pl: „Wszystko wskazuje na to, że mamy kłopot z brakiem profesjonalizmu u pani ambasador. Pamiętajmy, że Georgette Mosbacher nie wywodzi się kręgów dyplomatycznych, ale jest nowojorską celebrytką, związaną z amerykańskim biznesem, co niesie za sobą bezpośredni styl prowadzenia rozmów".

„Nowojorskość" Mosbacher to kłopot, na który wskazuje nam także kolejny nasz rozmówca, były dyplomata. – Pani ambasador to establishment nowojorski, wielkomiejski, dlatego wiele obszarów, w których polski rząd jest stanowczy, nie musi jej się podobać – słyszymy. – W Stanach Zjednoczonych, bardzo podobnie jak w Polsce, ludzie poza dużymi miastami nie czują, by konieczne były np. większe prawa dla związków partnerskich albo prowadzenie polityki gender w szkołach. „Mieszczanie" aspirujący do klasy wyższej robią z tego zagadnienie, a pani Mosbacher wywodzi się właśnie z takich kręgów. Dlatego zupełnie prywatnie czuje pewnie większą bliskość z przeciwnikami rządu PiS, choć na poziomie wyższym Polskę i Amerykę łączy coraz ściślejsza współpraca, wręcz przyjaźń.

Nasi rozmówcy zwracają uwagę, że być może świeżo upieczona ambasador w jakimś stopniu dała się uwieść blichtrowi lewicowo-liberalnego towarzystwa. Na ich balach jest adorowana, obsypywana komplementami, nasiąka ich antyrządową retoryką. Na imprezach prawicowych, w odróżnieniu od wielu innych ambasadorów, nie bywa wcale.

Na dodatek większość jej współpracowników w ambasadzie to pozostałości po poprzednim rozdaniu, gdy prezydentem był demokrata Barack Obama. Dotyczy to dużej części amerykańskiej administracji. – Nie zapomnę, gdy w Departamencie Stanu USA przemawiał mianowany przez Trumpa Rex Tillerson. Skala niechęci do niego wśród urzędników średniego i niższego szczebla była ogromna. Telewizyjne zbliżenia na nich nie pozostawiały złudzeń: dominowały drwiące uśmiechy, ziewanie, ostentacyjne lekceważenie – mówi nam osoba znająca kuchnię dzisiejszych relacji polsko-amerykańskich.

„Jestem świadoma aktualnych obaw o poszanowanie demokratycznych instytucji w Polsce – wolności słowa, niezależności sądownictwa i rządów prawa – i jestem gotowa wyrażać nasze silne wsparcie dla tych kluczowych swobód, jeśli zostanę zatwierdzona jako ambasador" – mówiła Mosbacher przed objęciem placówki. W czasie przesłuchania w amerykańskim Senacie zapytana o wzrost nastrojów antysemickich w Europie wypaliła, że „został on wywołany przez prawo dotyczące Holokaustu, które uchwalono w Polsce".

Nasi rozmówcy dodają, że w kuluarowych rozmowach nie ukrywała, że obszarów konfliktogennych będzie za jej kadencji więcej: – Dosłownie pięć minut przed nominacją wysyłała sygnały, że obrona Discovery będzie dla niej priorytetem, więc dzisiejsza szarża nie jest dla nas zaskoczeniem. Wtedy jednak komunikowaliśmy zarówno ludziom z Departamentu Stanu USA, jak i z jej otoczenia, że ze strony polskich władz będą reakcje, jeśli pani ambasador wyjdzie ze swej roli i spróbuje wpływać na decyzje polityczne, które są poza jej kompetencjami. Nasi partnerzy rozkładali ręce, niejako przewidując, że może dojść do pewnych napięć – słyszymy od wpływowego polityka Zjednoczonej Prawicy.

Wszystko toczy się więc według przewidywanego scenariusza.

ZASLAV NOMINUJE?

W amerykańskiej publicystyce Mosbacher należy do kategorii FOD (Friend of Donald, przyjaciel Donalda), ale jako autorka listu do „ministra Moraweickiego" (pisownia oryginalna – przyp. red.) wypełniała raczej rolę „Friend of David", czyli przyjaciółki Davida Zaslava, szefa koncernu Discovery, do którego należy TVN. Ich dobra znajomość miała być decydującym czynnikiem w karierze dyplomatycznej Mosbacher. Jej nazwisko pojawiało się na liście kandydatów na nowych ambasadorów, ale nie w kontekście placówki w Warszawie, lecz w Brukseli bądź ewentualnie Dublinie. Według naszych rozmówców to właśnie Zaslav przekonał przyjaciółkę, by podjęła misję w polskiej stolicy.

Złośliwi komentują, że sama bizneswoman chciała rozpocząć karierę w polityce międzynarodowej, by być tą „ważniejszą Mosbacher" w amerykańskiej dyplomacji. Jest bowiem jeszcze jedna pani Mosbacher – Michele („Mica") – która była następczynią Georgette w roli małżonki Roberta Mosbachera (zmarłego w 2010 r. wpływowego biznesmena i polityka, sekretarza handlu w administracji George'a Busha). Michele w 2010 r. została honorowym konsulem Islandii. Georgette w dyplomacji zaszła więc już dużo dalej.

David Zaslav zrobi wiele, by bronić TVN, zwłaszcza w takiej sprawie, jak odkrywanie czających się po polskich lasach faszystowskich bojówek. Nie tylko dlatego, że pozycja stacji z Wiertniczej to realne dolary dla jego koncernu, ale też z powodu jego korzeni. Prezes Discovery pochodzi z żydowskiej rodziny, jego babka mieszkała nawet w Warszawie (wyjechała do USA tuż przed wybuchem wojny), a on sam (wspólnie m.in. ze Stevenem Spielbergiem) uczestniczył w 70. rocznicy wyzwolenia obozu w Auschwitz. Jest członkiem Komitetu Wykonawczego Fundacji Shoah i często angażuje się – osobiście, biznesowo i antenowo – w przedsięwzięcia upamiętniające Holokaust i „walczące z nienawiścią", w co przecież tak znakomicie wpisał się słynny materiał TVN.

eprasa.pl ed099b4aa6

– Silne związki z Zaslavem i brak ogłady dyplomatycznej to był przepis na pewną scysję z polskimi władzami. Doskonale dziś widzimy, że Mosbacher w dyplomacji jest debiutantką, i pewnie nieraz w przyszłości jeszcze zobaczymy tego pokłosie. Najwyraźniej nie czuje się do końca pewnie ani w tym obszarze, ani na tym terenie. Zdecydowanie woli apartament przy 5. Alei w Nowym Jorku czy rezydencję nad Zatoką Meksykańską – mówi nam ważny polityk z obozu władzy. Dodaje, że pani ambasador nie zamierzała na dobre rozstawać się z klimatem „słonecznego stanu", jak Amerykanie nazywają Florydę: – Tuż przed przyjazdem do Polski jej przyjaciele z południa USA mówili: „To chyba szybko się tu nie zobaczymy?", na co ona miała odpowiedzieć: „A skąd, zimy zamierzam spędzać właśnie tutaj".

Dziś musi się przygotować na chłodne miesiące nie tylko pod względem warszawskiej pogody, lecz i atmosfery w relacjach z polskim rządem.

> Trudno sobie wyobrazić, że się obrazi i nagle wyjedzie z Polski. Nie zostanie też odwołana. Będziemy więc musieli z Georgette jakoś żyć – słyszymy od polityka PiS

O tym, że pani ambasador jest dyplomatycznym żółtodziobem, świadczy też forma listu do Mateusza Morawieckiego. Sam fakt wysłania takiej korespondencji do premiera, a nie szefa MSZ, nagromadzenie literówek i – delikatnie mówiąc – niezręczności (choćby tytułowanie premiera „ministrem") dowodzi, że pismo nie przeszło przez urzędników ambasady, lecz było prywatnym oświadczeniem Mosbacher.

SKAZANI NA GEORGETTE

Pani ambasador lubi podkreślać, że Polska jest jednym z najbliższych sojuszników USA, że ma fantastyczną historię i że zrobi ona wszystko, by do końca przyszłego roku zniesiony został obowiązek wizowy dla obywateli naszego kraju wyjeżdżających do Stanów Zjednoczonych (w tej kwestii niewiele od niej zależy, a tak naprawdę nic). W kategoriach piarowskich w oficjalnych wypowiedziach rozpoczęła swoją misję udanie, zwyczajowymi, ale bardzo sympatycznymi komplementami. Urzędnicy z polskiego rządu podkreślają, że ma też już zasługi, o których nie wszyscy wiedzą: – Znacząco pomogła w przygotowaniach do wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Waszyngtonie, gdy kluczowe uzgodnienia zapadały w trybie „last minute". A przecież – choć ma swoje wpływy – to trzeba pamiętać, że nie jest osobą, która nieustannie wisi na telefonie z Donaldem Trumpem. Nie należy do grona najbliższych współpracowników prezydenta USA. Warto przypomnieć, że nie wspierała go znacząco w kampanii wyborczej, choć w chwili ataków na kandydata republikanów za jego zachowania względem kobiet wyraźnie stanęła po jego stronie – wskazuje jeden z naszych informatorów.

Jak dalej będzie się układała współpraca Mosbacher z polskimi władzami? Znamienne są słowa ważnego polityka PiS: – Trudno sobie wyobrazić, że się obrazi i nagle wyjedzie z Polski. Nie zostanie też odwołana. Będziemy więc musieli z Georgette jakoś żyć.

A to niechybnie oznacza piętrzące się napięcia. Nasi rozmówcy potwierdzają doniesienia o tym, że Mosbacher próbowała naciskać na polskich ministrów i prezydia parlamentu, aby nowelizacje prawa podatkowego faworyzowały amerykańskie firmy. Miała też interweniować w sprawie tweetów wicepremiera Glińskiego. Na dodatek, jak słyszymy, została przekonana przez urzędników ambasady, że nie jest wykluczone, iż Platforma Obywatelska wygra kolejne wybory. Jeden z najważniejszych parlamentarzystów PiS jest przekonany, że stąd wzięły się jej nasilone kontakty „po tamtej stronie" – obecność na urodzinach Lecha Wałęsy czy spotkania z politykami PO.

Po ujawnieniu skandalu z listem ambasador wielu komentatorów domagało się ostrej reakcji polskiego MSZ. Gdy nie było jeszcze wiadomo, jak zareaguje rząd, usłyszeliśmy taką opinię: – Mosbacher pewnie będzie wezwana w al. Szucha, ale jest inny problem – czy spotkanie z szefem naszej dyplomacji coś da? To człowiek, który w rozmowie ani cię nie oczaruje, ani cię nie przestraszy...

Jak się dowiadujemy, również z tego powodu uznano, że najlepszym ruchem ze strony rządu będzie lakoniczne i chłodne oświadczenie minister Joanny Kopcińskiej: „Nie zamierzamy bezpośrednio odnosić się do treści listu ambasador Mosbacher ani faktu jego opublikowania w mediach. Polska i Stany Zjednoczone pozostają w bardzo dobrych relacjach i nie zmieni tego jeden incydent".

Sprawa zamknięta? Tylko na pozór i tylko do czasu, bo Prawo i Sprawiedliwość prędzej czy później podejmie temat zmian na rynku medialnym. A to wywoła furię. – Amerykanie bardzo boją się ustawy o dekoncentracji mediów. W tym takich rozwiązań, które zabolą TVN. Jesteśmy w stanie przeforsować zapisy, które będą trzymały wszelkie standardy unijne. Bardzo trudno będzie je zaatakować pod pozorem dbania o praworządność czy wolność słowa – mówi nam jeden z wiceministrów.

Jednocześnie dodaje, że należy się liczyć z silniejszą kontrą amerykańskich elit wobec polskiego rządu w wielu sprawach. – Za chwilę nastąpi zmiana warty w Izbie Reprezentantów. Od stycznia dojdą w niej do władzy demokraci, a w kilku kluczowych komisjach osoby otwarcie niechętne Polsce (np. komisją spraw zagranicznych ma kierować człowiek, który sprzeciwiał się naszemu wejściu do NATO). Nie wątpię, że nasi „ambasadorowie i przyjaciele" w rodzaju Radka Sikorskiego i jego małżonki na pewno skwapliwie z tego skorzystają, wbijając klin w relacje polsko-amerykańskie.

Prawdziwy test przyjaźni z Polską dla Georgette Mosbacher dopiero nadejdzie.

eprasa.pl ed099b4aa6



KONRAD KOŁODZIEJSKI



Fot. Tomasz Jastrzebowski/REPORTER

Po pierwsze – biznes, po drugie – przyjaźń

Nikt nie chce kryzysu w relacjach polsko-amerykańskich, ale pewne otrzeźwienie co do natury naszych wzajemnych relacji na pewno nam się przyda. I tu akurat ambasador Mosbacher rzeczywiście zrobiła nam przysługę

Gdy latem ujawniono kandydaturę Georgette Mosbacher na nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce, wiele osób było zaskoczonych. Zwłaszcza na prawicy spodziewano się, że Donald Trump przedstawi do pełnienia misji w Polsce jakąś ważną figurę, doświadczonego dyplomatę, aby podkreślić w ten sposób szczególny rodzaj więzi łączącej nasze państwa. Jednak zamiast męża stanu zobaczyliśmy dość ekscentryczną z wyglądu i zachowania bizneswoman, dla której placówka w Polsce miała być dyplomatycznym debiutem. Owszem, Mosbacher, jak wynika z jej biogramu, angażowała się wcześniej w różne przedsięwzięcia związane z polityką zagraniczną, wspomina się m.in. jej związki z Atlantic Council czy Foreign Policy Association, ale wiele wskazywało na to, że wyjazd na placówkę dyplomatyczną jest raczej spełnieniem prywatnych ambicji wpływowej milionerki. Sama zresztą miała to potwierdzać, sugerując – zdaniem jednego z moich rozmówców – że gdy przedstawiono jej ofertę ambasadorowania, wybrała sobie Polskę, bo była jej bardzo ciekawa. I że równie dobrze mogłaby pojechać zupełnie gdzie indziej.

Czy była to tylko kokieteria i czy tak było w rzeczywistości, to dość ważne pytania. Zwłaszcza w kontekście jej późniejszych działań już w roli ambasadora.

PIERWSZE ZGRZYTY

Zanim jeszcze objęła funkcję, doszło do pierwszego zgrzytu. W czerwcu podczas przesłuchań przed senacką komisją spraw zagranicznych w USA stwierdziła, że nowelizacja ustawy o IPN doprowadziła do wzrostu antysemityzmu w Polsce. Powiedziała także, że zamierza „pracować z polskim rządem", aby ten przyjął w ramach relokacji „sprawiedliwą część uchodźców". Mosbacher miała – wedle jej słów – zdawać sobie sprawę „z zastrzeżeń odnoszących się do poszanowania instytucji demokratycznych w Polsce, ograniczania wolności słowa, niezawisłości sądów i rządów prawa". Taki komunikat ze strony przyszłego ambasadora powinien zapalić lampkę alarmową w głowach polskich władz. Bo oto okazuje się, że Stany Zjednoczone uchodzące za naszego największego sojusznika przysyłają nam posła, który otwarcie kwestionuje naszą politykę.

Być może lampka się zapaliła, ale sygnał zignorowano. Nikt nie chciał przecież zadrażniać stosunków z Waszyngtonem z powodu kilku niezręcznych zdań wypowiedzianych przez przyszłą ambasador. Wszystko zrzucono na karb jej braku doświadczenia i uznano, że jakoś się ułoży.

Niestety, nie ułożyło się. Wkrótce po przybyciu do Warszawy ambasador szybko dała się wciągnąć w wir polskich

eprasa.pl ed099b4aa6



spraw. Swoją prezentację polskiej publiczności rozpoczęła od wywiadu udzielonego telewizji TVN, po którym komentowano głównie jej dość niecodzienny jak na standardy dyplomacji styl ubierania się. Wybór tej stacji tak bardzo nie dziwił, jest ona bowiem własnością wielkiego amerykańskiego koncernu medialnego Discovery. Jednak kolejne miesiące pokazały, że kontakty ambasador z zaprzyjaźnioną stacją wychodzą poza zwyczajowe reguły. Mosbacher była jedną z gwiazd wrześniowego Balu Fundacji TVN, a pod koniec października udzieliła kolejnego wywiadu stacji, w którego trakcie obiecywała m.in., że „załatwi" zniesienie wiz dla Polaków (pomijając przy tym drobny fakt, że zniesienie wiz nie leży w kompetencjach ambasadora).

W OBRONIE TVN

Rosnącą aktywność ambasador w kontaktach ze stacją otwarcie zwalczającą obecny polski rząd można było uznać za formę rozłożenia nad TVN parasola ochronnego. Zwłaszcza w kontekście kolejnych wydarzeń, które nastąpiły po ujawnieniu przez portal wPolityce.pl informacji na temat śledztwa prowadzonego w związku z reportażem TVN o „urodzinach Hitlera" w lesie na Śląsku. Z informacji tych wynikało, że „urodziny Hitlera", które miały dowodzić istnienia rzekomych nazistowskich sympatii wśród Polaków, mogły być ustawką zorganizowaną przez tajemniczych zleceniodawców. Ten trop śledztwa, który stawia pod znakiem zapytania prawdziwość przedstawionej przez TVN historii, wywołał gwałtowną interwencję ambasador.

Podczas listopadowego spotkania z posłami w Sejmie zagroziła konsekwencjami w przypadku „gwałcenia wolności prasy". Niedwuznacznie dała też do zrozumienia, że Stany Zjednoczone nie zaakceptują jakiejkolwiek próby repolonizacji mediów. „Powinniście mieć świadomość, że jedna rzecz, co do której Kongres amerykański się zgadza, zarówno demokraci, jak i republikanie, to jest wolność prasy. I nie mogę tego mocniej wyrazić. W tej chwili Kongres w USA jest bardzo pozytywnie nastawiony do Polski. I demokraci, i republikanie bardzo chętnie pomagają Polsce, bo wiedzą, że Polska jest bardzo ważnym sojusznikiem. Ale to się może wszystko posypać, jeśli chodzi o wolność prasy. I mówię to państwu, bo słyszę o tym ciągle" – ostrzegała.

Sejmowe wypowiedzi ambasador, choć za daleko idące, były jeszcze ujęte w oględnej formie. Część przysłuchujących się posłów prawicy próbowała nawet bronić Mosbacher, twierdząc, że nie powiedziała niczego kontrowersyjnego, starając się nie dostrzegać, że była to ewidentna próba ingerencji w proces ustawodawczy.

Wszelkie złudzenia rozwiał list wysłany przez ambasador do premiera Morawieckiego, w którym otwartym tekstem przyznała, że chodzi jej przede wszystkim o TVN i o śledztwo w sprawie „urodzin Hitlera". Na marginesie listu dopisała odręcznie, że kwestia ta wymaga rozwiązania, bo szkodzi innym „naprawdę ważnym" sprawom. To zapachniało szantażem.

Przypomnijmy, że TVN już rok temu stała się przedmiotem sporu na linii Warszawa–Waszyngton, gdy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nałożyła na TVN karę finansową za relacje z „sejmowego puczu" w grudniu 2016 r. Wówczas odstąpiono od kary. Aby nie zadrażniać relacji z Ameryką. Teraz, po spektakularnym odwołaniu spotkania z Mosbacher przez wicepremiera Jarosława Gowina, zdecydowano się zignorować żądania ambasador. Jednak czy ona sama pogodzi się z tym i usunie się w cień? I czy my sami mamy wystarczająco duże pole manewru?

CHODZI O BIZNES

Wielkie zaangażowanie Mosbacher w obronie „wolnych mediów" nie ma wyłącznie politycznego charakteru. Wydaje się, że jest wręcz przeciwnie, że chodzi tu głównie o interesy amerykańskiego biznesu.

Gwałtowna obrona TVN może mieć swoje źródło w bliskiej znajomości, jaka ma łączyć Mosbacher z prezesem Discovery Davidem Zaslavem. Zaslav uchodzi za najlepiej opłacanego menedżera w USA. Zgodnie z wynegocjowanym właśnie kontraktem szef Discovery zarabia 3 mln dolarów rocznie podstawowej pensji plus 6 mln w bonusach i akcjach. Nic więc dziwnego, że jest potężną i wpływową osobą w Ameryce.

Zaslav, choć towarzysko związany z liberalnym establishmentem, unika politycznych zatargów z administracją Trumpa, przeciwnie – kilka razy ciepło wypowiadał się o jego polityce gospodarczej. Zna również Jareda Kushnera – wpływowego zięcia obecnego prezydenta USA.

Zdaniem niektórych moich rozmówców (z uwagi na delikatny temat woleli pozostać anonimowi), to właśnie Zaslav zarekomendował Mosbacher Trumpowi. W tym znaczeniu

eprasa.pl ed099b4aa6

jest ona więc nie tylko ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Polsce, ale również – i to w niewiele mniejszym stopniu – adwokatem amerykańskiego biznesu. Miała o tym powiedzieć wprost na pierwszym spotkaniu z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim.

Świadczyć o tym mogą również bulwersujące doniesienia dziennikarzy „Do Rzeczy" Marcina Makowskiego i Wojciecha Wybranowskiego, którzy dowiedzieli się, że ambasador wzywała (!) do siebie na rozmowy osoby z polskiego rządu pracujące nad nowelizacją ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych, domagając się od nich uprzywilejowania amerykańskich firm działających w Polsce.

ŁOWY Z PIESKIEM

Patrząc na biografię Mosbacher, trudno się powstrzymać od wrażenia, że najważniejszą rolę w jej życiu odgrywały pieniądze. W jednej z dwóch napisanych przez nią książek „motywacyjnych" dla kobiet (tak określa się poradniki w rodzaju: „jak dopaść milionera" albo „jak być sobą") napisała, że najważniejsze jest, aby nie czekać biernie na okazję, ale samemu jej szukać. Książka ta zatytułowana „It takes money, honey" (w luźnym tłumaczeniu: „Bez pieniędzy się nie uda, kochanie") ma pomóc kobietom w osiągnięciu niezależności finansowej. Mosbacher, posiłkując się własnym doświadczeniem, doradza w niej m.in., jak dopaść milionera. W tym celu trzeba kupić psa i codziennie wyprowadzać go na spacer do bogatej dzielnicy. To pozwoli poznać krezusa, zaprzyjaźnić się z nim, a w końcu wyjść za niego za mąż.

Pochodząca z Indiany 71-letnia Georgette Mosbacher wie, co mówi, bo była już trzykrotnie zamężna. Obecne nazwisko odziedziczyła po swoim trzecim mężu (rozwód w 1998 r.), nieżyjącym Robercie Mosbacherze, multimilionerze i pasjonacie żeglarstwa z bogatego w ropę naftową Teksasu, którego George H.W. Bush mianował w 1989 r. swoim sekretarzem handlu. To właśnie Mosbacher wprowadził swoją ówczesną żonę w środowiska biznesu i polityki – te związane z Partią Republikańską.

Złośliwi twierdzą, że tylko pomocy męża Mosbacher zawdzięcza kupno w 1987 r. szwajcarskiej firmy kosmetycznej La Prairie, która była właścicielem takich marek jak Revlon czy Estée Lauder. Cztery lata później sprzedała ją z zyskiem niemieckiemu koncernowi Beiersdorf i zajęła się zarządzaniem innym koncernem kosmetycznym – Borghese.

Amerykańskie serwisy plotkarskie twierdzą, że rozwiodła się ze swoim bajecznie bogatym mężem, bo imponowało jej życie w liberalnym Nowym Jorku, gdzie miała wart 10 mln dolarów apartament przy 5. Alei. Zresztą swój rozwód też spieniężyła, wykorzystując go do promocji wspomnianej książki o „niezależności finansowej", którą wydała wkrótce po rozwodzie.

Mosbacher, sama już będąc milionerką, zainwestowała również w politykę, wpłacając w ciągu kilkunastu następnych lat ponad pół miliona dolarów na rzecz Partii Republikańskiej. Potrafiła również mocno obsztorcować tych kongresmenów, którzy – jej zdaniem – nie wywiązywali się ze złożonych obietnic. W końcu była jedną z ważnych donatorek.

STRUKTURALNA NIEMOC

Podobną taktykę przyjęła dzisiaj w Polsce. Uważa, że skoro amerykańskie firmy inwestują tu pieniądze, to należy im się specjalne traktowanie. Jest to zresztą zgodne z filozofią samego Trumpa. Jeden z moich rozmówców twierdzi, że Trump osobiście lubi Polskę, bo – jak dodaje ironicznie – lubi tych, którzy mu przyklaskują. Wskazuje jednak, że jego polityka opiera się na czysto biznesowym podejściu: Amerykanie chcą wyciągnąć jak najwięcej i w zamian dać jak najmniej. Problem w tym, że Polska nie ma aż tylu atutów, aby w tej grze być równoprawnym partnerem, a Amerykanie doskonale o tym wiedzą i wykorzystują to.

> List do polskiego rządu miał zostać uznany w Waszyngtonie za zbyt daleko idący. Jednak nikt oficjalnie tego nie potwierdzi, nie ma bowiem zwyczaju krytykować pracy własnego dyplomaty

Kłopot z Mosbacher polega na tym, że zachowuje się ona jak słoń w składzie porcelany. Poprzedni ambasadorowie również wywierali naciski, moi rozmówcy wskazują tu zgodnie przede wszystkim na Nicholasa Reya, ale robili to bardziej dyskretnie. Nie wszyscy też tak ostentacyjnie jak Mosbacher wspierali jedną stronę politycznego sporu.

Zdaniem niektórych przekonanie polskiej prawicy, że jest jedyną alternatywą dla Trumpa, to błąd. Polityce prawicy sprzyja głównie prawe skrzydło republikanów, poglądy pozostałych są bliższe tym, które reprezentuje u nas PO. Zresztą Platforma, choć wyraźnie stawiająca na Niemcy i Unię, może się okazać dla nich bardzo dobrym partnerem, jeśli nawet nie politycznym, to na pewno biznesowym. Amerykanie mogą uznać ją za sprawiającą im mniej kłopotów.

Mimo to list wystosowany przez Mosbacher miał zostać uznany w Waszyngtonie za zbyt daleko idący. Jednak nikt oficjalnie tego nie potwierdzi, nie ma bowiem zwyczaju krytykować pracy własnego dyplomaty. Przeciwnie, rzeczniczka Departamentu Stanu Heather Nauert stwierdziła tydzień temu, że „ambasador Mosbacher wykonuje kawał dobrej roboty".

Rzecz jasna nikt nie chce kryzysu w relacjach polsko-amerykańskich, ale pewne otrzeźwienie, co do natury naszych wzajemnych relacji, na pewno nam się przyda. I tu akurat ambasador Mosbacher chyba rzeczywiście zrobiła nam przysługę.

6/0918/F

eprasa.pl ed099b4aa6



**GDY PROBLEMY SĄ ZBYT POWAŻNE STARAMY SIĘ ICH NIE DOSTRZEGAĆ.
PORNOGRAFIA TO POWSZECHNY PROBLEM WŚRÓD DZIECI I MŁODZIEŻY.
NIE ZNIKNIE DLATEGO, ŻE NIE BĘDZIEMY GO WIDZIEĆ.
CHROŃ DZIECKO. WEJDŹ NA WWW.OPORNOGRAFII.PL**

Ponad 22% chłopców w wieku 14-16 lat ogląda pornografię kilka razy w tygodniu, a ponad 11% robi to co najmniej raz dziennie.
*Badania IPZIN, N=5640

OPORNOGRAFII.PL
STOWARZYSZENIE TWOJA SPRAWA

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości.

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. Omar Marques/SOPA Images/REX/Shutterstock/East News

Odwrót z placu Krasińskich

Po przeszło roku od rozpoczęcia akcji zmierzającej do usunięcia sędziów Sądu Najwyższego jest dziś jasne, że przyniosła ona liczne szkody, nie dając zarazem żadnego pożytku



JAN ROKITA

PiS bezwarunkowo i w całej rozciągłości wycofało się z planu usuwania 65-letnich starców ze składu Sądu Najwyższego. Jak zwykle stało się to nagle i w trybie prawnym wołającym o pomstę do nieba. Wniesiona rano 21 listopada do Sejmu poselska ustawa, wieczorem już była aktem prawnym czekającym tylko na formalne zatwierdzenie przez Senat. Jak wiadomo, bezpośrednią przyczyną tej radykalnej zmiany dotychczasowej polityki stało się zarządzenie, jakie w Luksemburgu jednoosobowo wydała hiszpańska sędzia Rosario Silva de Lapuerta. Jej nazwisko z pewnością przejdzie nie tylko do politycznej historii Polski, skoro w pojedynkę potrafiła skutecznie pokonać całkiem spore państwo europejskie. Lecz także znajdzie się ono w annałach europejskiego sądownictwa, gdyż przy okazji sporu z Polską Silvie de Lapuercie udało się również istotnie poszerzyć uprawnienia paneuropejskiego trybunału luksemburskiego.

NIEJEDEN POWÓD

Polityczne przesłanki, które skłoniły Jarosława Kaczyńskiego do zarządzenia odwrotu, są z grubsza jasne. Na odwrót nalegał premier Mateusz Morawiecki, który najwyraźniej nie miał żadnej taktyki na okoliczność, gdyby instytucje europejskie zaczęły nakładać na Polskę kary za opieranie się zarządzeniom luksemburskich sędziów. Morawiecki zdawał sobie sprawę, że przyzwalając na jakiekolwiek, nawet tylko symboliczne finansowo kary, rozpętałby jeszcze silniejszą wewnętrzną nagonkę na rząd, odwołującą się do najbardziej prymitywnego, ale dość powszechnego w Polsce „filoeu-

eprasa.pl ed099b4aa6

ropeizmu", którego sednem jest pragnienie (jak to mawiają potocznie) „wyciskania brukselki".

Tego konfliktu z umiłowaniem dla płynących do kraju via Bruksela niemieckich pieniędzy nie byłby w stanie wygrać w Polsce żaden rząd.

Z kolei na samym Kaczyńskim mocne wrażenie musiały zrobić zarówno przegrane przez PiS wybory komunalne w wielkich, a nawet średnich miastach, jak i sondaże pokazujące (np. w CBOS), że aż 53 proc. rodaków chce bezwzględnego podporządkowania się przez Polskę nakazom instytucji europejskich (w tym także większość elektoratów Kukiza i PSL), podczas gdy tylko 31 proc. ma przeciwne zdanie. Raz jeszcze można tu zobaczyć stary polski kompleks wobec Zachodu, który jest tym trwalszy i silniejszy, im częściej i ostrzej władza oraz związane z nią media opowiadają o polskiej dumie narodowej i werbalnie walczą z tzw. pedagogiką wstydu. Nic w tym zresztą dziwnego. Prawda to dobrze znana, że narody mające autentyczne poczucie siły i dumy nie zwykły przecież wykrzykiwać co dzień tych uczuć ustami swoich polityków i publicystów.

Na decyzję Kaczyńskiego wpłynęło też zapewne oskarżenie szeroko omawiane w mediach, iż PiS jeśli nie dąży, to co najmniej godzi się na perspektywę wyjścia Polski z Unii. Co prawda, jeśli brać pod uwagę nagie fakty, to o wiele bardziej prawdopodobna jest dziś samolikwidacja Unii, niźli opuszczenie jej przez Polskę. Ale dla politycznej propagandy fakty mają niezbyt istotne znaczenie. Opozycyjne media (zwłaszcza „Gazeta Wyborcza") całkiem sprawnie wylansowały bowiem w tej materii rzeczywistość alternatywną, która stała się ostatnio kanonicznym motywem debaty publicznej.

Za opozycyjną gazetą rzecz została podjęta przez tabloidy, telewizje i polityków, a przede wszystkim stała się istotnym tematem politycznym w sieci. W charakterze groźby i przestrogi regularnie odwołuje się do niej szef Rady Europejskiej Donald Tusk, a dziennik „Rzeczpospolita" zlecił już nawet badania opinii Polaków, jak będą głosować w ewentualnym polexitowym referendum. Używając terminologii wielkiego pisarza Józefa Mackiewicza, mamy tu do czynienia ze znanym w polityce fenomenem „zwycięstwa prowokacji", to znaczy takiej sytuacji, w której miliony ludzi zaczynają brać celowo stworzoną dla nich fikcję za opis politycznej rzeczywistości.

Nie zmienia to tego, że sukces opozycji w rozpropagowaniu owej prowokacyjnej fikcji jest znaczący, co nieuchronnie napędza trend wzrostu liczby obywateli zatroskanych, iż kontynuacja sporu z luksemburskim sądem może się niefortunnie skończyć polexitem. W powszechnym rozemocjonowaniu ową fikcyjną kwestią niemal całkiem zapomniane zostało to, iż jedynym politykiem, który wzywał Brukselę do ukarania Polski wyrzuceniem z Unii, był... Lech Wałęsa. Jest oczywiście jasne, że nawet w jego przypadku brało się to raczej z rozpaczliwego poszukiwania jakiegoś „bata na Kaczyńskiego" niźli z prawdziwego pragnienia, aby Polska znalazła się poza UE.

POLITYCZNA CENA

Po przeszło roku od rozpoczęcia akcji zmierzającej do usunięcia sędziów Sądu Najwyższego jest dziś jasne, że przyniosła ona liczne szkody, nie dając zarazem żadnego pożytku. W politycznej perspektywie musi być zatem zakwalifikowana jako kolejny duży błąd Jarosława Kaczyńskiego (a więc gorzej niż zbrodnia, jak mawiał Talleyrand), za który zarówno PiS, jak i Polska sporo już zapłaciły i jeszcze będą płacić. Co więcej, długofalowe szkody na tej operacji poniesie także UE (o czym nieco dalej).

Nigdy za wiele przypominać, że personalna czystka w SN nie była w żadnym razie istotnym elementem całokształtu pisowskich reform sądowych, których sedno od początku leżało przecież nie w tym, iż dwa lata przed czasem wyrzuci się z sądu antypisowską prezes Gersdorf wraz z grupą starców, ale na głębokiej zmianie ustrojowej, odbierającej korporacji prawniczej prawo do niekontrolowanego władania polskim wymiarem sprawiedliwości, bez baczenia na interesy obywateli i poczucie sprawiedliwości. Znaczy to, że nieudolnie podejmowane dwie kolejne próby szybkiego pozbycia się dotychczasowego składu SN nie były żadną „reformą", ale raczej politycznym wybrykiem, wynikającym z niecierpliwości i emocjonalnej nadpobudliwości obozu rządzącego.

Nieudolność owych prób widać dziś bardzo wyraźnie – zwłaszcza że pierwsza z nich, która miała prowadzić do usunięcia całego składu SN, skończyła się falą potężnych antyrządowych demonstracji latem ubiegłego roku oraz prezydenckim wetem, czyli spektakularnym konfliktem wewnątrz obozu rządowego. Obecnie zaś jeszcze większym fiaskiem kończy się próba druga, mniej ambitna, bo ograniczona tylko do usunięcia 65-letnich starców. Poczucie triumfu sędzi Gersdorf jest więc autentyczne, a gratulacje, jakie odbiera w tych dniach od swoich zwolenników, uzasadnione.

Z perspektywy walki o władzę, jaka na całego rozgorzeje w Polsce w przyszłym roku, finał przewlekłej awantury z Gersdorf z pewnością nie przyczynił się do wzrostu przedwyborczej pozycji PiS. Spektakularny odwrót z placu Krasińskich, pod presją złych okoliczności, bardzo trudno będzie przekuć w perspektywę sukcesów w przyszłości. Nazbyt oczywiste jest to, iż szefostwo PiS nie przemyślało w odpowiednim czasie możliwych złych scenariuszy wyprawy na Sąd Najwyższy, dokładnie tak jak w słynnej maksymie sędziego Soplicy: „Ja z synowcem na czele i jakoś to będzie". Sposób działania PiS powiela więc w tym przypadku niemal archetypiczne polskie wady narodowe.

Co więcej, politycy i prorządowi publicyści nieskończenie wiele razy publicznie powtórzyli, iż opozycja działa wedle koncepcji „ulica i zagranica", ale dziś widać, że sami nawet nie próbowali wyciągnąć z tej słusznej opinii żadnych wniosków. Przypomnijmy więc, że latem tego roku byli prezydenci Wałęsa, Kwaśniewski i Komorowski razem z byłymi premierami i ministrami słali emocjonalne apele do Komisji Europejskiej, w których wprost twierdzono, iż dla opozycji ostatnią deską ratunku byłoby jak najszybsze złożenie przez komisarzy pozwu przeciwko Polsce w trybunale luksemburskim. Obecny odwrót PiS na żądanie sędzi Silvy de Lapuerty unaocznia, jak bardzo roztropna była to taktyka. Ale pokazuje też, jak bardzo PiS nie potrafiło jej niczym zneutralizować. Nie bez powodu jeden z ideologów antypisowskiej opozycji Marek

eprasa.pl ed099b4aa6

Beylin pisze teraz, iż obecna władza to „słabeusze" oraz że „pisowski walec zaczyna się sypać". Niedawne zwycięstwa wyborcze PO we wszystkich dużych miastach i obecny sukces Gersdorf przywracają opozycji utraconą już wiarę w odebranie Kaczyńskiemu władzy w przyszłym roku.

KWESTIA SUWERENNOŚCI

Szkodą dla kraju jest manifestacja jego ograniczonej suwerenności. Nie pomogą tu groźby palcem Kaczyńskiego, kierowane na sali sejmowej w stronę schodzącej z mównicy posłanki Anny Siarkowskiej (dawniej z Kukiz'15), która mówi, iż: „Wycofywanie się pod naciskiem instytucji unijnych, wykorzystanych do walki politycznej, wyznacza granice naszej suwerenności w bardzo nieciekawym miejscu". Nazbyt oczywista jest bowiem prawda słów Siarkowskiej.

Chodzi o to, iż jakiś stopień ograniczenia suwerenności po wstąpieniu do Unii jest oczywistością, więc w samym owym fakcie nie musiałoby wcale być jeszcze niczego złego. Kłopot jednak w tym, że to politycy PiS doprowadzili do skrajności „suwerennościową" retorykę polityczną, prześcigając się przez całe miesiące w podkreślaniu, jak bardzo zamierzają być „niezłomni" (prezydent Duda mówił to nawet o samym sobie, nie dostrzegając w tym śmieszności), także wobec zakusów instytucji europejskich. Politycy o słabym raczej uchu społecznym, tacy jak europoseł Czarnecki, tuż po okazaniu spektakularnej uległości wobec luksemburskiego sądu natychmiast bez zahamowań strzelają z najcięższych dział do kanclerz Merkel, gdyż publicznie mówi ona oczywistość, iż Unia znaczy także oddawanie części suwerenności. Ci sami posłowie, którzy zarzekali się w imię najświętszych zasad, iż Unii nie oddadzą ani guzika, teraz w milczeniu głosują za podporządkowaniem się państwa zarządzeniu sędzi Silvy de Lapuerty. W demokratycznej polityce, w której zwykli ludzie szczególnie uwrażliwieni są na hipokryzję, takie rzeczy nigdy nie uchodzą bezkarnie.

> Zawsze okazanie słabości skłania przeciwników do zaostrzenia presji

Trzeba także pamiętać, iż odwrót z placu Krasińskich nie oznacza bynajmniej końca konfliktu Polski z instytucjami unijnymi. Pracujący w Brukseli dziennikarze (np. z Radia RMF) rychło się dowiedzieli, że szansa na cofnięcie pozwu Komisji przeciw Polsce jest nikła. A procedura karna z art. 7 traktatu lizbońskiego, jak się wlokła w Radzie UE, tak się zapewne będzie wlec dalej. Być może tylko następna rumuńska prezydencja będzie mniej skora do używania owej procedury do swoistego „nękania" polskiego rządu, co z satysfakcją w obecnym półroczu czyni prezydencja austriacka. To znów są żelazne prawa polityki, których PiS zdaje się nie przyjmować do wiadomości. Zawsze okazanie słabości skłania przeciwników do zaostrzenia presji. Ta reguła dotyczy najbardziej zajadłych wobec PiS brukselskich dygnitarzy (np. Timmermansa), ale przede wszystkim dotyczy opozycji krajowej, zarówno tej spod znaku partii opozycyjnych, jak i tej mocno okopanej teraz w polskich sądach.

Nie jest przypadkiem, że tym razem NSA (czyli niedawno obsadzony przez prezydenta sąd administracyjny) kieruje do Luksemburga pytania, których intencją nie jest już obrona usuwanych przez PiS sędziów (tych już bronić nie trzeba, bo są zwycięzcami), ale zakwestionowanie powołania 37 nowych sędziów w dwóch świeżo tworzonych izbach SN. Jak na dłoni widać nowy cel opozycji: skłonić Luksemburg do tego, aby sędzia Silva de Lapuerta (albo inny sędzia) zarządziła usunięcie owych strasznych „pisowskich nominatów" z SN. Opozycja nie zadowoli się teraz przecież sukcesem cząstkowym, ale tą samą skuteczną (jak się okazuje) drogą spróbuje podążyć dalej. Ciekawe, czy PiS wtedy zdecyduje się na natychmiastowe uchwalenie jeszcze jednej ustawy, odwołującej powołanych dopiero co przez prezydenta nowych sędziów? Konsekwencja tego właśnie by wymagała.

Obecny odwrót PiS z placu Krasińskich ma jeszcze jeden fundamentalny aspekt, na który bodaj nikt w Polsce nie jest skłonny zwracać uwagi. Unia znajduje się akurat w takim momencie, w którym z jednej strony Komisja i parlament (czyli tzw. instytucje wspólnotowe), z drugiej zaś europejskie sądy – walczą o przyznawanie im coraz większych kompetencji. W dzisiejszych warunkach politycznych ten trend jest zły dla całej Europy, prowokuje bowiem coraz większe wewnętrzne konflikty i napięcia. A przede wszystkim w wielu krajach daje pożywkę ruchom otwarcie antyunijnym, zagrażającym integracji europejskiej jako takiej.

Zapewne najgłośniejszym tego przykładem była nieudana próba wymuszenia ponadnarodowej władzy Komisji i sądów nad procesem tzw. relokacji imigrantów. Zarówno akcja Timmermansa przeciw Polsce, jak i obecne zarządzenie Silvy de Lapuerty są ważnymi ogniwami walki reprezentowanych przez nich instytucji o faktyczne poszerzenie swojej władzy.

Przez długi czas, aż do grudnia 2017 r. (gdy wniesiono w końcu sprawę z art. 7 traktatu lizbońskiego) Komisja działała przeciw Polsce bez podstawy traktatowej, nękając polskie władze, a te faktycznie zgadzały się na taką procedurę. Teraz z kolei Polska podporządkowała się zarządzeniu sądowemu, które zostało wydane wbrew oczywistym klauzulom tzw. protokołu polsko-brytyjskiego, w którym te dwa kraje zastrzegły sobie, iż nie mogą być pozywane przed Trybunał Luksemburski z tytułu naruszania unijnej Karty praw podstawowych. Tak jak wcześniej Komisja, tak teraz Luksemburg uzyskał ważny precedens na przyszłość, z którego wynika, że słuchać sędziów europejskich mają obowiązek wszystkie unijne państwa, także te, które traktatowo zastrzegły sobie zachowanie suwerenności w tym zakresie.

PiS, które na wszystkich frontach głosi walkę z nadmiernymi uroszczeniami Brukseli i Luksemburga, swoim postępowaniem stwarza im wyborne okazje do faktycznego powiększania władzy. Trudno zaiste o bardziej przewrotny, ba... groteskowy efekt polskiej, nieudolnej polityki.

eprasa.pl ed099b4aa6

Bezpłatne testy Niebieskiego Szlaku

LOTOS umożliwił kierowcom samochodów elektrycznych i hybrydowych swobodny przejazd autostradami A1 i A2 pomiędzy Warszawą a Trójmiastem. Od 26 października na tej trasie testowanych jest 12 punktów ładowania pojazdów elektrycznych. Projekt LOTOSU – Niebieski Szlak – to jedyna inwestycja zmieniająca myślenie o podróżowaniu samochodem elektrycznym oraz umożliwiająca swobodne podróżowanie między miastami

Lokalizacja punktów ładowania została zaplanowana tak, aby najdłuższy odcinek między nimi nie przekraczał 150 km. Każda stacja na Niebieskim Szlaku ma kilka stanowisk ładowania i została wyposażona w ładowarkę o łącznej mocy 150 kW obsługującą trzy międzynarodowe standardy, co umożliwia pełne pokrycie rynku e-mobility.

Przez pierwszy miesiąc kierowcy na Niebieskim Szlaku bezpłatnie ładowali baterie pojazdów elektrycznych ponad 300 razy, a średni czas ładowania baterii wyniósł kilkadziesiąt minut. Przy ocenie tych danych warto pamiętać, że długość ładowania w dużym stopniu zależy od rodzaju i stanu technicznego baterii, stylu jazdy czy warunków atmosferycznych. Jeszcze przez jakiś czas ładowanie baterii będzie dłuższe niż tankowanie paliwa do baku. Różnica ta maleje z roku na rok, ponieważ technologie ładowania pojazdów elektrycznych są nieustannie rozwijane. Polskie Stowarzyszenie Paliw Alternatywnych podaje, że w Polsce zarejestrowanych jest 976 samochodów zasilanych tylko bateriami elektrycznymi oraz działa około 300 punktów ładowania.

CZTERY RAZY WIĘCEJ ŁADOWAREK DO ROKU 2020

LOTOS testuje już 12 ładowarek, ale w ciągu kilku lat planuje uruchomienie kolejnych 38. Wiele z nich zlokalizowanych będzie nie tylko na północy czy w centrum kraju, lecz również przy trasach zachodniej i południowej Polski. W planach uwzględniono budowę kolejnych punktów przy drogach ekspresowych i autostradach.

LOTOS CZERPIE Z FUNDUSZY UNIJNYCH

Niebieski Szlak – warty 1 mln euro projekt, współfinansowany do wysokości 50 proc. kosztów przez Unię Europejską, w ramach CEF (Instrument Łącząc Europę) – polega na przeprowadzeniu prac studyjno-badawczych, analiz danych dotyczących wykorzystania i funkcjonowania utworzonej w ramach pilotażu infrastruktury, systemu obsługi klienta, zachowań oraz preferencji klientów korzystających z usług ładowania pojazdów.

Projekt jest częścią realizowanej strategii rozwoju Grupy LOTOS na lata 2017–2022, dotyczącej rozwoju biznesu na nowych perspektywicznych rynkach (elektromobilność, CNG, LNG, wodór).



Od lewej: Patryk Demski, wiceprezes Zarządu Grupy LOTOS S.A., Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju, Mateusz A. Bonca, prezes zarządu Grupy LOTOS S.A., Paweł Sałek, doradca Prezydenta RP ds. polityki klimatycznej i ochrony środowiska

65/1118/F

PRZYSZŁOŚĆ PALIW ALTERNATYWNYCH

W ramach realizowanej do 2022 r. strategii koncern dąży do uzyskania pozycji lidera w obszarze paliw nowej generacji. Aby te plany urzeczywistnić, przedstawiciele Grupy LOTOS oraz spółki LOTOS Lab, jako podmiotu realizującego zadania w zakresie inicjowania, koordynowania, finansowania i realizacji projektów badawczo-rozwojowych w Grupie Kapitałowej LOTOS, podpisali we wrześniu br. dokumenty rozpoczynające wspólną działalność badawczo-rozwojową z Politechniką Warszawską. Współpraca polegać będzie na przygotowaniu prototypów wybranych urządzeń z obszaru niskoemisyjnego transportu oraz magazynowania energii.

eprasa.pl ed099b4aa6

Wykopki liderów

Aż w pięciu ugrupowaniach, w tym czterech z pięciu obecnych w Sejmie, podważa się przywództwo i próbuje wymienić szefów



STANISŁAW JANECKI

W kilku opozycyjnych partiach krąży żart, że ponieważ jesień 2018 r. była wyjątkowo ciepła, aż na listopad, a nawet grudzień, przedłużył się sezon wykopków, czyli wykopywania dotychczasowych szefów.

Wolę i ochotę wykopywania przewodniczącej Katarzyny Lubnauer całkiem wprost wyraził poseł Nowoczesnej Piotr Misiło, ale na razie to on został prawie wykopany, bo zawieszony. Wykopać przewodniczącego Sojuszu Lewicy Demokratycznej Włodzimierza Czarzastego chcieli warszawscy działacze partii. A teraz szukają zwolenników w innych regionach. W Platformie Obywatelskiej, Polskim Stronnictwie Ludowym oraz Kukiz '15 wykopki odbywają się nocą, czyli na razie wielu knuje, ale nie odważa się o tym otwarcie mówić. Ale to, że aż w pięciu ugrupowaniach, w tym czterech z pięciu obecnych w Sejmie, podważa się przywództwo i próbuje wykopać szefów, jest ewenementem. Tak się zdarza po wyborach parlamentarnych, a tym razem sezon wykopkowy wiąże się z wyborami samorządowymi, choć nie to jest decydującym czynnikiem. No i skutki wykopków mogą być widoczne dopiero na wiosnę.

TRZASKOWSKI ZA SCHETYNĘ

Najbardziej zaskakujące są przygotowania do wykopków w PO. W tej partii o wykopaniu przewodniczącego mówiono, ale rok temu. We wrześniu 2017 r. ukazał się sondaż Instytutu Pollster, gdzie za lepszych od Grzegorza Schetyny potencjalnych przewodniczących PO badani uznali Donalda Tuska (30 proc. wskazań), Borysa Budkę (20 proc.), Rafała Trzaskowskiego (19 proc.) i Ewę Kopacz (9 proc.). Schetyna znalazł się dopiero na piątym miejscu (6 proc.), minimalnie wyprzedzając Hannę Gronkiewicz-Waltz i Bartosza



Władysław Kosiniak-Kamysz (PSL), Katarzyna Lubnauer (.N) i Włodzimierz Czarzasty (SLD)

eprasa.pl

Arłukowicza (po 5 proc.). Schetyna zareagował szybko, przede wszystkim neutralizując zagrożenie ze strony Budki i Trzaskowskiego. Budkę uwikłał w robotę partyjną, dokładając mu zadań jako wiceprzewodniczącemu partii, Trzaskowskiego zaś uczynił kandydatem na prezydenta Warszawy. Nie mógł obu wyrzucić z partii, tak jak wcześniej niemiłosiernie krytykujących jego zdolności przywódcze Stefana Niesiołowskiego, Jacka Protasiewicza i Michała Kamińskiego, gdyż Budka i Trzaskowski byli za silni. Przez następnych kilka miesięcy problem przywództwa w PO wydawał się rozwiązany, tym bardziej że Schetyna stał się niekwestionowanym liderem całej opozycji, praktycznie zjadając Nowoczesną, Budka coraz częściej udowadniał, że się na szefa nie nadaje, Trzaskowski zaś nie miał czasu na nic poza kampanią wyborczą.



Po wyborach samorządowych, które w sejmikach wojewódzkich i radach powiatów PO wyraźnie przegrała z PiS, Schetyna przypisał sobie zasługi w sukcesach w miastach. Z tym był już jednak problem, bo zwycięzcy, przede wszystkim Rafał Trzaskowski w Warszawie, Hanna Zdanowska w Łodzi, Jacek Jaśkowiak w Poznaniu czy Bogdan Wenta w Kielcach, wygraliby bez Schetyny, a nawet wbrew niemu. W Gdańsku i Szczecinie kandydaci Schetyny nawet nie weszli do drugiej tury. W Krakowie i Wrocławiu Schetyna tylko poparł kandydatów działających jako własna marka, a ich wygrana miała z tym wsparciem niewiele wspólnego. Gdy więc przyszło do rozliczania przewodniczącego Schetyny po wyborach, nie bardzo miał on co pokazać po stronie sukcesów. A uznawany przez Schetynę za głównego rywala Trzaskowski wzmocnił się wobec niego wygraną w pierwszej turze.

Nie od dziś wiadomo, że Schetyna nie jest wymarzonym szefem PO dla Tuska, a mówiąc bez ogródek – panowie się nie cierpią, choć muszą stwarzać pozory. W związku z przymiarkami Tuska do powrotu do krajowej polityki oraz startu w 2020 r. w wyborach prezydenckich przywództwo Schetyny jest przeszkodą, a nie atutem. Z moich informacji wynika, że po sukcesie w wyborach w Warszawie Trzaskowski kilka razy rozmawiał z Tuskiem. Ich wspólny plan miałby być taki: jeszcze przed wyborami do europarlamentu (w maju 2019 r.) doprowadzić do zastąpienia Schetyny Trzaskowskim na stanowisku przewodniczącego PO (bez rezygnacji z prezydentury w Warszawie). Miałby to być atut w wyborach europejskich, skoro Trzaskowski jest Europejczykiem pełną gębą, Schetyna zaś ma raczej wizerunek polityka zaściankowego. A do wyborów do Sejmu i Senatu Platformę mieliby już wspólnie poprowadzić Trzaskowski z Tuskiem (rezygnującym ze stanowiska kilka miesięcy przed upływem kadencji). I wtedy Trzaskowski byłby kandydatem PO na premiera, Tusk zaś na prezydenta. Ten scenariusz ma w PO wielu zwolenników, poza samym Schetyną, dla którego oznacza koniec kariery jako poważnego polityka. Schetyna ma o tym scenariuszu wiedzieć, jednak niewiele może zrobić, żeby mu się przeciwstawić, choć łatwo się nie podda. Co oznacza, że wiosną 2019 r. Schetyna może przestać być szefem PO.

ŁABĘDZI ŚPIEW LUBNAUER I KOSINIAKA-KAMYSZA

Pozbawienie Schetyny przywództwa w PO oznaczałoby też koniec kariery Katarzyny Lubnauer w roli przewodniczącej Nowoczesnej. O ile wcześniej nie dojdzie do rokoszu wewnątrz tej partii albo do jej kompletnego wyssania: z jednej strony przez PO, z drugiej – przez partię Teraz! Ryszarda Petru. Po przyłączeniu się rekomendowanego przez Nowoczesną Wojciecha Kałuży do PiS w sejmiku województwa śląskiego zaczęły się rozliczenia w partii Lubnauer. Najbardziej obrywają sekretarz generalny Adam Szłapka oraz szefowa śląskich struktur Monika Rosa, ale fala krytyki dotknęła też samą przewodniczącą, której głowy domagał się Piotr Misiło. Jeśli nawet Lubnauer doczeka wiosny na stanowisku przewodniczącej, nie będzie miała politycznego znaczenia nawet dla Schetyny. A tym bardziej dla Trzaskowskiego, gdyby Schetynę zastąpił. Wiele wskazuje na to, że większość struktur Nowoczesnej w regionach przejdzie do Petru, co oznacza, że Lubnauer będzie królową bez ziemi. Misiło i kilku innych działaczy Nowoczesnej nie chce dopuścić do „rozgrabienia" Nowoczesnej, dlatego zamierzają jak najszybciej obalić Lubnauer. A potem chcą rozluźnić, a nawet zerwać więzi z PO, żeby uratować tożsamość i odstręczyć członków partii od przechodzenia do ugrupowania Petru. Los Lubnauer jest wiec praktycznie przesądzony, a jedynym dla niej wyjściem może się okazać wstąpienie do PO i objęcie tam funkcji wiceprzewodniczącej, dopóki Schetyna ma na to ochotę i jeszcze może to zrobić.

W trochę, ale tylko trochę lepszej sytuacji od Lubnauer jest prezes PSL, koalicjanta PO w województwach i powiatach, Władysław Kosiniak-Kamysz.

Fot. Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor (x2)

eprasa.pl ed099b4aa6

Gdy trwały negocjacje w sprawie koalicji w samorządach, wielu lokalnych działaczy PSL domagało się zmiany strategicznego sojusznika z PO na PiS. Kosiniak-Kamysz się nie ugiął, strasząc działaczy, że zostaną przez PiS zjedzeni, tak jak to się stało z Nowoczesną w koalicji z PO. Przekonywał też, że PiS chce po prostu PSL zlikwidować albo zepchnąć na margines. Mimo to wielu działaczy, szczególnie tych starszych, doświadczonych w zawieraniu nawet najbardziej egzotycznych sojuszy, sprawdzało, jak można by Kosiniaka-Kamysza obalić. Tym bardziej że jego przywództwo (lekarza z Krakowa) nie doprowadziło do poszerzenia elektoratu PSL o wyborców miejskich i inteligenckich. Starsi działacze upatrują w dalszym przywództwie Kosiniaka-Kamysza zagrożenie dla partii, objawiające się tym, że nie wprowadzi nikogo do europarlamentu, a w wyborach parlamentarnych w 2020 r. nie przekroczy wyborczego progu. Jako następca Kosiniaka-Kamysza najczęściej jest wymieniany jedyny działacz PSL nieprzerwanie zasiadający w Sejmie od 25 lat, czterokrotny minister rolnictwa Marek Sawicki. Z moich informacji wynika, że ma on poparcie byłego premiera i prezesa PSL Waldemara Pawlaka, którego również namawiano, by wrócił na stanowisko szefa PSL. Na razie działacze chcący odejścia Kosiniaka-Kamysza przycichli, ale jest to tylko taktyczna zagrywka, gdyż cały czas toczą się rozmowy na temat jego wymiany. Prą do tego głównie ci działacze, którzy stracili posady w województwach, gdzie rządzi PiS.

KOBIETA ZA CZARZASTEGO

W SLD ostra krytyka przywództwa Włodzimierza Czarzastego ujawniła się po odejściu z partii wiceprzewodniczącego Krzysztofa Gawkowskiego, który przeszedł do tworzonego właśnie ruchu Roberta Biedronia. Ta krytyka nałożyła się na niezadowolenie z wyników wyborów samorządowych. Dlatego przeciw Czarzastemu otwarcie wystąpili warszawscy działacze partii. Za Gawkowskim mogą pójść młodsi członkowie, obawiający się, że SLD po raz drugi nie wejdzie do Sejmu, a to będzie oznaczać całkowitą destrukcję i marginalizację. Krytycy Czarzastego zarzucają mu brak pomysłów na odnowienie SLD, czyli krytykują dryf programowy i niedostrzeganie nowych zjawisk oraz trendów. Mówią, że SLD Czarzastego to partia starego typu, nic nierozumiejąca z przemian, jakim podlegają w Europie socjaliści i socjaldemokraci. Obawiają się, że z Czarzastym będzie tylko gorzej, tym bardziej że za chwilę pojawi się atrakcyjny rywal po lewej stronie, czyli nowe ugrupowanie Biedronia. I ruch Biedronia wyssie z SLD tych, którym się jeszcze coś chce. Jedynym ratunkiem ma być uatrakcyjnienie Sojuszu oraz zmiana lidera, najlepiej na w miarę młodą kobietę. Przeciwnicy Czarzastego przekonują, że gdy taka kandydatka się zgodzi (na razie w grę wchodzą trzy osoby), obecnemu przewodniczącemu nie uda się temu przeciwdziałać i zostanie zmuszony do odejścia. Sam Czarzasty uważa, że nie ma problemu zmiany lidera, ma powszechne poparcie i będzie szefem SLD. Na co rywale mówią, że Czarzasty nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jest w partii „na wylocie".

> Bardzo prawdopodobne przewroty pałacowe w kilku partiach skomplikują ich przygotowania do przyszłorocznych wyborów

Osobny przypadek to przywództwo Pawła Kukiza w ruchu jego imienia. To ugrupowanie jest nawet bardziej związane z jednym człowiekiem niż był Ruch Palikota. Choć politycznie klub Kukiz'15 był wyjątkową polityczną zbieraniną od Sasa do Lasa, jednoczyła go chęć zmian ustrojowych, przede wszystkim uchwalenie nowej konstytucji z jednomandatowymi okręgami w wyborach do Sejmu oraz system quasi-prezydencki. Posłów i sympatyków Kukiz'15 łączyły też postulaty przywrócenia instytucji sędziów pokoju, zniesienia finansowania partii z budżetu, ewentualnie likwidacji podatku dochodowego oraz zakazu uchwalania budżetu z deficytem. Każdy mógł w ruchu robić, co chce i jak chce, byleby nie kwestionował programowego kanonu. Paweł Kukiz tego pilnował, choć na co dzień praktycznie nie kierował ruchem ani nawet klubem. Swoboda, jaką mieli posłowie Kukiz'15, nie zapobiegła odejściom (jednej trzeciej posłów), przede wszystkim z powodu konfliktów z liderem. Ale fenomen Kukiz'15 polega na tym, że opiera się on na liderze, jakiekolwiek błędy popełnia i kogokolwiek z ruchu wypycha. Lider, który jest jednocześnie politykiem i gwiazdorem popkultury. Od dawna w Kukiz'15 toczy się dyskusja, czy ruch może przetrwać bez Pawła Kukiza, i odpowiedź jest taka, że nie może. A sam Kukiz nie zamierza się podzielić przywództwem.

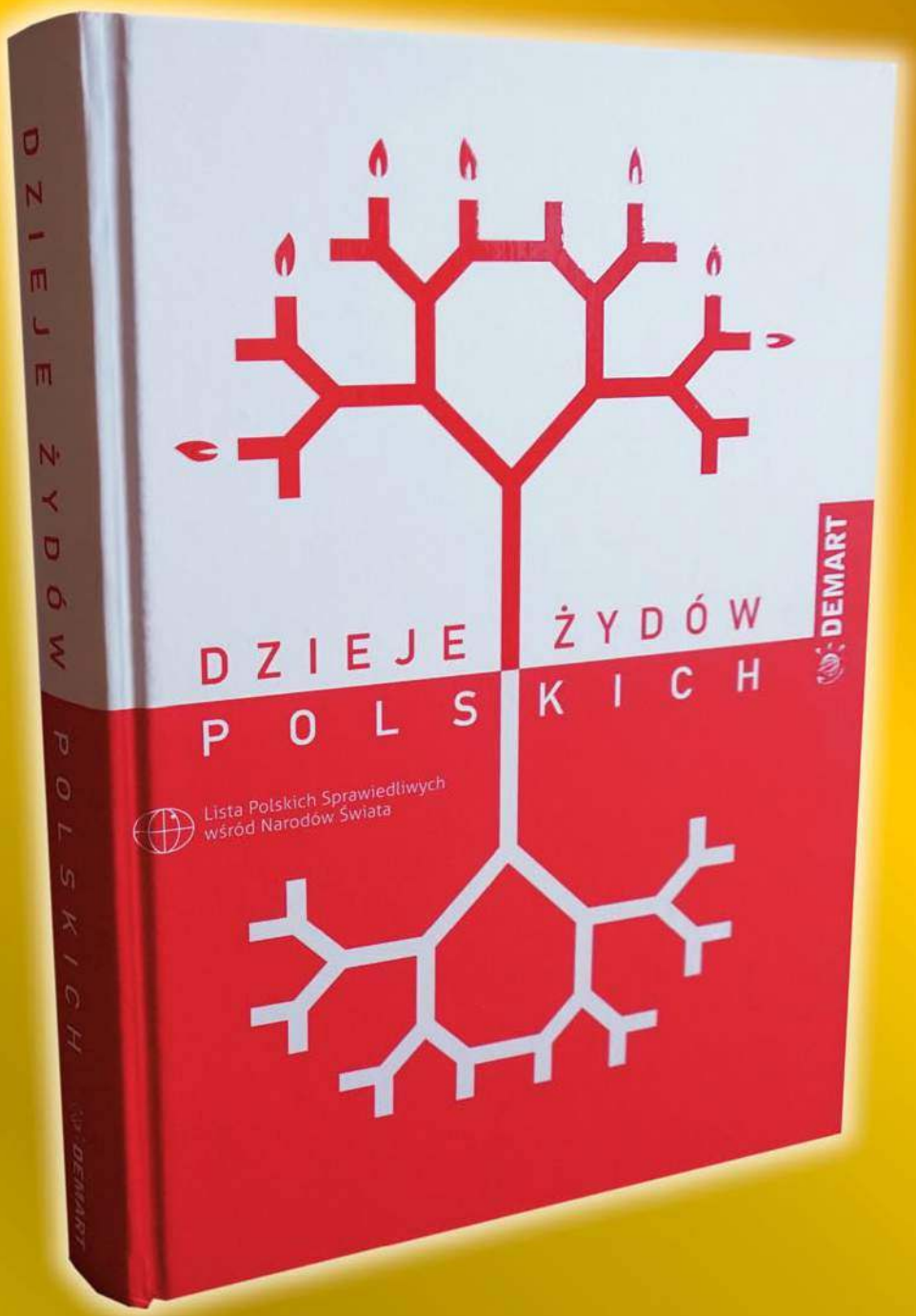
To przywództwo jest kwestionowane, szczególnie po odejściu Marka Jakubiaka, ale obalenie Pawła Kukiza oznacza koniec ruchu. Tyle że z Pawłem Kukizem ruch też od jakiegoś czasu traci, przede wszystkim z powodu anarchii organizacyjnej oraz braku pieniędzy. Działacze i sympatycy chcieliby zmiany, ale tylko na poprawionego Pawła Kukiza, a on sam nie bardzo chce się poprawić. Zmiana lidera jest teoretycznie możliwa, lecz oznaczałaby koniec projektu. Kukiz prawdopodobnie natychmiast zacząłby organizować nowy, na takich samych zasadach jak ponad trzy lata temu.

Bardzo prawdopodobne przewroty pałacowe w kilku partiach skomplikują ich przygotowania do wyborów, może z wyjątkiem PO z tandemem Tusk–Trzaskowski. Te przewroty praktycznie uniemożliwiłyby przez kilka miesięcy zawieranie koalicji po stronie opozycji, co oznaczałoby, że najważniejsze ugrupowania opozycji poszłyby do wyborów parlamentarnych samodzielnie. To wszystko gra na korzyść Prawa i Sprawiedliwości, nawet gdyby poparcie dla tej partii spadło. Opozycyjne partie nie unikną jednak raczej personalnych turbulencji, bo uruchomionych już procesów wymiany liderów raczej nie da się zatrzymać.

62/1018/F

eprasa.pl ed099b4aa6

Dzieje Żydów polskich



DEMART

+ Lista Polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata

www.demart.com.pl

eprasa.pl ed099b4aa6

Grube kreski Jadwigi Staniszkis

Kiedy PiS szło po zwycięstwo, stała przy boku Kaczyńskiego. Nazywano ją jego intelektualną wunderwaffe. Ale kiedy PiS wygrało, szybko zmieniła front. Atakuje nową ekipę z równą pasją jak kiedyś PO



MAJA NARBUTT

Często się mylę. Przyznaję sobie prawo do błędów – mówi Jadwiga Staniszkis. Niektórzy uważają, że potrafi stworzyć dziewięć zupełnie nietrafionych teorii, by potem olśnić jedną, genialną. Problem polega na tym, że zwykle długo nie wiadomo, czy tym razem trafia w sedno, czy jednak błądzi.

Spotykamy się na Dworcu Centralnym – tak jest najprościej, biorąc pod uwagę, że musi dojechać do Warszawy ze swego domu w Podkowie Leśnej. Ale, jak przyznaje, dworzec jest też dla niej miejscem szczególnym. Właśnie na dworzec uciekła w dzieciństwie z domu. Zawsze też lubiła podróże i ulegając tkwiącej w niej potrzebie zmian, wyjeżdżała nieoczekiwanie na kilka dni, by zaszyć się w jednym z należących do niej malutkich mieszkań, nazywanych przez nią „dziuplami".

Nawet w anonimowej atmosferze dworca, wśród tłumu spieszących się podróżnych, profesor Staniszkis nie pozostaje niezauważona. Całkiem niedawno oświadczyła, że odkąd zaczęła krytykować PiS, doświadcza agresji przypadkowych osób spotykanych w autobusie czy w pociągu. Kiedy jednak obserwuje się, jak reagują na nią ludzie, można dojść do wniosku, że Staniszkis przede wszystkim fascynuje.

– Uwielbiam panią profesor. Ach, te czerwone usta, ściągnięte do tylu włosy. Mogę tak patrzeć i patrzeć, jest pani prawdziwym VIP-em – entuzjazmuje się kobieta, która nieoczekiwanie pojawia się przy naszym stoliku w dworcowym Starbucksie, by poprosić o kilka złotych.

Wśród bezdomnych na dworcu raczej mało jest miłośników socjologii, mogą jednak godzinami oglądać telewizję na ekranach podwieszonych u góry w poczekalniach. Z setek twarzy przewijających się na ekranie w pamięć zapada zapewne niewiele, a jeszcze mniej oglądanych osób budzi tak silne poczucie bliskości. Kiedy mówię profesor Staniszkis, że stała się ikoną popkultury, nie zaprzecza.

– Byłam autorką trudnych i wydawanych w niewielkich nakładach książek. Wylansowały mnie media, dały mi rozpoznawalność. Płaci się za to jednak pewną cenę – wyjaśnia.

Jej medialna kariera jest niezwykła. Profesor socjologii, tworząca wielopiętrowe teorie zbyt skomplikowane dla wielu intelektualistów, zaczęła stale



eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. Fratria

eprasa.pl ed099b4aab

SPRAWDŹ, DLACZEGO KATOWICE ZOSTAŁY GOSPODARZEM
SZCZYTU KLIMATYCZNEGO ONZ (COP24)

COP24·KATOWICE 2018
KONFERENCJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH
W SPRAWIE ZMIAN KLIMATU



BLACK TO GREEN
– PRZEZ KULTURĘ DO KLIMATU



W historii większości miast można wskazać kamienie milowe ich rozwoju. Często rozmawiam o tym z naszymi gośćmi, którzy nie byli w Katowicach od 5 czy 10 lat. Gdy do nas przyjeżdżają mają w głowach stereotypowy wizerunek stolicy województwa śląskiego, który zderza się z tym, co zastają na miejscu. Czym tłumaczę im powstały dysonans? Otóż kołem zamachowym rozwoju naszego miasta było utworzenie unikalnej na mapie Polski Strefy Kultury, która przyciąga nowoczesną architekturą i dobrą ofertą setki tysięcy ludzi rocznie. W miejscu działającej jeszcze kilkanaście lat temu kopalni powstały siedziba Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia z jedną z najlepszych sal koncertowych na świecie i Międzynarodowe Centrum Kongresowe, które wraz ze „Spodkiem" tworzą największą przestrzeń konferencyjną w Polsce. Dopełnieniem całości jest nowa siedziba Muzeum Śląskiego wraz z kopalnianym szybem „Warszawa", który dziś służy jako popularny taras widokowy. Pokazaliśmy tym samym, że jesteśmy miastem nowoczesnym, ale szanującym tradycję i spuściznę przemysłową.

Wspomniana rewitalizacja olbrzymiego, pokopalnianego terenu pochłonęła ponad miliard złotych. Potraktowaliśmy to jednak jako inwestycję w przyszłość miasta. Postawiliśmy na dynamiczny rozwój kultury, a metamorfozę Katowic oraz tradycje i osiągnięcia muzyczne dostrzegło UNESCO przyznając nam w 2015 roku tytuł Miasta Kreatywnego właśnie w dziedzinie muzyki. Przemiana miasta wraz z rozwojem branż kultury i turystyki biznesowej pozwoliły wykreować nowy wizerunek Katowic - miasta nowoczesnego, twórczego i innowacyjnego. To wszystko przyczyniło się do przyznania nam statusu miasta–gospodarza grudniowego Szczytu Klimatycznego (COP24), co jest wyjątkową szansą na promocję zarówno Katowic, jak i całej metropolii.

Podczas COP24 chcemy nie tylko podzielić się naszymi doświadczeniami procesu transformacji z tysiącami uczestników, ale także pokazać specyfikę naszego regionu. Dlaczego jest to takie ważne? Dziś w Europie mówi się o konieczności całkowitego odejścia od węgla, co w perspektywie najbliższych dekad na Śląsku jest niewykonalne. Chcemy rozmawiać o tym, jak węgiel wykorzystywać w sposób ekologiczny. Po drugie w globalnej dyskusji o klimacie pojęcie „clean energy" funkcjonuje wyłącznie w kontekście redukcji emisji dwutlenku węgla, a przecież kluczowym wyzwaniem dla naszego regionu jest redukcja emisji szkodliwych pyłów. Katowice są w woj. śląskim liderem w zakresie walki o czyste powietrze. Inwestujemy setki milionów złotych w tym obszarze. Widzimy efekty naszych działań, bo przez ostatnie 10 lat znacząco spadły wskaźniki pyłów PM2,5 i PM10, ale zdajemy sobie sprawę, że przed nami ogrom pracy.

Hasłem tegorocznego COP24 w Katowicach jest „black to green". Wierzę, że to wydarzenie stanie się nie tylko kamieniem milowym rozwoju Katowic i znaczącym krokiem w walce o czyste powietrze w naszym regionie, ale także zapisze się w annałach globalnej polityki klimatycznej.

Marcin Krupa
Prezydent Katowic

eprasa.pl ed099b4aa6

gościć w telewizjach informacyjnych. Zrezygnowała z hermetycznego języka, zaczęła używać ostrych, jednoznacznych sformułowań.

Kluczem do sukcesu okazała się wyrazistość – na każdym poziomie, także tym fizycznym. Znakiem firmowym profesor Staniszkis jest czerwona szminka. Zaczęła jej używać po wypadku, któremu uległa jako 17-letnia dziewczyna, kiedy pędząc na rowerze na spotkanie z ukochanym, wpadła pod ciężarówkę. – Pomyślałam, że jeśli będę miała pomalowane na czerwono usta, to właśnie na nie będą wszyscy patrzeć, a nie na bliznę, która została po wypadku – mówi Staniszkis.

Przypomina to zasadę działania iluzjonistów – odwracają uwagę od rzeczy, które mają być niewidoczne, i skupiają ją na tym, co chcą pokazać. Być może kiedy wpatrujemy się w to, co ujawnia profesor Staniszkis, coś nam umyka. Jakaś tajemnica, którą chroni i która powinna zostać ukryta.

SENTYMENTALNA PODRÓŻ

– Pociąg do Białegostoku jechał w latach 70. znacznie dłużej niż teraz. Podróż trwała sześć godzin. I ja, i Jarosław Kaczyński dojeżdżaliśmy tak na uczelnię – wspomina Jadwiga Staniszkis.

To jeszcze jeden wątek związany z podróżami, który odgrywa rolę w jej biografii. Tak zaczęła się jej znajomość z Jarosławem Kaczyńskim. Oboje wsiadali do porannego pociągu, którym dojeżdżali do białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego. On – zatrudniony jako adiunkt na Wydziale Prawa, ona – starsza o siedem lat wykładowczyni wyrzucona z warszawskiego Instytutu Socjologii za udział w studenckich protestach w marcu 1968 r.

„Była bardzo piękną kobietą" – napisał po latach Kaczyński w swojej autobiografii. I jeszcze, że chętnie rozmawiała ze studentami i nie sposób było jej nie zauważyć. A także, że chodzili na obiady do Hortexu, gdzie wybierała najtańsze dania, aż musiał ją przekonać, że skoro dostał etat, to mogą sobie pozwolić na więcej.

– Stawiał mi. Wiedział, że inaczej będę głodna i zjem dopiero po powrocie do domu. Byłam w fatalnej sytuacji finansowej, po prostu biedna, wychowywałam dziecko – mówi Staniszkis.

Wyraźnie nie chce wracać do tego fragmentu przeszłości, chociaż chętnie wspomina bardziej odległe w czasie i z pozoru błahe wydarzenia.

Znajomość Kaczyńskiego i Staniszkis od dawna budziła zainteresowanie. Tabloidy zastanawiały się, czy „chodzili na randki", a intelektualiści i politycy – jak bliska jest ich więź oparta na podobnej diagnozie patologii III RP i wizji państwa oplecionego pajęczyną zakulisowych interesów oraz zależności.

> Drastyczna zmiana poglądów profesor Staniszkis na Prawo i Sprawiedliwość, bez żadnych sygnałów ostrzegawczych, musi intrygować. Nie było chłodnej analizy kolejnych posunięć nowej ekipy. Zamiast ewolucji poglądów nastąpiła rewolucja – brutalna, z niszczeniem prawie wszystkiego, co do tej pory profesor stawiała na piedestale

„Sentymentalna relacja" – tego określenia używają moi rozmówcy, którzy znają Staniszkis. Ale sentymentalne relacje mają to do siebie, że każda ze stron może przeżywać je inaczej, zwłaszcza gdy w grę wchodzi upływ czasu.

– Przyprowadziłem Staniszkis na Nowogrodzką. Byłem przekonany, że Jarosław Kaczyński ucieszy się z odnowienia znajomości. Usłyszałem: „Powiedz jej, że mnie nie ma". Zrobiło mi się głupio, zwłaszcza że profesor czekała po drugiej stronie drzwi – opowiada mi jeden z polityków prawicy.

PRZECZUCIA I INTUICJA

Jednak przez wiele lat Staniszkis w powszechnym odbiorze była blisko Kaczyńskiego i lojalnie trwała u jego boku. Angażowała się w przedstawianie jego punktu widzenia i zażarcie go broniła, narażając się na krytykę, że wypada z roli bezstronnego eksperta. A podczas wieczorów wyborczych w sposób symboliczny demonstrowała swoją więź z Kaczyńskim, gdy kamery pokazywały ją stojącą w jego bezpośredniej bliskości.

Powiedziała też kiedyś, że każdy mężczyzna w otoczeniu Kaczyńskiego się go boi, a każda kobieta chce się nim opiekować.

Ale dzisiaj ostatnią rzeczą, o jaką można ją posądzić, są opiekuńcze uczucia wobec prezesa PiS.

– Dziwnie się czuję, gdy widzę, jak na jego twarzy pojawia się uśmiech. Nie wiem, co oznacza, na pewno nie satysfakcję. To człowiek wewnętrznie zniszczony, w depresji, nie podniósł się po śmierci brata, z którym miał przecież jako bliźniak szczególny związek. Wydaje mi się, że mści się na świecie, siejąc destrukcję, niszczy, zostawiając wokół pustynię – mówi Staniszkis.

Może dziwić ta próba psychoanalizy. Tym bardziej że do katastroficznych wniosków o destrukcyjnej roli Kaczyńskiego Staniszkis doszła zupełnie nieoczekiwanie, a przez lata nic nie zapowiadało, iż tak go spostrzega.

Kiedy pytam, co zadecydowało, że zwróciła się przeciwko PiS niemal natychmiast po wyborach, kiedy nowa ekipa jeszcze nawet nie podjęła żadnych radykalnych działań, które mogłyby sprowokować krytykę, odpowiada, że już nie pamięta. – Może miałam jakieś przeczucie tego, co się stanie później – mówi.

Nie brzmi to najlepiej. Trudno też wyobrazić sobie innego naukowca, który stawia diagnozy, powołując się na przeczucia albo intuicję. Właśnie ta cecha Staniszkis zawsze budziła irytację czy wręcz lekceważenie ze strony innych socjologów – kiedy oni ostrożnie opisywali rzeczywistość, opierając się

16/0918/F

eprasa.pl ed099b4aa6

na badaniach, sondażach i tabelkach, ona nonszalancko łączyła kilka faktów i dochodziła do karkołomnych niekiedy wniosków.

Kiedy cofniemy się w czasie, by odnaleźć ten moment, gdy Jadwiga Staniszkis po raz pierwszy mocno uderzyła w PiS, jedna rzecz staje się oczywista – pierwszy gwałtowne, negatywne emocje wywołał w niej prezydent Andrzej Duda. Od tego wszystko się zaczęło. – Samozadowolenie, które przejawia, jest zupełne nie do zniesienia. Ta błyszcząca twarz, ględzenie na każdy temat. Powiedziałam kiedyś, obserwując, jak peroruje na stoku, że powinien zostać instruktorem narciarskim – opowiada Staniszkis.

Można zaryzykować tezę, że właśnie samozadowolenie, jakie przypisuje Dudzie, działa na nią jak płachta na byka. Uznaje je za dowód intelektualnego lenistwa i cechę dyskwalifikującą. – Jej krytyka oparta jest często na emocjach, wypływa z pewnej estetycznej wrażliwości. Coś ją odrzuca i daje temu wyraz – uważa socjolog prof. Paweł Śpiewak. Ale jeśli nawet założymy, że zniechęcił ją styl prezydenta, to przecież Andrzej Duda nie zmienił się od kampanii prezydenckiej, kiedy tak mocno go wspierała. Trudno się dziwić, że moi rozmówcy z kręgów politycznych starają się rozszyfrować powody tej nagłej niechęci profesor Staniszkis do prezydenta i znaleźć racjonalne wyjaśnienie.

– Mogła się poczuć niedoceniona i odtrącona. Nie doczekała się po wyborach prezydenckich gestu wdzięczności. Powiedzmy szczerze: prezydent Lech Kaczyński zawsze umiał spontanicznie podziękować, przesłać kwiaty bardzo różnym osobom, zupełnie nie z oficjalnego klucza. Teraz tak już nie jest – mówi jeden z polityków prawicy.

BEZ WSTYDU I LĘKU

Drastyczna zmiana poglądów profesor Staniszkis na Prawo i Sprawiedliwość, bez żadnych sygnałów ostrzegawczych, musi intrygować. Nie było chłodnej analizy kolejnych posunięć nowej ekipy, recenzowania błędów ani postępującego stopniowo rozczarowania, jak działo się w przypadku niektórych intelektualistów krytykujących PiS. Zamiast ewolucji poglądów nastąpiła rewolucja – brutalna, z niszczeniem prawie wszystkiego, co do tej pory Staniszkis stawiała na piedestale.

– Nie mogę pomóc w wyjaśnieniu tego, co się z nią stało. Dla mnie też to jest zagadką – przyznaje prof. Paweł Śpiewak. Również profesor Ryszard Bugaj, krytyczny przecież wobec PiS, uważa, że gwałtowność, z jaką Jadwiga Staniszkis porzuciła dotychczasowe przekonania, jest mocno zaskakująca. – Trzeba zrozumieć jedną, bardzo ważną cechę Staniszkis. Zupełnie pozbawiona jest czegoś, co mają w zasadzie wszyscy – czyli poczucia wstydu i lęku, jak zostanie odebrana. Dotyczy to każdej sfery życia prywatnego i publicznego. Zaprzeczając nagle swoim poglądom, można się przecież ośmieszyć, narazić na zarzut, że jest się jak chorągiewka na wietrze. Ale jej jest to obojętne. Potrafi też całkowicie zmienić ocenę jakiegoś człowieka, czasem wystarczy jeden fakt, by zobaczyć go w innym świetle – mówi jej wieloletni znajomy.

W nagłej zmianie poglądów Staniszkis nie brak rzeczywiście elementów groteskowych. Należy do nich nieoczekiwane dowartościowanie Bronisława Komorowskiego. Kiedyś wydawał się profesor Staniszkis politykiem niezbyt wysokich lotów, „z trzeciego rzędu" i „wujaszkowatym". Powiedziała wręcz, że powinien brać Geriavit, bo ma sklerozę. To już nieaktualne. – Kilkakrotnie przeprosiłam Komorowskiego za to, że poparłam Dudę. Czy się zmienił od czasu, gdy go krytykowałam? Może odpoczął w tej puszczy, odbudował się – mówi prof. Staniszkis.

Wypoczęty Komorowski nieoczekiwanie jawi się jej jako człowiek „z kręgosłupem", a nawet z pewnym stylem.

Ale prawdziwym politycznym objawieniem stał się teraz Robert Biedroń. Wydaje jej się idealnym kandydatem na prezydenta Polski, choć powody, dla których zaczęła go wspierać, są zaskakujące. – Pamiętam łzy spływające po jego policzku. Płakał publicznie w studiu telewizyjnym, bo był atakowany. Już w czasach komunizmu nie znosiłam, jak niszczy się ludzi. Biedroń potrafił się jednak otrząsnąć, odbudować, to naprawdę godne podziwu – uważa Staniszkis.

W nieoczekiwanej afirmacji Biedronia niektórzy widzą jednak przede wszystkim próbę znalezienia polityka, który mógłby zaproponować alternatywę dla PiS. Jak wielu intelektualistów profesor Staniszkis nie ceni Grzegorza Schetyny. Podkreśla, że nadal nie lubi też Tuska. Całkiem niedawno oświadczyła nawet, iż powinien stanąć przed Trybunałem Stanu za to, że zaniechał wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej.

AUTYZM I PASJA

– Sytuacja, w jakiej jesteśmy, przypomina Republikę Weimarską przed nadejściem faszyzmu. PiS, czasem nawet za plecami Kaczyńskiego, wykorzystuje kompleksy i frustracje, by wydobyć coś zupełnie nowego ze społeczeństwa. Racjonalizuje agresję, daje jej przyzwolenie. To przerażające. Ludzie nie protestują, bo chcą zrobić karierę albo są zastraszeni, szczególnie ci, którzy pracują w różnych instytucjach i muszą dotrwać do emerytury – twierdzi Staniszkis.

Mówi sugestywnie, tworzy mroczny obraz nakreślony grubą czarną kreską. Mam wrażenie, że dość nowy – do tej pory porównywała rządy PiS do bolszewizmu, który też chciał zmieniać społeczeństwo.

Nie wiadomo jeszcze, przy jakiej metaforze zostanie. Zazwyczaj kiedy stworzy publicystyczną koncepcję, przez jakiś czas upowszechnia ją w mediach, by potem porzucić na rzecz nowej, która podoba się jej bardziej. Niektóre porównania są już wykorzystane. Do postępującej putinizacji porównywała przecież rządy Tuska, którym zarzucała łamanie demokracji i cyniczny podział łupów, o czym mało kto, łącznie z samą profesor, zdaje się pamiętać.

Tym, co uderza w ocenie rzeczywistości politycznej dokonywanej przez Staniszkis, jest spora dawka emocji, wręcz pasji. Zaskakująca, jeśli weźmie się pod uwagę, że sama profesor od lat twierdzi, iż jej cechą jest właśnie brak emocji, wręcz autyzm uczuciowy.

eprasa.pl ed099b4aa6

W książce „Staniszkis – życie umysłowe i uczuciowe", wywiadzie rzece, który przeprowadził z nią Cezary Michalski, znalazła się anegdota, którą trudno zapomnieć. Kiedy Staniszkis była kilkuletnią dziewczynką, podczas zabawy w ruinach stała się świadkiem makabrycznego wypadku. Wybuchł niewypał, masakrując kolegę jej brata. Mała Jadzia powiedziała wówczas spokojnie: „Chodźmy się bawić gdzieś indziej". – Jej brat, na którego się przecież powołuje, twierdzi, że absolutnie nie pamięta takiego zdarzenia. Że po prostu to się w ogóle nie zdarzyło – twierdzi wieloletni znajomy profesor. Jest jeszcze jedna historia, która ma świadczyć o jej emocjonalnym autyzmie. Jak opowiada, kiedy zrobiono jej tomografię komputerową, okazało się, że ma uszkodzone pewne neurony w płatach czołowych, które odpowiadają właśnie za empatię. Zapewne zmiany są skutkiem wypadku, któremu uległa jako 17-letnia dziewczyna.

Jednak te dwie historie w pewien sposób się wykluczają. Bo albo już jako dziecko nie odczuwała zupełnie emocji, albo przestała je odczuwać, gdy uległa wypadkowi.

Wszystko, co mówi Staniszkis, jest tak sugestywne, że zazwyczaj chłoniemy jej opowieści, w zasadzie ich nie weryfikując. Nie zwracamy nawet uwagi, że czasem zmienia wersję, trochę kreując rzeczywistość, tak jakby nakładała na nią szminkę. Coś, co w pewnym momencie jest prawdą, trochę później już nią nie jest albo nie jest już ważne.

Ponad 10 lat temu, znacznie wcześniej, niż powstał wywiad rzeka Cezarego Michalskiego, Staniszkis udzieliła wywiadu „Rzeczpospolitej". Niektórzy zarzucali jej wręcz ekshibicjonizm – opowiedziała o toksycznej relacji, jaka łączyła ją w latach 70. z pisarzem Ireneuszem Iredyńskim. Były tam wstrząsające wyznania o upokorzeniach, jakich doznała, i o tym, że zostały jej na plecach blizny, bo bił ją smyczą.

Ale kiedy wspominam, jak wielki szok wywołało to wyznanie, jest zdziwiona. Mówi, że Iredyński od dzieciństwa miał skomplikowane życie i stąd wynikła taka „mała potrzeba" bicia. I że nie miała blizn, ale najwyżej siniaki.

OBIEG ZAMKNIĘTY

– Przede wszystkim profesor Staniszkis jest wybitną uczoną. Stworzyła genialne książki, w których opisała sprzeczności socjalizmu, a potem proces transformacji. W czasach, w których na okrągły stół patrzyło się zupełnie inaczej, dostrzegła, co kryje się za kulisami, potrafiła znaleźć ślady prowadzące aż do Moskwy. Potem się to potwierdziło, ale ona już wcześniej, łącząc różne fakty intuicyjnie, dotarła do prawdy – podkreśla polityk i politolog Paweł Kowal.

Wszystko, co mówi Staniszkis, jest tak sugestywne, że zazwyczaj chłoniemy jej opowieści, w zasadzie ich nie weryfikując. Nie zwracamy nawet uwagi, że czasem zmienia wersję, trochę kreując rzeczywistość, tak jakby nakładała na nią szminkę

Socjolodzy wypowiadają się zwykle o Staniszkis z mniejszym zachwytem: doceniają ją, ale wspominają też o brakach warsztatowych i rozwichrzonym umyśle.

– Nie jestem z siebie jakoś superzadowolona. Moje książki mogłyby być lepsze, gdybym miała więcej wiedzy, więcej czasu na zgłębianie źródeł, dostęp do lepszych bibliotek. I mniej trudne życie – mówi Staniszkis. A przecież jej prace przetłumaczono na wiele języków i wykładała na tak prestiżowych uczelniach jak Uniwersytet Harvarda.

Ma też świadomość, że jest oceniana nie przez pryzmat teorii socjologicznych, które stworzyła, ale doraźnej publicystyki i telewizyjnych wystąpień. To oczywiste, że może mieć w związku z tym spory problem. Kiedy zaczynała karierę medialną, miała dostęp do najważniejszych politycznych centrów decyzyjnych, uczestniczyła przecież w tworzeniu AWS. Jeszcze do niedawna była bliska PiS, także Jarosławowi Kaczyńskiemu, którego nieodmiennie uważa za najinteligentniejszego polskiego polityka.

Teraz źródła informacji wyschły. – Oglądam debaty w TVN24, stąd czerpię wiedzę o tym, co się dzieje – mówi mi Staniszkis.

To niewątpliwie obieg zamknięty – profesor ogląda TVN, a potem w nim występuje. A jeszcze później wraca do domu w Podkowie Leśnej. Mieszka w nim w towarzystwie przygarniętych psów i kotów.

Kilka lat temu profesor Staniszkis opowiedziała mediom, że rozwiodła się ze swym drugim mężem, socjologiem Michałem Korcem, holenderskim Żydem polskiego pochodzenia. Jak to ona, nie szczędziła intymnych szczegółów. Ujawniła, że nie chciała dłużej tolerować jego zdrad i tego, jak ją upokarzał. Ale choć decyzja o rozstaniu i wystawieniu jego rzeczy za drzwi zapadła szybko, przygarnęła go i opiekowała się nim, gdy zapadł na depresję, a potem alzheimera. Kiedy po spotkaniu odprowadzam profesor Staniszkis do kolejki WKD, mówi mi, że mąż niedawno zmarł.

Trudno pogodzić teorię o emocjonalnym autyzmie, który ma ją cechować, z tą historią. Podobnie jak nie pasuje do obrazu pozbawionej uczuć i współczucia profesor coś zupełnie zdumiewającego, czego byłam świadkiem. Jak magnes przyciągała wszystkich bezdomnych z dworca. Ignorując inne osoby, podchodzili zawsze do niej. Za każdym razem sięgała do torebki, a kiedy nie miała już monet, dawała banknot. W końcu zapytałam ją, czy nie oznacza to, że odbierają ją jako osobę o dużej empatii. – Jestem bezradna i zagubiona. Nie potrafię odmówić. Właśnie to doskonale czują – powiedziała z chłodną samoświadomością.

eprasa.pl ed099b4aa6



Niebezpieczna gra



STANISŁAW ŻARYN

„W Polsce trwa przygotowanie do III wojny światowej”, „Polska szykuje się do wojny z Białorusią”, „To koniec suwerenności Polski”, „Polska stanie się nuklearnym poligonem dla USA i Rosji”, „Narasta polskie zagrożenie dla Rosji”, „Polska armia jest w złym stanie”, „Morale polskich żołnierzy i poziom ich wyszkolenia jest bardzo niski” – to tylko kilka przykładowych treści, jakie w ostatnich miesiącach można przeczytać w rosyjskich mediach, a także na portalach internetowych szerzących w Polsce prorosyjską propagandę

Od kilku lat w polskim obszarze informacyjnym obserwuje się wzmożoną obecność podmiotów prowadzących działania medialne zbieżne z głównymi kierunkami polityki realizowanej przez Federację Rosyjską. Polityka wojskowa i działania Polskich Sił Zbrojnych pozostają celem dla rosyjskiej machiny informacyjnej. Obecnie ataki przybrały na sile, m.in. z racji organizowanych w Polsce manewrów wojskowych Anakonda-2018.

ATAKI NA ANAKONDĘ

Rosyjska machina propagandowa poświęciła wiele miejsca manewrom, choć ćwiczenia Anakonda są realizowane cyklicznie w trybie dwuletnim, a ich charakter jest defensywny. Celem tegorocznej edycji było sprawdzenie możliwości współdziałania kluczowych organów dowodzenia Sił Zbrojnych RP z układem pozamilitarnym oraz wybranymi elementami struktur dowodzenia NATO. Ćwiczenia miały również na celu integrację inicjatyw wynikających z postanowień warszawskiego szczytu NATO. Wskazane manewry miały duże znaczenie dla bezpieczeństwa Polski i całego Sojuszu. Wzięli w nich bowiem udział żołnierze z 10 krajów sojuszniczych oraz struktur dowodzenia i sił NATO. Na terytorium Polski ćwiczyło prawie 12,5 tys. żołnierzy, niemal 5 tys. w Estonii, na Litwie i na Łotwie oraz w akwenie Morza Bałtyckiego. Choć rozpoczęcie aktywnej fazy ćwiczeń z udziałem Wojska Polskiego i naszych sojuszników zaplanowane zostało na początek listopada 2018 r., propaganda rosyjska rozpoczęła swoją narrację znacznie wcześniej. Wiele miesięcy wcześniej media rosyjskie oraz znane z szerzenia prorosyjskiej propagandy portale internetowe w Polsce podejmowały temat ćwiczeń, próbując przy tej okazji sterować opinią publiczną. Taktyka działań rosyjskich jest niezmienna.

Zdjęcia: Materiały prasowe MON

eprasa.pl ed099b4aa6

Rosja stara się straszyć, manipulować, przedstawiać krzywy obraz NATO, wybielać swoją postawę, atakować polskie wojsko i morale polskich żołnierzy.

Analizując dotychczasowe działania propagandy rosyjskiej wobec ćwiczeń Anakonda-2018, należy wyróżnić kilka widocznych linii narracji. Rosja szerzy strach, przekonując opinię publiczną w naszym kraju, że Polska w razie konfliktu Rosja–NATO jest skazana na zagładę (straszenie atakiem nuklearnym, prezentowanie tez o obraniu Polski za cel dla rosyjskich rakiet, podawanie, że Polska „będzie nuklearnym poligonem dla USA i Rosji"). Kremlowi zależy na tym, by Polacy czuli się zagrożeni i skazani na porażkę w chwili ewentualnej konfrontacji z Moskwą. Rosja sugeruje, że nasze wojsko nie jest zdolne do prowadzenia działań obronnych, że morale wojskowych jest złe, odstają oni od żołnierzy rosyjskich w kwestii umiejętności, NATO zaś nie daje żadnych gwarancji. Propaganda Moskwy fabrykuje przy tym negatywne opinie o polskim wojsku, przypisując je żołnierzom i dowódcom z krajów sojuszniczych oraz polskich wojsk. Jednocześnie narracja Kremla wychwala możliwości armii rosyjskiej, wskazując na jej wysoki stopień modernizacji oraz umiejętności żołnierzy FR.

Propaganda strachu wymierzona w Polskę ma sparaliżować umysły i wolę działania naszych żołnierzy, ale także rodaków i decydentów, by państwo nie było w stanie podejmować skutecznej obrony swoich interesów. Rosja stara się również wykrzywiać obraz aktywności NATO na wschodniej flance, wskazując, że to Sojusz podejmuje agresywne działania, które Rosja musi neutralizować (propaganda przekonuje, że USA i NATO chcą konfliktu z Rosją i dążą do konfrontacji, a manewry Anakonda-2018 mają na celu ćwiczenie agresji przeciwko Rosji i Białorusi). Manipulacje dotyczące działań Paktu są nagłaśniane przez Rosję również na potrzeby krajowe. Kremlowi zależy na tym, by utrzymywać rosyjskie społeczeństwo w stałym poczuciu zagrożenia oraz budować mit „oblężonej twierdzy". To dla Kremla ważne, gdyż pozwala na utrzymywanie legitymizacji dla autorytarnej władzy w Moskwie oraz na integrowanie społeczeństwa wobec rządzących elit.

W rosyjskiej narracji przewija się również oskarżanie krajów Sojuszu, w tym Polski, o nieodpowiedzialność. W prorosyjskich mediach można było wyczytać, że ćwiczenia Anakonda-2018 mogą być zarzewiem konfliktu zbrojnego z uwagi na nasycenie żołnierzy i sprzętu. Media rosyjskie manipulowały jednocześnie scenariuszem ćwiczeń, wskazując bezpodstawnie, że w Anakondzie-2018 ma wziąć udział 100 tys. żołnierzy (w rzeczywistości było ich w sumie 17,5 tys.), co rodzi dla Rosji poważne zagrożenie. Przy tej okazji Moskwa oskarżała NATO o utajnianie działań i brak należytej transparentności, z czym w rzeczywistości sama ma problemy. Taktyka manipulowania faktami dotyczącymi działania NATO jest stałym elementem propagandy rosyjskiej, która przedstawia własną agresywną politykę jako odpowiedź na rzekomo agresywną postawę Zachodu.

Ataki informacyjne wymierzone w Anakondę-2018 są formą realizacji wielowymiarowych celów Moskwy. Rosja, szerząc swój przekaz, stara się pobudzać nastroje antynatowskie w Polsce, osłabiać morale Polaków i żołnierzy, osłabiać zaufanie do sojuszników i sojuszy wojskowych (np. przez publikowanie tez, że współpraca USA–Polska naraża nasz kraj na atak Rosji czy ISIS, a gwarancje NATO są fikcyjne), ale również osłabić decydentów politycznych, by w rezultacie utrudnić lub nawet zablokować zdolność polskiego państwa do podjęcia wojskowej operacji obronnej w chwili ewentualnego konfliktu kinetycznego (Rosja przekonuje, że MON targane jest konfliktami, a społeczeństwo polskie nie akceptuje polityki rządu).

Podobne działania Rosja podejmuje także w innych krajach naszego regionu, szczególnie mocno eskalując napięcia na Ukrainie czy w republikach bałtyckich. FR, działając zgodnie z teoriami wrogiego wpływu, liczy na to, że uda jej się sparaliżować działania krajów NATO szczególnie w rejonie wschodniej flanki, by móc realizować własne interesy. Stała kampania dezinformacyjna ma umożliwić Rosji podejmowanie dalszych kroków, w szczególności związanych z zastraszeniem oponentów i demobilizacją potencjału obronnego.

TAKTYKA DEZINFORMACJI

Ataki informacyjne mają wykrzywić obraz rzeczywistości u ludzi poddanych rosyjskiemu oddziaływaniu. Moskwa w tym celu sięga m.in. po bardzo proste narzędzia, podając fałszywe informacje, manipulując tekstami publikowanymi w wiarygodnych mediach czy wymyślając wypowiedzi osób o uznanym publicznie autorytecie. Na stronach szerzących prorosyjską propagandę można znaleźć spreparowane wywiady z polskimi i zagranicznymi wojskowymi, naukowcami, dziennikarzami, których wypowiedzi wyglądają niczym wprost przepisane z instrukcji rosyjskich. Wypowiedzi te są manipulacjami prawdziwych słów albo wymyślonymi słowami prawdziwych osób, co dodaje im wiarygodności. Propaganda Kremla manipuluje czytelnikami również za pomocą obrazu. Artykuły pisane na potrzeby prorosyjskiej dezinformacji często są ilustrowane zdjęciami, które pochodzą z zupełnie innego czasu i zostały wykonane w zupełnie innych okolicznościach.

Stałą taktyką portali szerzących rosyjską dezinformację jest również omawianie tekstów zaczerpniętych z wiarygodnych mediów w sposób, który rażąco wykrzywia ich sens. Prorosyjskie platformy dezinformujące uwiarygodniają się w ten sposób, licząc na to, że czytelnicy nie będą weryfikować doniesień. W naszym kraju działają także oficjalne agendy medialne rosyjskiej propagandy, np. portal Sputnik. Choć jego afiliację i związki z państwem rosyjskim łatwo ustalić, portal ma wpływy wśród niektórych osób publicznych w Polsce, które udzielają wywiadów tubie propagandowej Kremla. Osoby takie stają się – świadomie lub nie – pożywką dla rosyjskiej propagandy, która z takich wypowiedzi zawsze robi dodatkowy użytek. Działalność rosyjska jest obliczona na długofalowe cele – zadaniem jest wykrzywianie sposobu myślenia całych grup społecznych w sposób korzystny dla rosyjskich interesów. Odbiorcy mają sami wyciągać korzystne dla agresora wnioski oraz podejmować korzystne dla Kremla działania.

Analiza doniesień rosyjskiej propagandy w sprawie Anakondy sugeruje,

eprasa.pl ed099b4aa6



że treści prorosyjskie są aktywnie promowane. Najpopularniejsza w Polsce wyszukiwarka w wynikach wyszukiwania hasła Anakonda-2018 wysoko pozycjonowała portale prezentujące punkt widzenia Kremla. Autorzy kampanii propagandowej wymierzonej w manewry wojskowe szukali również okazji, by umiędzynarodowić temat, prezentując swoje treści w językach zagranicznych, a także lokowali przekaz propagandowy na forach internetowych i w komentarzach pod tekstami na znanych szerzej portalach internetowych, w tym tzw. mainstreamowych. Takie próby lokowania prorosyjskiej narracji widać było zarówno w serwisach lewicowych, jak i prawicowych. Kłamliwa rosyjska narracja była również kolportowana na forach internetowych popularnych wśród żołnierzy, co ma dać jej autorom efekty w postaci oddziaływania na konkretną grupę docelową. Autorom rosyjskiej propagandy zależy na infekowaniu jak największej rzeszy odbiorców. Pomagać mają w tym także oficjalne wystąpienia publiczne najważniejszych rosyjskich polityków, np. szefów MSZ czy służb specjalnych, którzy również atakowali manewry natowskie, prezentując przy tym alternatywną, fałszywą wersję wydarzeń w Europie.

Rosja od wielu lat rozwija swoje możliwości prowadzenia działań podprogowych. Zgodnie z oficjalnymi rosyjskimi dokumentami, ale również zgodnie z praktyką rosyjskiego państwa, tzw. wojna hybrydowa, wrogie kampanie wpływu są dla Rosji zwykłym elementem działań politycznych. Dla FR ataki informacyjne, szerzenie kłamliwej propagandy, prowadzenie działań w cyberprzestrzeni, w tym ataków hakerskich, to zwykła działalność polityczna wykorzystywana do realizacji celów rosyjskiego państwa. Pokazuje to wysokość stawki, z jaką mamy do czynienia. Ataki informacyjne na Polskę i Europę Środkową to nie tylko realizacja planu grupy prorosyjskich propagandystów, to działania państwa rosyjskiego, w tym służb specjalnych, realizującego agresywną politykę wobec Europy Zachodniej oraz NATO. Działania rosyjskiej propagandy są sposobem osiągania przez Rosję jej politycznych założeń. Ataki informacyjne na Polskę to stały element działań Moskwy i – zapewne – będą się powtarzać. Rosja sięga również po wiele innych działań, próbując atakować polską politykę historyczną (FR wciąż prowadzi tzw. wojnę pomnikową przeciwko RP) czy zagraniczną, podważa decyzje dotyczące spraw energetycznych, a także inspiruje i podsyca konflikty wśród Polaków oraz w relacjach z naszymi sąsiadami. Operacje wymierzone w Polskę będą nadal prowadzone przez Kreml, szczególnie że obecnie mają one również znaczenie strategiczne.

> Ataki informacyjne na Polskę są stałym elementem działań Moskwy i – zapewne – będą się powtarzać

PRZECIW AMERYKAŃSKIEJ BAZIE

Polska i USA prowadzą rozmowy dotyczące zacieśniania relacji politycznych, energetycznych, przede wszystkim wojskowych, w tym wzmocnienia obecności wojskowej, a nawet utworzenia stałej bazy wojskowej w Polsce. Ten strategiczny projekt jest bardzo ważny dla Polski, ale i całej Europy oraz NATO. Dla Rosji sukces polsko-amerykańskich negocjacji będzie poważnym osłabieniem możliwości podprogowego operowania na terenie Europy Środkowej. A Polska jest kluczowym państwem dla bezpieczeństwa wschodniej flanki. To również w Polsce znajduje się obszar o szczególnym znaczeniu dla Paktu, tzw. przesmyk suwalski, który jest jedynym połączeniem lądowym między północnymi sojusznikami a Europą Zachodnią. To kluczowy obszar dla transportu, logistyki, dostaw energetycznych itd. Efektywność realizacji interesów NATO w Europie jest uzależniona od poziomu zabezpieczenia tych regionów, które pozostają najbardziej podatne na rosyjskie oddziaływanie, w tym właśnie przesmyku suwalskiego. Na ten region wskazują również wypowiedzi rosyjskich ekspertów, którzy oskarżają NATO, mówiąc, że obecność wojsk Sojuszu w rejonie przesmyku ma wyeliminować możliwość udzielenia obwodowi kaliningradzkiemu pomocy ze strony Rosji i Białorusi. Jak widać, zarówno dla NATO, jak i dla Rosji przesmyk jest kluczowym obszarem w Europie Środkowej.

Zwiększona obecność wojsk amerykańskich na terenie Polski będzie dużym wzmocnieniem odporności Europy na działania hybrydowe Rosji. Decyzja o ulokowaniu stałej bazy amerykańskiej będzie wydarzeniem przełomowym dla bezpieczeństwa całego NATO. Dlatego należy zakładać, że jednym z celów polityki Kremla wobec Polski jest obecnie sparaliżowanie procesów decyzyjnych, które mogłyby doprowadzić do trwałego przesunięcia na terytorium RP strategicznego obszaru obrony NATO na kierunku wschodnim. Rosjanie są zdeterminowani, by nie dopuścić do podniesienia potencjału obronnego wschodniej flanki. Utrudni im to bowiem operowanie na terenie Europy. Kampanię propagandową wymierzoną w manewry Anakonda-2018 należy więc widzieć jako element polityki rosyjskiej wymierzonej w interesy Polski oraz całego NATO. Wzmocnienie potencjału obronnego w Polsce, wzmocnienie obecności amerykańskiej w naszym regionie będzie dla Rosji poważnym utrudnieniem. Dla naszego kraju i NATO powinno być jasne – dla Rosji to gra o charakterze strategicznym.

Autor jest rzecznikiem prasowym ministra koordynatora służb specjalnych

eprasa.pl ed099b4aa6



Dziękuję Polsce, rodzinie i Bogu – tymi słowami 13-letnia Roksana Węgiel z Jasła na Podkarpaciu skomentowała na gorąco zwycięstwo w konkursie Eurowizji Junior 2018. – Wiele osób robi z tego sensację, że podziękowałam Bogu – powiedziała tygodnikowi „Sieci". – Zrobiłam to, bo widzę, że Bóg naprawdę działa w moim życiu

Fot. East News/Viktor Tolochko/Sputnik

Jaślanka, która podbiła Europę



JAROMIR KWIATKOWSKI

Roksana w niedzielę 25 listopada wygrała finał konkursu przeznaczonego dla młodych artystów w wieku 9–15 lat, który tym razem odbywał się w Mińsku na Białorusi. Zaśpiewała napisany specjalnie na tę okazję utwór „Anyone I Want To Be". Towarzyszył jej zespół taneczny. Choreografię przygotował Tomasz Barański, reżyserem show był Konrad Smuga.

Młoda jaślanka zdobyła łącznie 215 punktów, w tym 136 od widzów (najwięcej spośród 20 młodych wykonawców) i 79 od jury (w ich ocenie zajęła siódme miejsce). Suma punktów dała jej jednak zwycięstwo. Tym samym zapisała się na kartach historii polskiej piosenki, bo dokonała tego, co dotąd nie udało się żadnemu polskiemu artyście w „dorosłym" konkursie Eurowizji.

Gratulacje młodej wokalistce złożyli prezydent i premier, a internet wręcz oszalał na jej punkcie. W środę 28 listopada z wielką pompą przywitali ją na rynku młodzi mieszkańcy Jasła oraz miejskie władze. Banner nad sceną głosił: „Roksana Węgiel. Jaślanka, która podbiła Europę! Dziękujemy!".

Roksana podkreśla, że przed konkursem dostała wiele rad od Ewy Grzebień,

eprasa.pl ed099b4aa6


Roksana podczas konferencji prasowej w Jasielskim Domu Kultury – z ojcem

swojej nauczycielki śpiewu z Jasielskiego Domu Kultury (JDK); Oli Tockiej, znanej z udziału w ostatniej edycji „The Voice of Poland", także pochodzącej z Jasła; a przede wszystkim od Edyty Górniak – młoda wokalistka była w jej drużynie podczas „The Voice Kids".

„Przed moim wylotem do Mińska powiedziała mi dwie podstawowe rzeczy: żebym się maksymalnie skupiła, bo będzie bardzo dużo bodźców, które mogą mnie zdekoncentrować, i żebym śpiewała całym swoim sercem. Tak też starałam się zrobić i – jak widać – to spodobało się publiczności oraz jurorom" – opowiadała Roksana podczas konferencji prasowej w JDK.

Powtarza, że ten sukces jeszcze do niej do końca nie dotarł: – Naprawdę trudno mi w to uwierzyć. Dla mnie i moich tancerek to był taki szok, że nie jestem w stanie go opisać.

Rafał Węgiel, tata Roksany, wspomina, że rodziny i przyjaciele uczestników konkursu kibicowali im w specjalnym pomieszczeniu: – Kiedy Polska powędrowała na pierwsze miejsce, zapanowała niesamowita euforia. Nie widzieliśmy momentu wręczania nagród, bo tam było jedno wielkie szaleństwo: krzyk, łzy, płacz, śmiech.

– Po wygranej Roksanki żartowaliśmy sobie z Mateuszem Szymkowiakiem [reporterem i prezenterem TVP – przyp. J.K.], który też był w naszej grupie, że myśleliśmy, iż to się nie dzieje naprawdę, że to jakiś sen – dodaje Edyta Piechnik, mama wokalistki.

NIEPOWTARZALNY, MOCNY GŁOS

Mama opowiada, że Roksana zawsze była żywiołowym dzieckiem. Taką iskierką, której wszędzie było pełno. Miała wiele pasji: uprawiała m.in. dżudo, ćwiczyła taniec towarzyski. Jej talent wokalny ujawnił się w pełnej krasie na... obozie dżudo w Chorwacji. Podczas konkursu karaoke zaśpiewała piosenkę „My, Cyganie". – Wszystkim się spodobało, zaczęli mówić, że mam mocny głos i ładnie śpiewam. Pomyślałam: „No, na pewno. Mówicie mi to tylko po to, żeby mi było miło" – wspomina Roksana.

Kiedy wróciła po obozie do domu, opowiedziała tę historię mamie, która poprosiła, by zaśpiewała w domu tę piosenkę. Na YouTube odnalazły podkład karaoke. – Roksanka zaśpiewała i brzmiało to naprawdę fajnie – wspomina pani Edyta. – Zapytałam, czy chciałaby chodzić na lekcje śpiewu. Odpowiedziała, że może spróbować. Wyszukałam w internecie namiary na Jasielski Dom Kultury, zdobyłam numer telefonu do pani Ewy Grzebień [bardzo znanej oraz szanowanej w Jaśle nauczycielki śpiewu – przyp. J.K.] i umówiłam się na przesłuchanie córki. I tak się zaczęło...

To był rok 2013. Roksana miała osiem lat. Nie tylko mama się zorientowała, że córka ma niepospolity głos. Ewa Grzebień wspomina, jak przyszła do niej Agata Koba, rzeczniczka urzędu miasta, która usłyszała Roksanę podczas szkolnego występu, z pytaniem, czy nie zgłosiła się na zajęcia dziewczynka ze Szkoły Podstawowej nr 4 (z tego wynika, że musiała jej zasugerować, iż powinna szkolić głos). – Powiedziała mi wtedy: „Wiesz co, ona ma bardzo mocny głos, jest taka »inna«" – wspomina pani Ewa. – Odpowiedziałam, że nikt taki się nie pojawił. Roksana z mamą przyszły do mnie dopiero kilka tygodni później.

Kiedy Roksana zaczęła chodzić na lekcje śpiewu, mama powiedziała jej, że powinna z czegoś zrezygnować. „Problem" sam się rozwiązał po rezygnacji jej tanecznego partnera. Ale śpiewanie i dżudo łączyła jeszcze długo. – Już wtedy chętniej wybierała wyjazdy na konkursy piosenki niż na zawody dżudo, mimo że bardzo lubiła ten sport – podkreśla pani Edyta.

Zajęcia z Ewą Grzebień odbywały się na początku raz w tygodniu. Nauczycielka śpiewu wspomina, że rodzice naciskali, by były one częstsze. I były – przed konkursami oraz innymi wyjazdami.

– Kiedy Roksana do mnie trafiła, pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, było to, że ma niepowtarzalny głos – wspomina Ewa Grzebień. – U dzieci w tym wieku nie jest on jeszcze skrystalizowany, a jej głos był już bardzo mocny.

Druga rzecz warta podkreślenia: Roksana była uczennicą bardzo pilną i pracowitą. Zawsze przychodziła na zajęcia przygotowana; nie było sytuacji, by nie znała tekstu czy nie prześpiewała w domu piosenki. – Mogłyśmy więc pracować nad interpretacją – podkreśla nauczycielka.

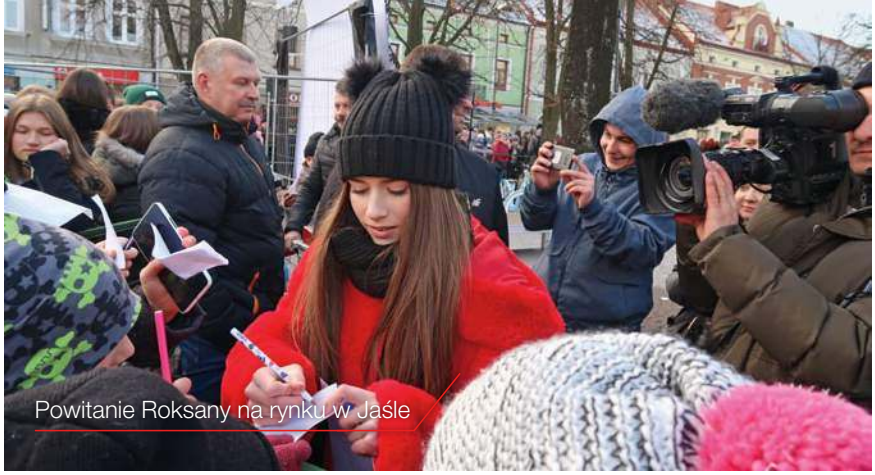
Niedawno sięgnęła do zapisków dotyczących pierwszych sukcesów Roksany podczas lokalnych konkursów i przeglądów. Przyszły bardzo szybko, po zaledwie kilku miesiącach nauki. Było ich tak wiele, że trudno to dziś ogarnąć.

W 2018 r. wydarzenia w artystycznym życiu Roksany nabrały niesamowitego przyspieszenia: w lutym wygrała pierwszą edycję programu TVP2 „The Voice Kids". W listopadzie – Eurowizję Junior. Ktoś podsumował, że Roksana była najpierw jasielską gwiazdą, potem polską, a teraz jest europejską.

NIE POZWOLĄ, ŻEBYM SIĘ ZMIENIŁA

Anna Kamińska-Grzesiak, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 4 w Jaśle (tej samej, do której chodził Michał Szpak), uważa, że sukcesy nie przewróciły Roksanie w głowie. – Jest dziewczyną skromną, ale znającą swoją wartość – podkreśla pani dyrektor. – Oprócz tego jest bardzo dobrą uczennicą. Stara się pogodzić śpiewanie z nauką i jak do-

eprasa.pl ed099b4aa6



Powitanie Roksany na rynku w Jaśle

Fot. Jaromir Kwiatkowski

tąd to się jej udaje. Tu jest olbrzymia rola rodziców, którzy dbają nie tylko o to, by mogła odnosić wielkie sukcesy wokalne, lecz także by nadrobiła szkolne zaległości. Jest świetnym dzieckiem, woda sodowa nie uderzyła jej do głowy. Myślę, że tak już zostanie.

Jako dowód Anna Kamińska-Grzesiak przytacza sytuację z października. Dzień Nauczyciela wypadał w niedzielę. Roksana akurat w tym dniu była w Warszawie, gdzie uczestniczyła w telewizyjnym programie „Pytanie na śniadanie". – Przed wyjazdem powiedziałam jej, że będzie nam bardzo miło, gdy zaśpiewa w poniedziałek na szkolnej akademii z okazji Dnia Edukacji Narodowej – wspomina pani dyrektor. – Mimo że wróciła z Warszawy bardzo późno, rano zjawiła się w szkole i zaśpiewała na obu akademiach. Ma dużą wewnętrzną samodyscyplinę.

Dyrektorka podkreśla, że Roksana jest w szkole bardzo lubiana za to, że zawsze jest sobą: – Kiedy siada w szkolnej ławce, nie ma w sobie nic z wielkiej gwiazdy. Pod tym względem jest rewelacyjną dziewczyną.

Potwierdzają to koleżanki Roksany z klasy 8a: Roksana Szot, Julita Leśniak, Nikola Szafarz, Ania Jarecka i Tamara Fortuna. Mówią, że kiedy przyjeżdża z jakiegoś konkursu, lubi o tym opowiadać, a one chętnie słuchają, ale nie przechwala się sukcesami, tylko dzieli się radością z ich osiągnięcia.

– Nie jest tak, że w szkole życie kręci się tylko wokół jej śpiewu – podkreśla Julita. – Potrafi z nami normalnie żyć, tak jak wcześniej.

Nikola dodaje, że Roksana jest bardzo koleżeńska. – Pamiętam, że gdy kiedyś miałam problem z zadaniem domowym w szkole muzycznej, to mi pomogła. Ja też jej czasami pomagałam.

– Umie wysłuchać, pomóc – potakują koleżanki.

Podkreślają, że kiedy Roksana jechała do Mińska, wszystkie trzymały za nią kciuki, by – jak mówi Roksana Szot – jak najlepiej się bawiła, bo jest to jej największa przygoda w życiu, żeby poznała nowych ludzi i doświadczyła czegoś nowego.

Wszystkie potwierdzają, że nie tylko trzymały kciuki, lecz i oddały głosy na piosenkę, którą zaśpiewała. – Kiedy wygrała, w klasie i w szkole wszyscy się cieszyli, bardzo dużo osób mówiło, że się popłakały, tak wielkie były emocje – wspomina Julita.

Sława przyszła do Roksany bardzo wcześnie, czego wielu „młodych zdolnych" nie potrafi udźwignąć. Jaślanka przyznaje, że w ostatnich dniach stała się jeszcze bardziej rozpoznawalna niż po zwycięstwie w „The Voice Kids" i że jest to bardzo miłe, gdy ktoś podchodzi do niej, prosi o wspólne zdjęcie czy autograf.

Pytam, czy ma jakiś sposób na to, by woda sodowa nie uderzyła jej do głowy także w przyszłości. Odpowiada: – Mam wokół siebie wielu dobrych i serdecznych ludzi. Myślę, że oni nie pozwolą na to, bym się zmieniła.

ŚPIEWAĆ DO KOŃCA ŻYCIA

Pewnie Roksanie byłoby o wiele trudniej poświęcić się swojej pasji, gdyby nie wsparcie rodziców. – Widziałam, że od początku ją dopingowali, i tak jest do teraz – podkreśla Ewa Grzebień.

– Jeśli dziecko ma jakąś pasję, to zaangażowanie najbliższych jest bezcenne – uważa mama Roksany. – Nikt za rodzica nie pojedzie na konkurs ani zawody. Jeśli chcemy, żeby dziecko się rozwijało, trzeba tego przypilnować.

– To jest bardzo absorbujące, ale staramy się uzupełniać z małżonką – dodaje Rafał Węgiel. – Jeśli nie ja, to żona zawsze staramy się być za plecami Roksany, wspierać ją, pomagać jej i kibicować.

W nagrodę za zwycięstwo w „The Voice Kids" podpisała kontrakt płytowy z Universal Music Polska. Mówił on o nagraniu singla, ale wytwórnia chce kontynuować współpracę. W trakcie przygotowania jest materiał na pierwszą płytę Roksany, której wydanie było planowane na początek przyszłego roku, ale czas pokaże, czy nie będzie małego poślizgu, bo – jak mówi mama wokalistki: – Roksanka na pewien czas zawiesiła prace nad płytą, żeby się przygotować do Eurowizji.

Większość materiału muzycznego powstaje przy współpracy z Juliuszem Kamilem, wokalistą, kompozytorem, autorem tekstów i producentem. – Muzycznie świetnie się dogadujemy – podkreśla Roksana. – Nie jest tak, że on mi narzuca piosenkę, tylko razem próbujemy coś wymyślić, pozmieniać. To jest bardzo fajna praca.

Za miesiąc będzie gwiazdą „Sylwestra marzeń z Dwójką" w Zakopanem. Informację podał na Twitterze prezes TVP Jacek Kurski. Ma też zaproszenie do udziału w opolskim festiwalu.

Czy estrada to jej przyszłość? – Myślę, że Roksana będzie szła w tym kierunku, bo widzę, że jest zdeterminowana i nabrała pewności siebie po tych wszystkich sukcesach – uważa Ewa Grzebień. – A poza tym jest pracowita, więc myślę, że będzie się dalej kształcić i szukać swojej drogi.

Mama młodej wokalistki jest bardziej powściągliwa: – Na razie cieszymy się z sukcesu córki, a nad przyszłością się nie zastanawiamy. Czas pokaże.

Dodaje jednak: – Roksana określiła się już po zakończeniu programu „The Voice Kids". Stwierdziła, że to jest jej droga i że na pewno pójdzie w tym kierunku. To jest jej decyzja, a my ją będziemy, tak jak dotąd, wspierać.

Zgadzamy się z panią Edytą, że kariera estradowa to bardzo ciężki kawałek chleba. Trzeba do niej trochę talentu, dużo pracy i łutu szczęścia. – Roksana talent ma, jest pracowita, trzeba jej życzyć szczęścia – mówię. – Dobrze pan to ujął – odpowiada mama.

Sama Roksana, gdy ją o to pytam, nie ma wątpliwości: – Czuję, że to może być to, co będę robić do końca życia. Mam taką nadzieję.

eprasa.pl ed099b4aa6



Polska droga czy francuskie bezdroża

Fot. Shutterstock

Francja to moja matka, a Polska to moja żona i moje dzieci. Wszystkie te więzi zobowiązują, choć przyznaję, iż od 50 lat całe moje życie jest mozolnym marszem ku polskości. I doprawdy nie czas to zmienić! Aby się o tym przekonać, wystarczy porównać dziś sytuację we Francji i w Polsce

ROZWÓJ GOSPODARCZY

W 2018 r. Polska jest na czele krajów europejskich ze wzrostem PKB na poziomie 5,1 proc., a Francja na szarym końcu z wynikiem 1,6 proc. Jeśli chodzi o bezrobocie, jest ono w Polsce najniższe od 28 lat i wynosi 5,7 proc., z kolei we Francji jego poziom to 9,1 proc.! Widzimy więc, że szczere, a zarazem cyniczne twierdzenie byłego prezydenta Hollande'a do premier Szydło: „Wy macie wartości, ale my mamy fundusze!",



BERNARD MARGUERITTE

jest zupełnie nieuzasadnione. Tak jak nieuzasadniona jest opinia, że Polska zawdzięcza swój imponujący rozwój li tylko „pomocy UE". Polska dostaje średnio rocznie około 7 mld euro z Brukseli, tymczasem firmy zachodnioeuropejskie działające w Polsce transferują rok w rok do swoich central w krajach macierzystych 10 mld euro. Prezes wielkiej firmy francuskiej działającej w Polsce przyznał w rozmowie ze mną rozbrajająco szczerze: „Polska była i jest dla nas prawdziwym eldorado!".

Jak Francja mogłaby zaznać sukcesu gospodarczego? Przecież prezydent Emmanuel Macron, jako posłuszny uczeń Brukseli, powiela politykę neo-

6/1018/F

eprasa.pl ed099b4aa6

liberalną. Jako ponury anty-Janosik zabiera więc pieniądze (coraz większe podatki) mniej zarabiającym, aby je sprezentować bogatym (150 mld euro dla wielkiego biznesu). Zgodnie z teorią, że „pierwszy na linie" (Thatcher mówiła o lokomotywie) musi mieć jak najlepsze warunki, aby ciągnąć za sobą wszystkich. Od dawna wiadomo, że ta teoria nigdy się nie sprawdziła i nadal nie sprawdza, co nie jest dziwne, skoro przedsiębiorcy nie mogą produkować więcej, nawet jeśli dostaną wielkie ulgi i pomoce, ponieważ naród się pauperyzuje, obywatele nie mają dostatecznych środków do życia i rynek upada. Ta elementarna nauka nie trafia do prezydenta Macrona ani do bonzów Brukseli, pomimo że ekonomiści, tacy jak np. noblista Paul Krugman, pokazują, że neoliberalna polityka gospodarcza Unii Europejskiej prowadzi do katastrofy.

W tym samym czasie Polska stosuje politykę „połączenia wolnego rynku z solidarnością", jak postulował św. Jan Paweł II, a także politykę prorodzinną, i to – jak widać – ze znakomitymi wynikami...

WARTOŚCI I SZACUNEK DLA GODNOŚCI OSOBY LUDZKIEJ

Nie mogąc się chwalić sukcesami gospodarczymi, prezydent Macron twierdzi teraz, że w jego mniemaniu Francja – w odróżnieniu od krajów Europy Środkowej, w tym Polski – szanuje godność osoby ludzkiej. Co prawda nie może tego mówić zbyt głośno swoim obywatelom, mając mizerne poparcie społeczne – 25 proc. I to w momencie, kiedy Francuzi odziani w żółte kamizelki demonstrują w kraju, który jest w stanie przedrewolucyjnym. Francuzi bowiem widzą, że są nieszanowani, niesłuchani i niesłyszani przez wyobcowaną władzę. Poziom życia spada, miasteczka upadają, wieś zamiera.

Tam, gdzie mamy do czynienia z pauperyzacją ogromnych rzesz społeczeństwa, nie można mówić o żadnym „szacunku dla osoby ludzkiej". Gdzie więc ten „szacunek" miałby być? Czy w propagowaniu we Francji cywilizacji śmierci i zabijania nienarodzonych dzieci, czy w lansowaniu agresywnej laicyzacji (wbrew temu, czym miała być) jako nowej religii? Czy Francja jest jeszcze Francją z miastami, w których około połowa ludności (czasem więcej) jest muzułmańska, żyjąca w enklawach, jak w Dreux, Roubaix czy też Trappes, gdzie ostał się tylko jeden kościół, za to wyrosło pięć meczetów?

Czy nie większy jest szacunek dla godności osoby w Polsce, gdzie żywa jest wierność europejskim korzeniom chrześcijańskim? W Polsce, gdzie wartości moralne i duchowe są respektowane? W Polsce, gdzie nauka św. Jana Pawła II jest obecna? W Polsce, gdzie słowo „solidarność" nabrało pełnego znaczenia? Jak widać – i to jest również pozytywna nauka – rozwój ekonomiczny jest możliwy na dłuższą metę tylko tam, gdzie wartości są respektowane.

REKLAMA



epbrasa.pl ed099b4aa6

GDZIE SĄ PRAWDZIWI EUROPEJCZYCY?

Która polityka, francuska czy polska, jest bardziej europejska? Czy Macron, wspierając neoliberalny kurs brukselski, działa w zgodzie z ideałami ojców Unii Europejskiej: Monneta, Schumana, Adenauera, de Gasperiego? Oni przecież marzyli o Europie chrześcijańskiej i o Europie solidarnej, szanującej sprawiedliwość społeczną, tak jak dzisiaj Jarosław Kaczyński. Polski przywódca w swoim szacunku dla idei Europy ojczyzn – nie do pogodzenia z nowym kosmopolityzmem – jest kontynuatorem de Gaulle'a. Wielki generał też podkreślał, że jedyna silna Europa to ta, w której wartości poszczególnych krajów czy nawet regionów są respektowane. Myślał słusznie, że Europa autentyczna to nie kosmopolityczny „melting pot", ale wspólnota bogata dzięki tożsamości swoich komponentów. Szkoda, że akurat prezydent Francji tego nie pojmuje. To wszystko pokazuje, że prawdziwi Europejczycy nie są dziś w Berlinie, Paryżu czy w zbiurokratyzowanej i antydemokratycznej Brukseli, ale właśnie w Europie Środkowo-Wschodniej, a w szczególności w Polsce.

POPULIZM VS. BIUROKRATYCZNY BRAK DEMOKRACJI

Francja Macrona nie może pojąć, co się dzieje. Ale bynajmniej nie ona sama. Brytyjski „The Guardian" (z 22 listopada 2018 r.) poprosił trzech polityków zachodnich – Hillary Clinton, Tony'ego Blaira i Matteo Renziego – aby wytłumaczyli wzrost „ultraprawicowego populizmu" na świecie. Zauważmy, iż wybór interlokutorów jest bardzo ciekawy: mamy do czynienia z trzema bardzo inteligentnymi, ale przegranymi politykami. Czy zrozumieli, co się stało? Po prostu, twierdzą, ustąpili przed falą populizmu. Czyli nic nie pojęli. Swoją drogą bardzo jest ciekawe, że głównym wrogiem stał się dla przedstawicieli „establishmentu" właśnie „populizm", do którego się dodaje na ogół przymiotnik „ultraprawicowy". Ale dlaczego właściwie populizm jest tak nielubiany przez zwolenników neoliberalizmu? Przecież nie tak dawno mówiło się: vox populi, vox dei. Czy wola usłyszenia głosu ludu jest rzeczą tak karygodną? Może tylko z perspektywy antydemokratycznej biurokracji brukselskiej? Albo z punktu widzenia elity wyższych szkół (jak ENA w Francji), np. Macron lub Hollande, którzy są przekonani, że wiedzą lepiej i że lud ma po prostu ich słuchać?

W każdym razie owa trójka przegranych polityków twierdzi zgodnie, że ów straszny „populizm" żywi się strachem przed imigracją, i radzą, aby lepiej jednak kontrolować ruch imigracyjny. Dobre i to. Ale to żałosne tłumaczenie ich upadku. Problem imigracji odegrał istotną rolę, ale obecne odwrócenie się narodów od „elity" ma o wiele głębsze i liczniejsze powody, o których w dalszym ciągu nie ma ona pojęcia. Ani Clinton, ani Blair, ani Renzi, ani Macron nie rozumieją, że narody się od nich odwracają m.in. dlatego, że obywatele:

– nie akceptują polityki neoliberalnej, która doprowadza do tego, że bogaci stają się coraz bogatsi, a biedni coraz biedniejsi,

– pragną znaleźć perspektywy na przyszłość, wizję, entuzjazm w Europie i świecie, który bezładnie dryfuje po utracie wartości moralnych i duchowych,

– chcą być słyszani, być podmiotami życia politycznego, a nie przedmiotami przywódców czy też biurokracji brukselskiej, którzy „wiedzą lepiej",

– chcą być sobą, chcą, aby „Francja była Francją", aby „Polska była Polską" w Europie, która jest bogata swoją różnorodnością, a nie bezładnym „melting pot", i która powinna być wierna swoim korzeniom chrześcijańskim. I tu imigracja owszem jest jednym z elementów ich obawy.

> Prawdziwi Europejczycy nie są dziś w Berlinie, Paryżu, Brukseli, ale w Europie Środkowo-Wschodniej, a w szczególności w Polsce

To są tylko niektóre powody wzrostu „populizmu". Jak widać, są one liczne i o wiele bardziej zasadnicze, niż to się wydaje przedstawicielom establishmentu.

Skądinąd św. Jan Paweł II dawno widział narastający dramat Europy. Nie tylko ostrzegał Polaków w 1991 r. na Zamku Królewskim w Warszawie, że mogą albo przyjąć bezmyślnie konsumpcjonizm Europy Zachodniej, albo też „przyczynić się do ponownego odkrycia wielkiej, głębokiej, autentycznej tradycji Europy, proponując jej jednocześnie przymierze wolnego rynku i solidarności". W rzeczy samej wielki polski papież przewidywał, iż przyszłość Europy będzie zależeć od rozstrzygnięcia zasadniczego konfliktu między jej częścią zachodnią a środkową. W książce „Pamięć i tożsamość" (2005) podkreślił, że kraje Europy Zachodniej zatraciły swoją tożsamość, kiedy to kraje Europy Środkowej, paradoksalnie w walce z komunizmem, ją zachowały i nawet umocniły. Św. Jan Paweł II proroczo pisał: „Na czym wobec tego polega ryzyko? Polega ono na bezkrytycznym uleganiu wpływom negatywnych wzorców kulturowych rozpowszechnionych na Zachodzie. Dla Europy Środkowo-Wschodniej, w której tendencje te mogą jawić się tutaj jako rodzaj »promocji kulturowej«, jest to dzisiaj jedno z najpoważniejszych wyzwań. Myślę, że właśnie z tego punktu widzenia toczy się tutaj jakieś wielkie duchowe zmaganie, od którego zależeć będzie oblicze Europy tworzące się na początku tego tysiąclecia".

Tak, ta decydująca bitwa o uratowanie Europy toczy się tu i teraz, na naszych oczach. Czy zwycięży Macron, czy Kaczyński? Marzę o tym, aby polski lider zechciał przyjechać do Francji i ją odnowić. Chyba tylko polityk tego formatu jest zdolny ją uratować, wyciągnąć z marazmu i upadku. To Polska dziś wyznacza drogę do autentycznej Europy.

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. Andrzej Wiktor

Piekło rozwodu

Należałoby wprowadzić, choćby pilotażowo, cywilne kursy przedmałżeńskie. Tak by małżonkowie, którzy nie korzystają z kursów kościelnych, mieli szansę na dobre przygotowanie się do założenia rodziny

Jacek Karnowski rozmawia z Markiem Grabowskim, prezesem Fundacji Mamy i Taty

Fundacja Mamy i Taty ruszyła z kolejną kampanią społeczną „Ratuj rodzinę". Po kilku latach znów zwracacie uwagę na problem rozwodów. Akcję promuje spot, który obejrzało w internecie już prawie milion osób.

Marek Grabowski: Spot będzie też prezentowany w telewizjach i w popularnych mediach społecznościowych. Liczymy, że w sumie dotrzemy do ponad 10 mln osób, a więc do zdecydowanej większości tych, którzy znajdują się w sferze ryzyka rozwodowego. To jest rzeczywiście powrót do tego tematu. W 2010 r. przeprowadziliśmy kampanię „Rozwód? Przemyśl to". Rozwody to taki problem, o którym trzeba mówić stale, bo wskaźniki są niepokojące.

Procent rozpadających się małżeństw stale rośnie?

Wciąż pozostaje na bardzo wysokim poziomie, stabilnym od kilku lat. Rocznie to ok. 65 tys. rozwodów, z czego 60 proc. małżeństw ma niepełnoletnie dzieci. W miastach rozpada się 44 proc. małżeństw, na wsi 23 proc., średnio 33 proc. Na tle Europy nie wypadamy najgorzej, choć w przypadku dużych ośrodków

osiągnęliśmy smutny poziom zachodnioeuropejski. Musimy też pamiętać, że każdy rozwód dotyka sporą grupę osób: nie tylko małżonków, lecz także dalszą rodzinę, znajomych, przyjaciół. W sumie możemy szacować, że rocznie z tym problemem mierzy się w Polsce milion osób.

W spocie, o którym mówimy, widzimy dzieci marzące, żeby było normalnie, czyli żeby mama i tata byli razem. Podkreślacie, że dla najmłodszych rozwód oznacza poczucie bezradności, lęk, zagubienie i wycofanie.

Rozwód to jest rzeczywiście coś w rodzaju sennego koszmaru dzieci. To często wręcz ciężka trauma, z którą trudno sobie poradzić. Chcemy więc zwrócić uwagę, że duża część decyzji o rozwodzie podejmowana jest zbyt pochopnie. Pojawiają się złe emocje, jakieś zaległe sprawy, błędy i ludzie „pękają". Idą do prawników, którzy często dolewają oliwy do ognia. Później trudno wyjść z tej spirali, zawrócić. Postulujemy także pewne zmiany prawne i systemowe związane z ochroną rodziny i małżeństwa.

Jakie konkretnie?

Nasze prawodawstwo rozwodowe jest przestarzałe, nie jest dostosowane do rzeczywistości, coraz bardziej mobilnej i globalnej. Chcemy wprowadzenia szeroko pojętej profilaktyki i edukacji prorodzinnej. Relacje interpersonalne powinny zostać potraktowane tak poważnie, jak na to zasługują. Już w szkole trzeba uczyć rozwiązywania konfliktów i tworzenia dobrych relacji.

W wielu szkołach są już tego typu zajęcia.

Ale jedynie punktowo, a nie jako rozwiązanie systemowe.

Czy takie zajęcia rzeczywiście mogłyby zmniejszyć liczbę rozwodów?

Większe umiejętności budowania relacji międzyludzkich to także lepsze relacje małżeńskie. Nasze analizy jednoznacznie wskazują, że główną przyczyną rozwodów są braki komunikacyjne. Po jakimś czasie ludzie zaczynają żyć równolegle, obok siebie, a nie razem. Jeśli zaczniemy uczyć komunikacji, to młodzi ludzie lepiej wejdą w dojrzałe życie. To potrzeba tym pilniejsza, że nie sprzyja nam rozwój technologii. Dziś dzieci i nastolatki wolą rozmawiać z sobą za pomocą komunikatorów niż bezpośrednio.

Co jeszcze należałoby zmienić w systemie i prawie?

Uważamy, że należałoby wprowadzić, choćby pilotażowo, cywilne kursy przedmałżeńskie. Tak by małżonkowie, którzy nie korzystają z kursów kościelnych, również często dalekich od ideału, ale jednak istniejących i zmieniających się na lepsze, mieli szansę na dobre przygotowanie się do założenia rodziny. Tu nie chodzi tylko o wiedzę, o umiejętności, lecz także o zwykłe poznanie się. Wiele osób wchodzi w małżeństwo, nie znając planów, aspiracji czy marzeń drugiej strony. Potem po kilku latach okazuje się, że ktoś marzy o dzieciach, a druga strona nawet o tym nie myśli.

> Serialowe podejście do małżeństwa, traktowanie tej relacji jako kontraktu, jest problemem. Coraz mniej widoczny jest aspekt religijny, transcendentny

Często nie znają się również ludzie, którzy mieszkają z sobą przez wiele lat.

Tak, to często niewiele daje, bo ludzie skupiają się na wspólnej logistyce, codzienności i rozrywkach, nie wchodząc w sferę tego, co dla nich naprawdę ważne. Naszym zdaniem świecki kurs przedmałżeński powinien także obejmować przedstawienie praw i obowiązków małżonków. Warto również już na samym początku wiedzieć, gdzie w razie kłopotów można szukać pomocy. Kolejna sfera, o której trzeba mówić, to skala zmian w życiu rodziny po narodzinach pierwszego dziecka. Dla wielu par jest to całkowitym zaskoczeniem, a u mężczyzn pojawia się poczucie odsunięcia na drugi plan i pokusa ucieczki.

Czyli trzeba mówić młodym ludziom, że wspólne życie nie zawsze będzie bajką.

Tak, że ten stan, w którym znajdują się w przededniu ślubu, będzie się dynamicznie zmieniał. Nie na gorsze, ale będzie inny, będzie dojrzewał. Czasami wydaje się nam, że jeżeli jest inaczej, niż było na początku, to, że coś się skończyło. A tak nie jest. I że miłość ewoluuje, ale wciąż jest miłością.

Czy uważa pan, że zmiany ściśle prawne również są potrzebne?

Chcielibyśmy przede wszystkim doprowadzić do zmiany podejścia sądów do rozwodów. Moim zdaniem sądy rodzinne działają dziś dość bezrefleksyjnie. Wychodzą z założenia, że jeśli dorośli ludzie chcą się rozejść, to ten „kontrakt" trzeba rozwiązać. Sądy w zbyt małym stopniu uwzględniają koszty społeczne, zwłaszcza te ponoszone przez dzieci. Dobrym rozwiązaniem jest zasada, by pierwsza rozprawa miała charakter mediacyjny, pojednawczy. To ma być zachęta do refleksji, także nad konsekwencjami tego ruchu. Nie tylko wówczas, gdy są małe dzieci; rozprawa mediacyjna powinna być obowiązkowa zawsze, ponieważ z punktu widzenia interesu publicznego małżeństwo jest wartością.

Co jeszcze proponujecie?

Chcielibyśmy wprowadzić w Polsce rozwiązanie niemieckie, polegające na uniemożliwieniu rozwodów w trakcie pierwszego roku po ślubie. Bo ludzie potrzebują czasu, by się dotrzeć, by nauczyć się wspólnie żyć. Pewne konflikty są nieuniknione, ale też szybko przemijają. Tu nie ma się gdzie śpieszyć. Oczywiście nie mówię o sytuacjach związanych z przemocą, patologicznych, to zupełnie inna sprawa.

eprasa.pl ed099b4aa6








Fot. YouTube

Kadry ze spotu kampanii społecznej „Ratujmy rodzinę"

Wspomniał pan o małżeństwie jako „kontrakcie". Ta kontraktowa mentalność, tak silnie obecna w popkulturze, choćby w serialach, to także ważna praprzyczyna wielu rozwodów.

To swego rodzaju tymczasowość. Podczas badań pogłębionych niektórzy małżonkowie wprost mówili, że zakładają, iż małżeństwo potrwa kilka lat, a gdy dzieci będą nieco odchowane, to znajdą sobie kogoś innego, bo ile można żyć z tą samą osobą. Niestety nie były to żarty, choć na szczęście nie jest to postawa powszechna. Serialowe podejście do małżeństwa, traktowanie tej relacji jako produktu, jest problemem. Coraz mniej widoczny jest aspekt religijny, transcendentny, umożliwiający dojrzenie w małżeństwie czegoś więcej niż umowy cywilnoprawnej, czyli relacji opartej na wzajemnym zaufaniu i dobru wspólnym związku.

Małżeństwa nie można zwrócić do sklepu, ono zawsze zostaje z ludźmi, nawet po rozwodzie.

Z badań wynika, że bardzo często prawdziwe kłopoty rozpoczynają się po rozwodzie, a nie przed nim. W przypadku tzw. rodzin zrekonstruowanych pojawiają się dodatkowi teściowie, problemy z wizytami, ze świętami. A do tego wojny o alimenty, o opiekę, o czas spędzany z dziećmi. Piszą do mnie ludzie, którzy zmagają się z takimi sprawami długie lata, i często jest to koszmar, prawdziwe piekło. Do tego drugie związki rozpadają się jeszcze częściej niż pierwsze. Z badań wynika, że w nowej relacji ludzie popełniają te same błędy, co w poprzedniej. Nie uczymy się na błędach, a przecież warto.

Potoczna mądrość głosi jednak, że dzieci najbardziej cierpią, gdy rodzice się kłócą, gdy w domu są awantury, najlepiej taką sytuację przerwać, choćby rozwodem. I dlatego

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. Andrzej Wiktor

najważniejszą sprawą jest płynny rozwód, a później budowa zgodnej rodziny „patchworkowej”.

Rzeczywistość rzadko wygląda tak jak w serialu „Przyjaciele”. Nie twierdzę, że nie ma „patchworków”, które dobrze funkcjonują. Na ogół u kolejnych partnerów pojawia się jednak niechęć do tego, co druga strona zostawiła za sobą. Ludzie chcą zacząć na nowo, a nie wchodzić w problemy osoby rozwiedzionej. Szczęśliwy „patchwork” to raczej mit niż rzeczywistość. A co do tezy, że lepiej się rozejść, niż kłócić, to rozumiem tę intuicję. Dlatego właśnie w ramach swoich kampanii tak często apelujemy, by nad swoim małżeństwem stale pracować. I to nie tylko wtedy, gdy pojawia się zły sen dziecka obawiającego się rozwodu, gdy są kłótnie, ale cały czas. Trzeba zacząć jeszcze przed ślubem, pracując nad poznaniem siebie, bo być może podobamy się sobie, ale czy na pewno powinniśmy się pobierać?

Albo odwrotnie: powinniśmy się pobrać, zamiast tracić lata.

Albo tak, bo tzw. przechodzone związki też są problemem. Praca nad małżeństwem nie jest łatwa, ale wspólne wyjścia, wyjazdy, rozmowy mają wielki sens. Sens ma wszystko, co jest budowaniem dobrych wspomnień na przyszłość. W trudnych chwilach warto sięgać po taki zasób pamięci, bo choć w czasie kryzysu ludziom się wydaje, że wszystko było złe, że to małżeństwo to jeden ciąg klęsk i koszmarów, to przecież ten związek jednak z czegoś dobrego wyrastał. Kryzys nie zawsze jest zresztą naszą winą, czasem wynika z choroby, z kłopotów materialnych, także z tzw. kryzysu wieku średniego. Czekają na nas różne pułapki, choćby syndrom pustego gniazda, gdy dzieci już się usamodzielnią. Generalnie naszego życia nie da się przewidzieć. To, co można zrobić, to dbać o to, by pod ręką były baterie, które nas wspomogą.

Wielu ekspertów podkreśla, że ludzie, którzy potrafią starannie planować życie zawodowe, w sprawach rodzinnych uważają, że wszystko ułoży się samo.

Uważamy się za naród rodzinny, ale jest i u nas druga tradycja, według której rodzina jest sferą, po pierwsze, całkowicie prywatną, a po drugie – trochę drugorzędną. Tymczasem we współczesnym świecie trudniej zbudować dobrą, trwałą relację, niż zrobić karierę.

Jaki jest związek rozwodów z dzietnością?

Rodziny z trójką i większą liczbą dzieci rozwodzą się statystycznie bardzo rzadko. Moim zdaniem dlatego, że więcej dzieci to więcej relacji, a tym samym większa stabilizacja. Z drugiej strony rodziny w miarę powiększania się stają się bardziej religijne. Może z tego powodu, że nie mamy już kontroli nad wszystkim i musimy się oprzeć na Najwyższym [śmiech].

Tematyka dotycząca skutków rozwodów pojawia się w mediach marginalnie. Można uznać, że stała się jednym ze współczesnych tabu. Także dlatego, że jest odczytywana jako swego rodzaju stygmatyzacja tych, którzy mają za sobą rozwód.

Cały obszar relacji rodzinnych, życiowych wyborów, w którym porusza się nasza fundacja, jest delikatny, to sfera intymna. Po każdej kampanii wyciągamy wnioski, jak mówić lepiej, delikatniej, ale wciąż konkretnie. Nie chodzi przecież o to, by zamazywać obraz konsekwencji, ale o to, by nie naznaczać ludzi po przejściach. My chcemy przede wszystkim pomagać. Sądząc po telefonach, które odbieram, czasem chodzi o zwykłe, bezinteresowne wysłuchanie i zrozumienie. Tu prawnik doradzający sprytne sztuczki niewiele pomoże. Pomóc może kapłan, także psycholog. Niestety o ile w razie bólu kończyny czy jakiegoś organu wiemy, że musimy iść do lekarza, o tyle gdy pojawiają się kłopoty z emocjami, bardzo często się blokujemy i nie robimy nic.

Od początku roku działa wasz portal Ratujrodzine.pl, który zawiera bazę tysiąca psychologów oraz generalne porady dotyczące budowania i wzmacniania związku.

Chodzi o to, by pokryć całą Polskę w taki sposób, aby odległość do psychologa nie była większa niż 30 km. To się udało. Gdy mamy kłopoty, warto ruszyć po profesjonalną pomoc. Do kogoś, kto chłodnym okiem spojrzy na nasze sprawy, pomoże w mediacji, w wyjściu z pułapki tabu. Planujemy rozwijanie i upowszechnianie tej działalności w najbliższym roku.

Czy są jakieś badania, które wskazują, jak ludzie oceniają decyzję o rozwodzie np. po kilku latach?

Z tego, co wiemy, mniej więcej 30 proc. żałuje, że się rozwiodło. Również 30 proc. ocenia, że gdyby miało pomoc z zewnątrz, uratowałoby swoje małżeństwo. Te dwie grupy oczywiście częściowo się pokrywają. O tych ludzi chcemy zawalczyć. Jeśli w wyniku naszej kampanii „Ratuj rodzinę” zdołamy ocalić kilkaset małżeństw, to będziemy mieli wielką satysfakcję. I tę radość niosą nam telefony oraz e-maile od uratowanych małżeństw i rodzin.

eprasa.pl ed099b4aa6

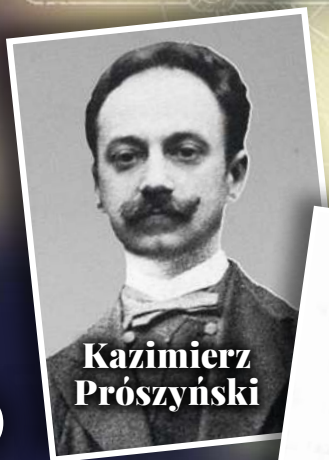
SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM
– ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNALAZCOM, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI

odc. 10

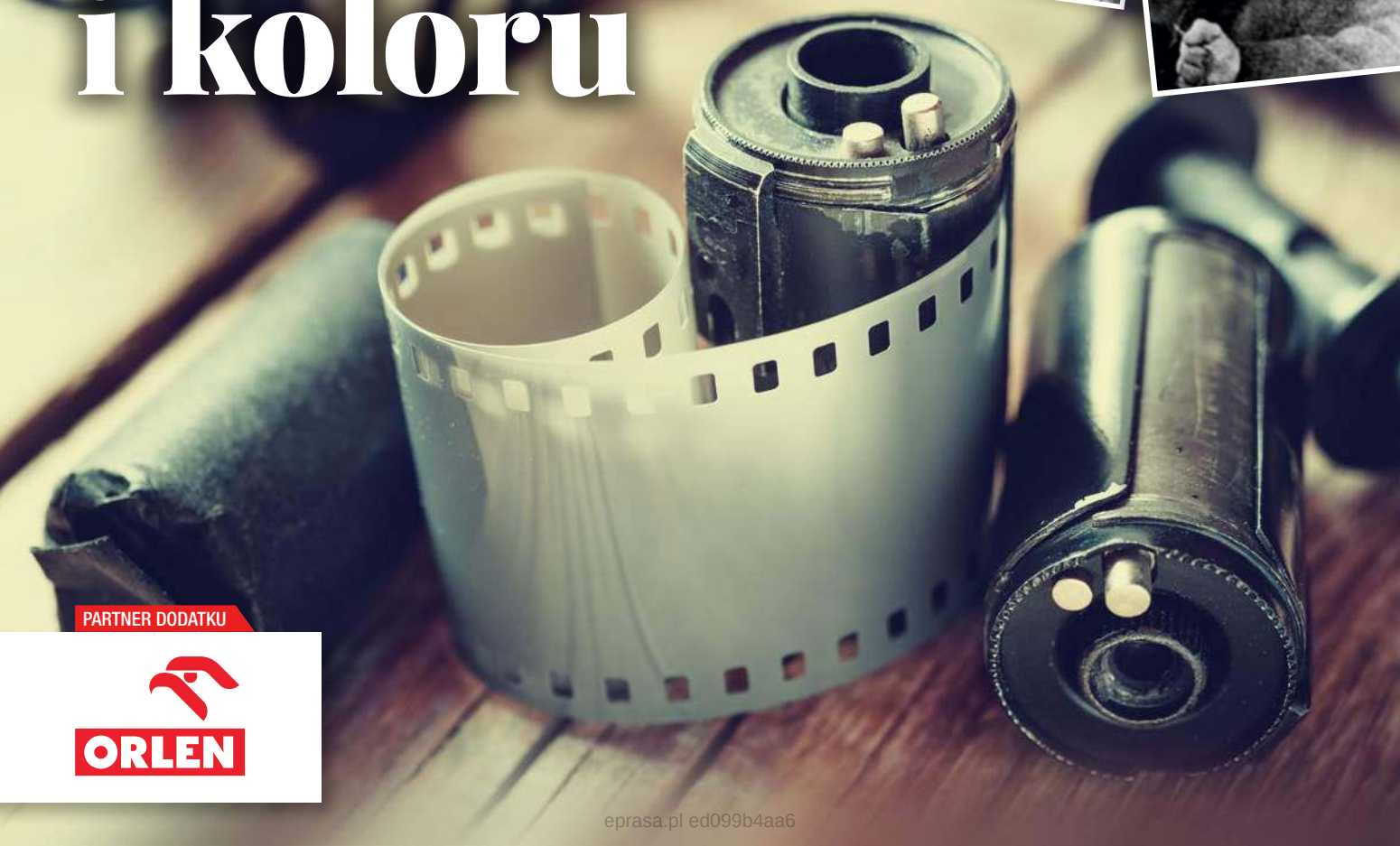
Łowcy obrazu, dźwięku i koloru


Kazimierz Prószyński


Karol Juliusz Drac


Eustachy Białoborski

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI



PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl ed099b4aa6

Spod zaborów do Hollywood

Mimo dość umiarkowanych sukcesów naszej kinematografii w światowych rankingach Hollywood ma Polsce całkiem sporo do zawdzięczenia. Choć rzeczywiście dotyczy to dość odległej przeszłości. Reżyser kultowego „Pół żartem, pół serio" z Marilyn Monroe Billy Wilder urodził się np. w Suchej Beskidzkiej. Trzej bracia Wonsal, urodzeni w mazowieckim Krasnosielcu, założyli w USA jedną z największych wytwórni filmowych Warner Bros., a ekscentryczny rzeźbiarz Stanisław Szukalski – jako bliski przyjaciel rodziny – odcisnął duże piętno na osobowości Leonardo DiCaprio, którego znał od niemowlęcia



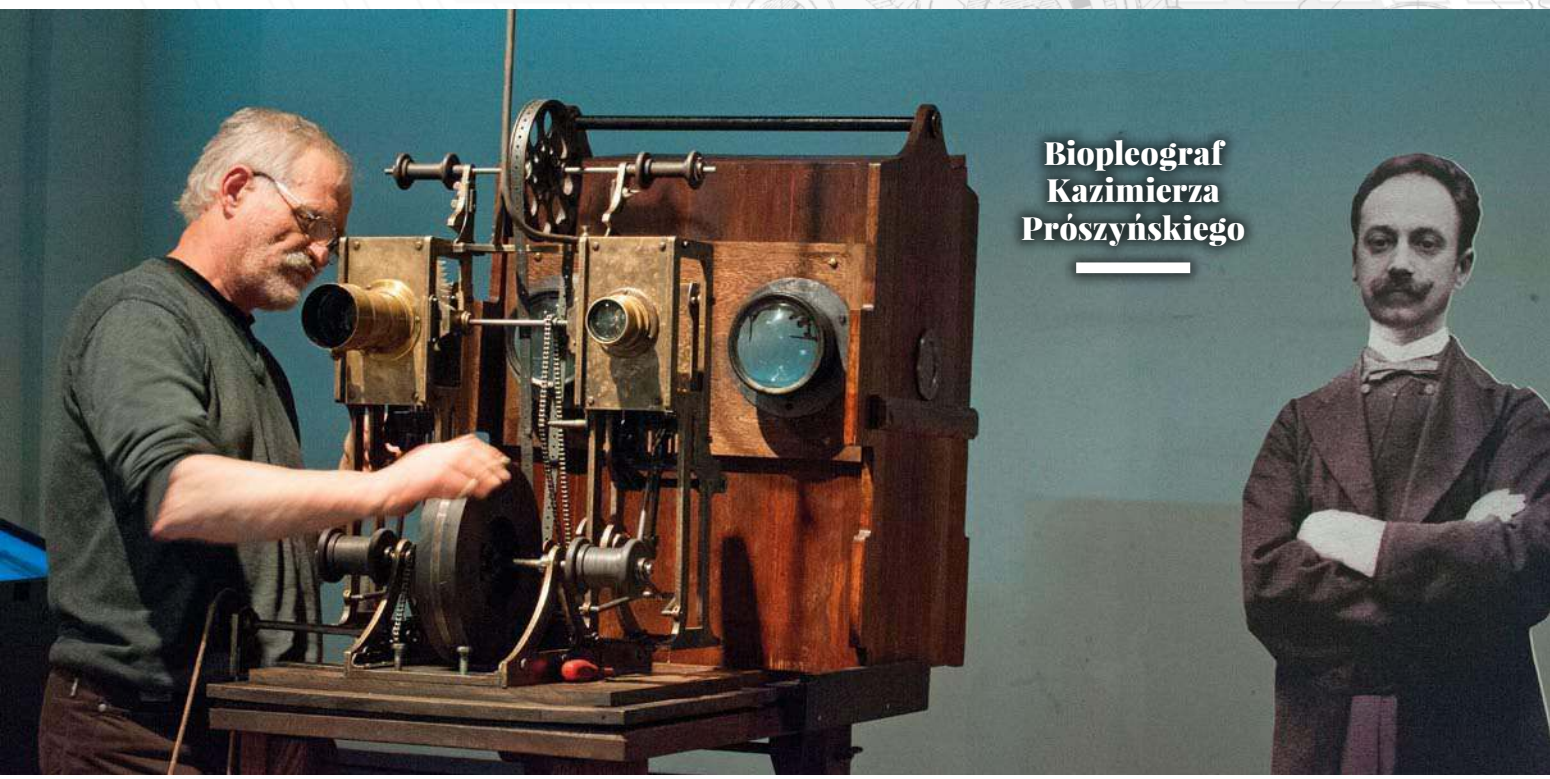
Wojciech Lada

Wyliczać można pewnie w nieskończoność, bo kolejne fale emigracji XIX- i XX-wiecznych zaludniły świat Polakami, którzy mniej lub bardziej wtopieni w lokalne warunki mieli swój wpływ na światową naukę, kulturę, w tym także film – zapewne znacznie większy, niż stałoby się to, gdyby pozostali w środkowej Europie. Faktem jest jednak, że jeśli chodzi o kwestie wizualne – fotografię, technikę filmową, synchronizację obrazu i dźwięku – wyprzedziliśmy większość innych narodowości, nawet przebywając w tej części świata, a w dodatku pod zaborami. Zdolności technicznych nigdy Polakom nie brakowało, a dostępność najlepszych europejskich uniwersytetów, możliwość wymiany myśli z wybitną kadrą profesorską i tęgimi umysłami spośród studentów innych narodowości sprawiały, że zdolności te rozwijane były często w sposób iście wizjonerski.

Wizjonerem takim był opisywany tu już kilka miesięcy temu Jan Szczepanik, zwany nie bez powodu „polskim Edisonem", który poza kilkudziesięcioma innymi wynalazkami wymyślił np. telewizję. „Kolumbem fotografii" określany był z kolei Karol Juliusz Drac – postać tyleż genialna, ileż tragiczna, bo zanim skończył trzydziestkę, zdążył swoje odsiedzieć w Cytadeli Warszawskiej, stracić oboje rodziców, z braku pieniędzy podejmować pracę w fabrykach i dopiero kilka miesięcy przed śmiercią ogłosić swój pionierski system pozyskiwania fotografii barwnej. Może nie tragiczny, ale pechowy był też los Eustachego Białoborskiego, którego przełomowe badania nad udźwiękowieniem filmu przerwała I wojna światowa i z jakichś powodów nigdy już do nich nie powrócił – zajął się interesami, popularyzowaniem astronautyki i wytykaniem niekompetencji Stanisławowi Lemowi.

Wreszcie geniusz stulecia – Kazimierz Prószyński – bez którego nie tylko nie byłoby Hollywood, lecz z pewnym opóźnieniem powstałby w ogóle film. Przed braćmi Lumière wynalazł kamerę, przed całym światem opracował kamerę ręczną, którą nakręcono wszystkie znane ujęcia I wojny światowej, sam również tworzył filmy: komedie, dokumenty, eksperymenty. Pomyślał nawet o niedowidzących – pierwszy wpadł na pomysł autolektora. O skali jego pasji wiele mówi choćby to, że ostatnie urządzenie opracowywał w roku 1943, a więc pod okupacją niemiecką i niedługo przed wybuchem powstania warszawskiego. Był zresztą podobno jakoś zaangażowany w konspirację, choć miał już wówczas siedemdziesiątkę na karku. Kto wie, może znane nam zdjęcia i filmy z powstania powstawały na przygotowanym przez niego sprzęcie. Pewności nie mamy, ale prawdopodobieństwo jest duże.

eprasa.pl ed099b4aa6



Biopleograf Kazimierza Prószyńskiego

Pierwsza kamera na świecie

WOJCIECH LADA

Na jego kamerze nakręcono wszystkie znane dziś kroniki z frontów I wojny światowej, umożliwił powstanie wywiadu lotniczego, udźwiękawiał film, pracował nad telewizją, stworzył pierwsze polskie filmy i być może pierwszy na świecie reportaż filmowy. Pod względem obrazu Kazimierz Prószyński stworzył XX w. i popkulturę

Prószyńscy nie byli pokorną rodziną. Konrad, lepiej znany pod pseudonimem Kazimierz Promyk, był jednym z tych szalonych pozytywistów, którzy walkę o przetrwanie pod zaborami polskości widzieli przede wszystkim w edukacji. W 1875 r. założył konspiracyjne Towarzystwo Oświaty Narodowej i w jego ramach przygotował m.in. pierwszy nowoczesny elementarz. Główną wagę przykładał do wykształcenia polskiej wsi – z natury rzeczy germanizującej i rusyfikującej się łatwiej niż wykształceni mieszkańcy miast. To właśnie z myślą o chłopach wydawał „Gazetę Świąteczną", dla nich też opracował w 1879 r. „Obrazkową naukę czytania i pisania" – tak udaną, że zajęła pierwsze miejsce na międzynarodowej wystawie Londyńskiego Towarzystwa Pedagogicznego.

Niemal wszystkie jego działania edukacyjne były nielegalne, ale Promyk nie bał się kary. Jako kilkuletni chłopak znalazł się na Syberii i w tamtejszym Tomsku spędził swoją wczesną młodość. Nawiasem mówiąc, tam właśnie poznał Stanisława Witkiewicza – znakomitego malarza oraz ojca Witkacego – i się z nim zaprzyjaźnił. Obaj byli w podobnym wieku i obaj znaleźli się w „najzimniejszym więzieniu na świecie" nie za własne winy, lecz swoich ojców, którym po prostu towarzyszyli. Z tą różnicą, że ojciec Witkiewicza został zesłany za udział w powstaniu styczniowym, Promyka zaś za nielegalne umieszczanie polskich symboli narodowych na fotografiach. I była to akcja masowa, Stanisław Antoni Prószyński prowadził bowiem w Mińsku jeden z pierwszych na ziemiach polskich zakładów fotograficznych – liczba nielegalnych fotografii z orzełkami musiała być więc jak na tamte czasy zawrotna, zwłaszcza zważywszy na to, że jego zakład działał od 1839 r., na Syberii zaś znalazł się w późnych latach 50. XIX stulecia. I prawdopodobnie to właśnie dziadek, a nie ojciec, miał największy wpływ na zainteresowania urodzonego w 1875 r. Kazimierza – człowieka, który będzie miał kluczowy wpływ na rozwój światowej kinematografii, i to zarówno jako autor pionierskich filmów, jak i konstruktor kamer filmowych.

fot. Andrzej Zbraniecki / East News

eprasa.pl ed099b4aa6


W wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa
Krakowskie - Przedmieście 66.
Odbędą się dwa pierwsze odczyty z cyklu odczytów popularnych zorganizowanych przez Towarzystwo Kursów Technicznych a mianowicie:
DNIA 28-go PAŹDZIERNIKA (SOBOTA)
Inż. KAZIMIERZ PROSZYŃSKI
„Technika kinematografu i rzut oka na przyszłość"
DNIA 2-go LISTOPADA (CZWARTEK)
Inż. ROMAN PODOSKI
„Koleje elektryczne"
Odczyty będą ilustrowane doświadczeniami, przezroczami i zdjęciami kinematograficznemi. Każdy z odczytów stanowi oddzielną całość. Początek odczytów punktualnie o godz. 8-ej wieczorem.
Ceny miejsc norm. 800 mk. i ulgowe dla uczącej się młodzieży 500 mk. Bilety do nabycia w kancelarji Muzeum Przemysłu i Rolnictwa

WYŚCIG Z BRAĆMI LUMIÈRE

Kazimierz urodził się w Mińsku, ale od wczesnej młodości kształcił się w Warszawie. Zważywszy na to, kim był jego ojciec, można śmiało założyć, iż jechał tam już z solidną podstawą edukacyjną, co zapewniło mu czas na zajmowanie się w zwiększonym zakresie naukami ścisłymi. Niewątpliwie już wówczas także na konstruowanie urządzeń optycznych, skoro jego pierwszy opatentowany wynalazek w tym przedmiocie – pleograf, czyli aparat kinematograficzny służący jednocześnie do rejestracji materiału filmowego oraz jego projekcji – powstał w 1894 r., kiedy Kazimierz miał zaledwie 19 lat. Data jest o tyle ważna, że projekt Prószyńskiego był całkowicie oryginalny, a analogiczny wynalazek bracia Lumière – obecni zresztą na pokazie pleografu – opatentowali dopiero rok później. Sami przyznawali Prószyńskiemu pierwszeństwo, twierdząc, że byli co prawda twórcami filmu francuskiego, „ale był też pewien Polak, który zwyczajnie nas wyprzedził".

Kiedy młody wynalazca konstruował swoją pierwszą kamerę, był studentem politechniki w belgijskim Liège, ale po jej ukończeniu i pewnym czasie spędzonym w Paryżu powrócił do Warszawy, gdzie na wielką skalę wykorzystywał pleograf, kręcąc mnóstwo krótkometrażowych filmów. Z dzisiejszej perspektywy trudno uznać je za dzieła, w tamtym czasie jednak podczas pokazów w teatrze letnim w warszawskim ogrodzie Saskim przyciągały tłumy. To krótkie, trzyminutowe obrazki z życia ówczesnego miasta, których całą treść wyczerpują już tytuły: „Ślizgawka w dolinie Szwajcarskiej", „Ślizgawka w ogrodzie Saskim", „Ruch uliczny pod pomnikiem Mickiewicza", „Kurier Warszawski", „Manewr konnicy", „Ćwiczenia artyleryjskie" czy „Ulica Franciszkańska".

Nie znaczy to, że Prószyński nie miał wyższych ambicji artystycznych. W 1902 r. nakręcił dwa krótkie filmy fabularne, w których – nawiasem mówiąc – debiutował słynny amant polskiego kina w okresie dwudziestolecia Kazimierz Junosza-Stępowski. Oba świadczą zarówno o znacznym już udoskonaleniu pleografu, jak i o poczuciu humoru Prószyńskiego. Oba filmy są bowiem komediami. Pierwszy z nich to „Powrót birbanta", znany też jako „Zabawne przygody pana po świątecznych libacjach" – i o tym właśnie opowiadający. Drugi zaś przeszedł do historii kina jako „Przygoda dorożkarza" – zmęczonemu dorożkarzowi, który przysnął na koźle, kawalarze podmieniają konia na osła. Prószyński pokusił się nawet o kino artystyczne. W 1903 r. nakręcił miniaturę, rodzaj efektu wizualnego „Walkirie", w którym tytułowe postaci unoszą się wraz ze swoimi końmi na obłokach. Film został zaprezentowany podczas premiery „Walkirii" Ryszarda Wagnera w Teatrze Wielkim. O popularności samego Prószyńskiego w ówczesnej Warszawie może świadczyć w tym przypadku to, że udało mu się do filmu „wypożyczyć" od Rosjan oddział Czerkiesów, którzy zagrali role tytułowe.

WYNALAZCA Z DUSZĄ ARTYSTY

Prószyński kręcił filmy, popularyzował kino, organizując liczne pokazy filmowe, założył też wytwórnię filmową Towarzystwo Udziałowe Pleograf. Nie wyczerpywało to jednak jego aktywności. Był przede wszystkim wynalazcą i to praca nad udoskonaleniem pleografu, a także kolejnymi przyrządami, wypełniała mu czas. Największym problemem raczkującej techniki filmowej było migotanie obrazu. Prószyński zminimalizował je w 1898 r., tworząc tzw. biopleograf, a cztery lata później opracowując projekt obturatora – rodzaju przesłony, która efekt ten zmniejszała jeszcze lepiej. Jednocześnie pracował nad kolejnym ze swoich przełomowych projektów – aeroskopem, czyli pierwszą na świecie ręczną kamerą filmową. Prószyński tworzył ją w 1908 r. we Francji, a następnie w Wielkiej Brytanii, gdzie kolejno uzyskiwał patenty. Na Wyspach udało mu się też znaleźć inwestorów i rozpocząć masową produkcję wynalazku.

I w tym przypadku postanowił sam zadebiutować jako reżyser, kręcąc prawdopodobnie pierwszy na świecie reportaż filmowy – z koronacji króla Jerzego V. Wkrótce jednak aeroskop zaczął żyć własnym życiem, zwłaszcza wówczas, gdy jego możliwościami zainteresowała się armia. To właśnie nim kręcone były pierwsze kroniki z frontów I wojny światowej, a wkrótce powstała wersja urządzenia przystosowana do wykonywania zdjęć lotniczych. To ostatnie wzbogaciło wizualną formę reportaży, ale jed-

> Pleograf, czyli aparat kinematograficzny służący jednocześnie do rejestracji materiału filmowego oraz jego projekcji, 19-letni Kazimierz opatentował w 1894 r. Bracia Lumière przyznawali Prószyńskiemu pierwszeństwo, twierdząc, że byli co prawda twórcami filmu francuskiego, „ale był też pewien Polak, który zwyczajnie nas wyprzedził"

fot. Biblioteka Narodowa (3)

eprasa.pl ed099b4aa6

nocześnie stało się podstawą wywiadu lotniczego, na wielką skalę stosowanego podczas II wojny światowej, lecz wówczas mającego swój skromny debiut.

Brakuje zapisków Prószyńskiego na ten temat, ale był człowiekiem, który myślał w sposób bardzo nowoczesny, chyba przewidując powstanie w niedalekiej przyszłości zjawiska popkultury. Myślał bowiem od razu o odbiorcy masowym, i to nie tylko – choć głównie – w sensie ilościowym. Już w czasie I wojny światowej opracował np. autolektora, czyli urządzenie, dzięki któremu film stawał się dostępny także dla osób o słabym wzroku i niemogących czytać napisów. I nie był to jedyny tak nowatorski jego projekt. Pracował również nad udźwiękowieniem filmu, zresztą z dużym powodzeniem. Stworzony przez niego kinofon – system synchronizacji obrazu i dźwięku – zadebiutował w 1912 r. w dwóch nakręconych przez Prószyńskiego miniaturach: „Ave Maria" oraz „Łagodzący wpływ muzyki na nerwy". Wynalazca myślał jednak nie tylko o odbiorcach filmów, lecz także o twórcach. Możliwość powszechnego realizowania materiałów filmowych miała jego zdaniem zapewnić pierwsza miniaturowa kamera – pierwotnie nazwana Amateur Cinema, ale ostatecznie produkowana jako Oko.

Całkowicie wyprzedził jednak swoje czasy, wymyślając tzw. stereos, czyli przyrząd umożliwiający projekcję filmów na dowolnej powierzchni, np. ścianach domów, dzięki czemu stał się również pionierem m.in. wielkopowierzchniowych reklam ulicznych. Niewiele brakowało zresztą, by stał się pionierem telewizji – opracował Telefot – w tym jednak przypadku wcześniejszą (choć niewiele) i ważniejszą postacią okazał się opisywany już na tych łamach Jan Szczepanik, zwany m.in. przez Marka Twaina „polskim Edisonem".



Nasi wynalazcy za granicą.

Kinematograf amatorski Kazimierza Prószyńskiego.

OKO DLA KAŻDEGO

Do wybuchu I wojny światowej Prószyński był królem życia, a jednocześnie obywatelem świata. Jego wynalazki funkcjonowały na rynkach europejskich, a z patentów płynęły do kieszeni wynalazcy niemałe pieniądze. Był też wciąż młody, bardzo przystojny, obracał się w kręgach aktorów i przemysłowców, co dawało razem obraz życia barwnego i dość sielskiego. Nie był jednak bezrefleksyjnym birbantem. Wychowany przez bardzo zaangażowanego społecznie ojca odziedziczył po nim temperament społecznika – choć wyrażał go bardziej piórem niż czynem. Regularnie pisywał np. felietony do „Gazety Świątecznej", w których w lekko socjalizujący sposób domagał się m.in. rozszerzenia praw obywatelskich, oświaty dla ludności wiejskiej i robotniczej. Kto zresztą wie, czy właśnie z myślą o warstwach nieuprzywilejowanych nie powstawały jego – coraz tańsze, łatwiejsze w obsłudze i mające wszelkie szanse stać się powszechnie dostępne – wynalazki?

Po wybuchu I wojny światowej jego uporządkowany dotąd świat nie zmienił się w jakiś przesadny sposób. Jako się rzekło, mentalnie był obywatelem świata – dość zamożny, umiejący pracować, znający kilka języków, doskonale czuł się właściwie w każdym zakątku świata. Dopiero co poślubił zresztą młodą Angielkę Dorothy Abrey, co dodatkowo wzmocniło jego kosmopolityzm. Być może właśnie z myślą o rodzinie młodzi państwo Prószyńscy zdecydowali się uciec przed wojną do USA.

Tam początkowo niewiele się zmieniło. Pieniądze na utrzymanie płynęły z patentów za wynalazki, dodatkowo tu właśnie Kazimierz założył wytwórnię swoich miniaturowych kamer filmowych Oko, wiele wskazywało więc na to, że interes będzie się rozwijał. Czas wojny nie był jednak najwyraźniej dobrym momentem na niewojenne wynalazki – wytwórni powodziło się marnie i wkrótce splajtowała, a ostatnie egzemplarze Oka Prószyński w iście filmowym stylu porozbijał młotkiem, by nie podebrano mu pomysłu. Nie wiadomo dokładnie, jak małżeństwo spędziło wojenne lata, wiadomo tylko, że po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w 1919 r., powróciło do Polski. Prószyński starał się przede wszystkim popularyzować zarówno kręcenie, jak i oglądanie filmów, założył nawet w sierpniu 1922 r. Centralną Europejską Wytwórnię Kinematografu Amatorskiego „Oko", która emitowała swoje akcje.

Pracował nieustannie, ale raczej ulepszał stare, niż wynajdował nowe urządzenia – choć projekt autolektora opracował w 1943 r., a więc już jako osoba pod siedemdziesiątkę, w dodatku pod okupacją. W publikacjach na jego temat przewija się zresztą wątek współpracy z niepodległościową konspiracją, ale nie wiadomo na ten temat nic pewnego, pomijając, że wiek zapewne nie pozwalał mu już na głębsze zaangażowanie. Najbardziej prawdopodobne, że chodziło o wykorzystanie jego projektów do celów wywiadowczych.

W trakcie powstania warszawskiego został aresztowany przez Niemców wraz z żoną i córką, a następnie wywieziony do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, później do austriackiego Mauthausen-Gusen. Tam zmarł 13 marca 1945 r. w wieku 70 lat jako więzień nr 129 957.

eprasa.pl ed099b4aa6

Świat w nowych kolorach

WOJCIECH LADA

Konspirował, siedział w carskim więzieniu, przede wszystkim jednak stworzył najlepszy w swoich czasach system barwnej fotografii. Światowa prasa pisała wówczas o wielkim technologicznym kroku naprzód. Karol Juliusz Drac żył zbyt krótko, by postawić drugi krok



Karol Juliusz Drac

fot. „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki" 1/3, 1956 (2)

Urodził się w tym samym roku co Kazimierz Prószyński, ale nic nie wskazuje na to, by obaj wynalazcy się znali. Pochodził z rodziny urzędniczej, jego rodzina utrzymywała przyjacielskie stosunki z ludźmi ówczesnej nauki, szczególnie zaś bliskie z Władysławem Skłodowskim – zawodowo wybitnym matematykiem, a prywatnie ojcem Marii Skłodowskiej-Curie.

W CYTADELI I W LABORATORIUM

Młody Karol nie ukrywał, że kontakty rodziców miały wpływ na jego zainteresowanie naukami ścisłymi. Najprawdopodobniej – choć o tym nic pewnego nie wiadomo – to z domu wyniósł skłonność do konspiracji niepodległościowej. Jak sam opowiadał, lata gimnazjalnie dzielił właśnie między naukę a konspirację: „Poza zajęciami szkolnymi byłem oddany gorąco działalności kółkowej między uczniami gimnazjum praskiego i politycznej między robotnikami. Były to czasy największego rozwoju działalności kółkowej gimnazjalnej wśród gimnazjów zarówno warszawskich, jak i prowincjonalnych, której regulatorem było Koło Centralne, do którego należałem. Oprócz tego z gorączkowym zapałem zajmowałem się studiowaniem chemii. Pokój swój zamieniłem w laboratorium, a co tydzień grono uczniowskie zbierało się do mnie na zajęcia praktyczne".

Tak druga okazała się niebezpieczniejsza. 17 grudnia 1892 r., po dokonanej

w jego mieszkaniu rewizji, został aresztowany i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Więzienie to nie budziło już wówczas takiej grozy, jak w czasie powstania styczniowego, jednak dla 17-latka pobyt w nim musiał być silną traumą. Po opuszczeniu więzienia za kaucją wciąż przebywał pod nadzorem policyjnym. Mimo wszystko udało mu się zdać maturę i podjąć pracę – jego rodzina nie była zamożna, a kaucja zawrotnie wysoka – w laboratorium jednej z fabryk na podwarszawskim wówczas Tarchominie. Ostatecznie jednak zdecydował się podjąć studia w Instytucie Technologicznym w Petersburgu, co umożliwiło mu pokaźne stypendium dla najzdolniejszych studentów.

Był to w jego życiu okres trudny, ale twórczy. Trudny, bo w krótkim odstępie czasu zmarli jego rodzice, co wyraźnie wpłynęło na jego charakter, który z nadekspresyjnego stał się wręcz melancholijny. Twórczy, bo – jak pisał jeden z jego biografów, Władysław Jewsiewicki: „W chwili, gdy Karol Drac kończył Instytut Technologiczny i otrzymywał w dniu 31 maja 1903 r. dyplom inżyniera-technologa, główne zarysy jego wynalazku już były gotowe; był nim system otrzymywania zdjęć kolorowych metodą optyczną bez używania filtrów”.

KIERUNEK WYTKNIĘTY

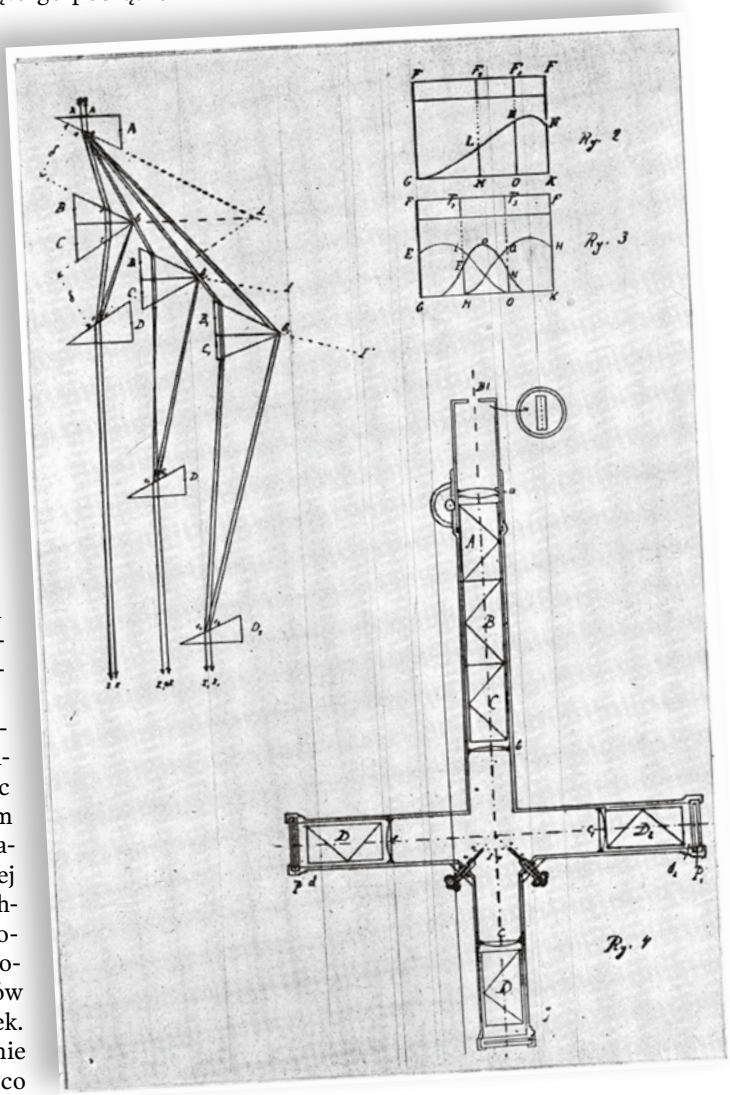
Drac interesował się fotografią jeszcze w gimnazjum, a kwestia niedoskonałości dotychczasowej barwnej fotografii, w której kolory uzyskiwało się, stosując odpowiednie filtry, zajmowała go podczas studiów. Przez cały ich okres pracował nad stworzeniem nowego urządzenia. Miał przy tym wiele szczęścia. Udało mu się zainteresować projektem niejakiego inż. Wierzbickiego, który w Petersburgu reprezentował m.in. interesy brytyjskiego biznesmena Mikołaja Bayleya. Dzięki jego wsparciu finansowemu prace nad wynalazkiem szły bardzo sprawnie. W 1903 r. Karol pisał w liście do brata: „Co do mojego wynalazku, to nic Mieczkowski wiedzieć nie może. Słyszał on tylko o sposobie Lippmana, według którego rzeczywiście fotografie otrzymują się tylko na szkle i nie dają się reprodukować. Moje zaś fotografie nie robią się na żadnym szkle, ale właśnie na papierze. Mogą więc warszawiacy, nie czekając na żadne sto lat, jak się spodziewa Mieczkowski, szykować swe setki tysięcy, a z przyjemnością wygarną. W ogóle w przyszłość patrzę z wielką pewnością i nadzieją. Z teraźniejszości jestem również zadowolony, bo mam pracę i kierunek wytknięty”.

Ów Mieczkowski był znanym wówczas warszawskim fotografem – jak możemy się domyślać – sceptycznym względem nowego wynalazku. Ale się co do niego mylił. Karol Drac pierwszy patent uzyskał na swój wynalazek już 20 marca 1903 r. w Petersburgu. Projekt w pełni mógł jednak zrealizować dopiero w Niemczech, w laboratoriach optycznych Zeissa. Tam przyjęto go początkowo sceptycznie, ale po kilku tygodniach uzyskał laboratoryjne potwierdzenie swoich obliczeń i mógł przystąpić do budowy aparatu, który nazwał chromografem. Jego nowatorski system opierał się na odpowiednim układzie pryzmatów, które pozwalały eksponować jednocześnie trzy negatywy. Nie wnikając w techniczne szczegóły – otrzymywano w ten sposób zdjęcia nieporównywalnie lepszej jakości. Tego samego zdania byli eksperci obecni na prezentacjach wynalazku w niemieckiej Jenie oraz w Londynie.

W „The British Journal of Photography” pisano wówczas: „P. Drac twierdzi, że jego system daje absolutne rozwiązanie fotografii kolorowej za pomocą prostych technicznie środków, a jednocześnie daje możność dokładnego doboru kolorów drukarskich dla odbitek. Z tego, cośmy oglądali, nie ma żadnej wątpliwości co do wielkiej pomysłowości i praktycznego charakteru systemu. Jest on niewątpliwie krokiem naprzód w fotografii trójkolorowej, a szczególnie przez zmniejszenie czasu ekspozycji”.

I dalej: „Na Politechnice przy ul. Regent Street, W., p. Drac wykonał szereg zdjęć różnych obiektów, włączając w to portrety osób, jesteśmy w stanie podać naszym czytelnikom dalsze szczegóły, które na pewno zainteresują zatrudnionych w kolorowej fotografii, tym bardziej że zagadnienie zdjęć kolorowych potraktowane zostało całkowicie nowym sposobem”.

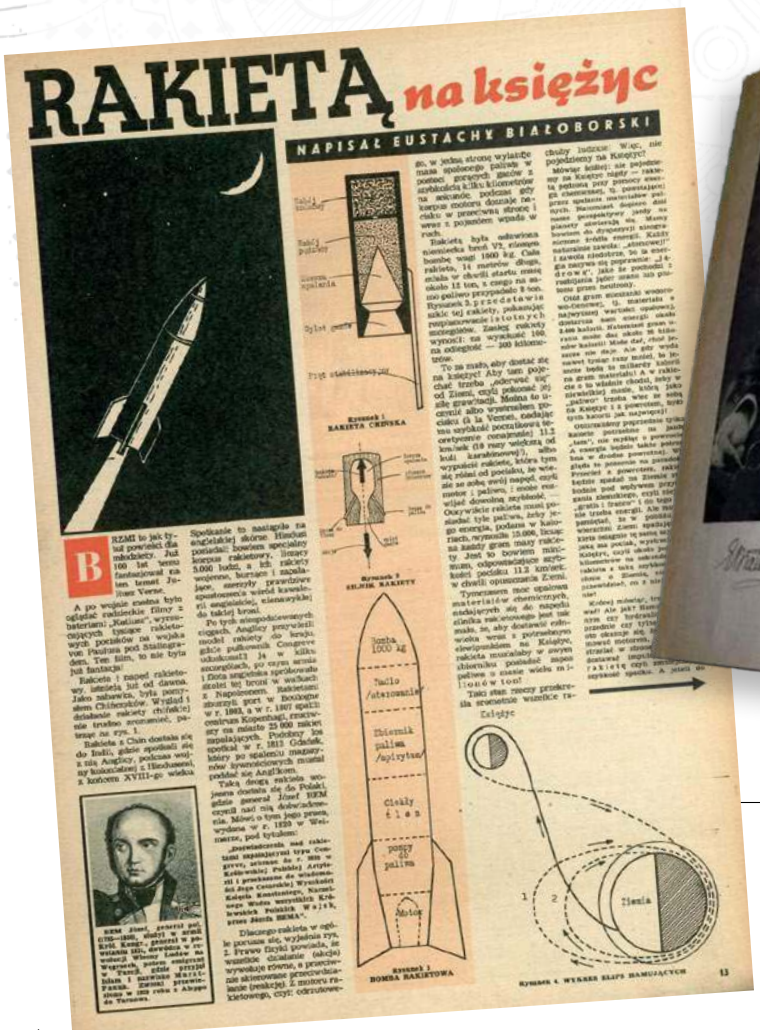
Działo się to w styczniu 1906 r. Trzy miesiące później, 26 kwietnia, Karol Juliusz Drac już nie żył – zmarł w wieku 31 lat, zatruty gazem we własnym mieszkaniu na Mariensztacie.



Schemat rozszczepiania światła i opis patentowy projektu budowy kamery

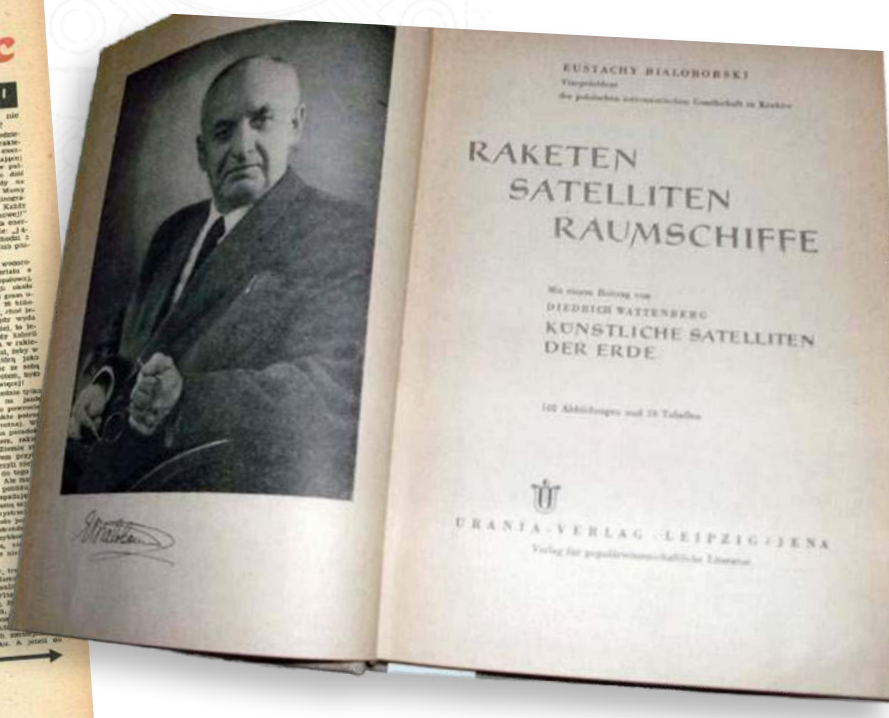
eprasa.pl ed099b4aa6

Ze Lwowa w kosmos



RAKIETĄ na księżyc

NAPISAŁ EUSTACHY BIAŁOBORSKI



EUSTACHY BIAŁOBORSKI

RAKETEN SATELLITEN RAUMSCHIFFE

KÜNSTLICHE SATELLITEN DER ERDE

URANIA-VERLAG · LEIPZIG-JENA

fot. Materiały archiwalne z tygodnika „Przekrój" (2), Urania Verlag Leipzig

WOJCIECH LADA

Eustachy Białoborski miał pecha. Udźwiękowił film swoim autorskim systemem w przededniu I wojny światowej. Wojny, która zniszczyła równie skutecznie jego laboratorium i marzenia

Jeśli ktoś pamięta dziś nazwisko Białoborskiego, to z całą pewnością prędzej skojarzy je z rakietami kosmicznymi niż z filmem. Nie, żeby je budował, a już na pewno nie, żeby nimi latał. Po prostu całe życie tego matematyka i fizyka po II wojnie światowej upłynęło na popularyzowaniu kosmonautyki, a niezliczone artykuły i kilka książek o takich tytułach jak „Rakieta księżycowa", „12 opowieści o lotach kosmicznych", „Sztuczny księżyc" czy „Tajniki lotu rakiety" skutecznie zapładniały wyobraźnię pierwszego powojennego pokolenia Polaków. Tymczasem był on jednym z tych ludzi, których wkład w powstanie filmu dźwiękowego jest nieoceniony.

PREZENTACJE W PARYŻU

Białoborski miał świetny start. Matematykę studiował na Uniwersytecie Lwowskim w okresie, kiedy powstawała legendarna, do dziś uznawana za zjawiskową lwowska szkoła matematyczna, wyznaczana takimi nazwiskami jak Banach, Ulam czy Hugo. Mógł ich wszystkich znać, może nawet spędził z nimi jakiś wieczór w Szkockiej. Jego zainteresowania naukowe poszły jednak w zupełnie innym kierunku. Równolegle studiował fizykę, wkrótce przeniósł się na wydział mechaniczny tamtejszej politechniki. To właśnie na tej uczelni spotkał Romana Dzieślewskiego, z którego inspiracji zainteresował się filmem. Być może również dzięki profesorowi, po ukończeniu studiów, znalazł inwestorów, dzięki którym udało mu się stworzyć laboratorium. Właśnie w nim opracował swój system udźwiękowienia ruchomych obrazów.

Nie był ani pierwszym, ani jedynym. Nad zsynchronizowaniem dźwięku i wizji naukowcy pracowali jeszcze głęboko

eprasa.pl ed099b4aa6

w XIX w., a liczba zajmujących się tym zagadnieniem badaczy sięgała kilkunastu – dość wspomnieć choćby wielkich Polaków: Jana Szczepanika i Kazimierza Prószyńskiego. Faktem jest jednak, że i Białoborski osiągnął na tym polu spore sukcesy. Jego system już w 1912 r. został opatentowany w Austrii i we Francji. Jego pracami zainteresowała się francuska wytwórnia Gaumont, która jeszcze w tym samym roku umożliwiła mu zorganizowanie publicznej prezentacji swojego filmu dźwiękowego w Paryżu.

LATA MIĘDZYPLANETARNE

Dobrą passę przerwała jednak wojna. Lwowskie laboratorium uległo zniszczeniu, a wraz z nim Białoborski skończył z marzeniami o filmie. Nie znamy jego motywów, być może po prostu bieda okresu wojny skłoniła go do działań mniej idealistycznych, za to przynoszących realne dochody. Zajął się mianowicie prowadzeniem interesów, a konkretnie – lwowskiego przedstawicielstwa Fabryki Maszyn Tkackich i Elektromotorów „Georg Schwabe". Na cały okres dwudziestolecia Białoborski zniknął z pola widzenia zarówno nauki, jak i filmu. Nie ma jednak wątpliwości, że gdzieś pomiędzy kolejnymi biznesami uważnie śledził postępy obu tych dziedzin. Kiedy tylko zakończyła się II wojna światowa, pojawił się bowiem w Krakowie jako być może największy w ówczesnej Polsce znawca tematyki kosmicznej. Nie było to zresztą trudne – w tamtym czasie mało kto zapewne myślał o lataniu w kosmos, niemniej Białoborski wykazywał się naprawdę niezwykłą znajomością tej tematyki, w czym z pewnością bardzo pomagało mu nabyte we Lwowie wykształcenie.

W tym okresie do legendy przeszły jego starcia ze Stanisławem Lemem, któremu na drodze precyzyjnych wyliczeń wytykał naukowe nieprawdopodobieństwo akcji jego książek. Co ciekawe, Lem podobno bardzo cenił sobie uwagi Białoborskiego, zauważając, że przeciętni czytelnicy jego książek mają skłonność do wyobrażania sobie, iż rozwiązał wszystkie problemy podróży międzygwiezdnych. Białoborski przeciętny z pewnością nie był. Na pewno zdążył więc obejrzeć mnóstwo doskonale już udźwiękowionych filmów, choć lądowania na Księżycu nie doczekał. Zmarł w roku 1960.



EUSTACHY BIAŁOBORSKI

CZY POLECIMY na KSIĘŻYC?

Podnieść kamień z Księżyca! Wylądować na Marsie! Oto niezaszczone dotąd marzenia Ciołkowskiego, pioniera rakiety, i jego uczniów, tych istnych alchemików rakiety.

W średnich wiekach alchemicy poszukiwali kamienia filozoficznego, który pozwoliłby zamieniać ołów w złoto. Powoli z tej alchemii powstała chemia. Narodził się Lavoisier i wielki Mendelejew. A w dwudziestym wieku następcy średniowiecznych alchemików rozbijają atomy i robią złoto z ołowiu, choć jeszcze nie na techniczną skalę.

Marzyciele i entuzjaści rakiety czują się dziś jeszcze jak średniowieczni alchemicy. Mało kto wierzy w powodzenie ich zamierzeń. Podróż na Księżyc dalej wygląda na mrzonkę.

Pesymiści przeoczają jednak ważny, realny fakt: oto pół wieku rzeczy przyniosło technice niebyłe jaki sukces: silnik odrzutowy!

Gdy sceptyk spojrzy na rysunek obok, opatrzony podpisem: „Silnik odrzutowy", a wyglądający na trochę powykrzywianą rurę, zapyta niechybnie z lekceważeniem:

„To ma być silnik? Takie coś ma pędzić samolot? To chyba kpiny!"

A jednak... ta krzywa rura — to pierwsze: pochodzi z warsztatu alchemika rakiety, po drugie: **naprawdę** pędzi samoloty, nadając im superfoniczne szybkości (tj. większe od szybkości głosu, czyli ponad 1000 kilometrów na godzinę). Silnik tego typu ma w fachowej literaturze nazwę: „athodyda".

Żeby jednak taki silnik, jak owa rura, bez cylindrów, tłoków, wentylów, korbowodów, wału, łożysk, słowem silnik bez... silnika, czyli bez żadnego mechanizmu, mógł w technice nowoczesnego samolotu zająć takie miejsce, jakie dziś już posiada, trzeba było pół wieku marzeń i ciężkiej pracy rakieciarzy. (Poniesli przy niej śmierć: Valier, Tilling i wielu innych).

Myśli i projekty Konstantego Ciołkowskiego (1857—1935) wielkiego wynalazcy rosyjskiego, ojca nowoczesnej rakiety (patrz „Przekrój" nr 268), znalazły wielu zwolenników na całym świecie. Aby uwydatnić chronologię zdarzeń, przypomnijmy, że pierwszy traktat Ciołkowskiego o rakiecie międzyplanetarnej, pozbawionej płynnym paliwem, został wydany drukiem w r. 1903, po przebyciu 5 lat w biurku wydawcy, który niezawodnie był... pesymistą i sceptykiem.

W Ameryce występuje jako pierwszy dr. Robert Goddard, dopiero w r. 1919, wydając programową pracę p.t. „Metody zdobywania wielkich wysokości". Badacz ten do swych doświadczeń rakietowych używa paliwa płynnego, zaproponowanego wiele lat przedtem przez Ciołkowskiego.

W Niemczech zyskuje sławę prof. Herman Oberth, autor książki „Rakietą w przestrzeń międzyplanetarną", wydanej w r. 1923, a powtarzającej myśli i projekty Ciołkowskiego z r. 1903. Oberth był inicjatorem i współtwórcą niemieckiej rakiety wojennej V 2.

Wybitnym pionierem rakiety we Francji był inż. Robert Esnault-Pelterie. On to pierwszy — fundując nagrodę dla najlepszej pracy na temat rakiety, i wydaje w r. 1930 dzieło o nawigacji gwiazdowej p. t. „L'astronautetique".

Dane te są zaczerpnięte z angielskiego dzieła wydanego w r. 1948 pt. „Rocket and Space Travel". Autor Willy Ley, znany fachowiec i historyk światowego rakieciarstwa, stwierdza bez zastrzeżeń pierwszeństwo Kibalczyca i Ciołkowskiego.

Oczywiście, naśladowców i entuzjastów swych idei znalazł Ciołkowski przede wszystkim w Z. S. R. R.

Rozwijając teorie Ciołkowskiego w książce „Podbój przestrzeni międzyplanetarnej" (1929), pisał J. W. Kondratiuk:

„Zobaczymy niebawem exodus człowieka w przestrzeń międzyplanetarną..."

„Dla astronomów przyszły pojazd międzyplanetarny będzie latającym astronomicznym obserwatorium"... wtóruje mu Fryderyk Arturowicz Cander, drugi uczeń Ciołkowskiego, w swej książce „Problem lotów przy pomocy silników odrzutowych" (1932).

Cander, jak Ciołkowski, od dzieciństwa „upił się" gwiazdami. Za pierwsze zarobione pieniądze kupuje teleskop. Już w r. 1920 Lenin, urzeczony wykładem rakietowym Candera, okazał mu pomoc w jego pracach. Cander całe życie trzymał głowę „w gwiazdach". Córkę swą nazwał „Astra". Synowi nadał imię „Merkury".

A teraz przyjrzyjmy się rakiecie wielostopniowej, pokazanej na ilustracji u góry i zapytajmy, na czym polega ta „wielostopniowość"? Otóż rakieta dla uzyskania szybkości musi wieźć ze sobą większe ilości paliwa, które w pierwszych zwłaszcza etapach podróży szybko się spala, a wymaga ogromnych zbiorników, wielkiej konstrukcji, i dużego a niepotrzebnego motora. Wszystko to stanowi balast, pożerający wiele energii. Toteż pomysłowy konstruktor składa ze sobą kilka odrębnych rakiet, o stopniowo zmniejszającej się wielkości. Naprzód działa rakieta-matka". Po spaleniu swego paliwa, próżny czerep wraz ze zbiornikami i motorem, automatycznie odłącza się od całości i spada na ziemię. Ten moment widzimy właśnie na rysunku.

Wtedy zaczyna pracować w analogiczny sposób następny stopień; po spełnieniu swej funkcji, spotyka go ten sam los, co „matkę". Za odrzewaniem się każdej części, reszta rakiety osiąga coraz większą wysokość, mniejszą masę a większą szybkość. Dla ilustracji takiej wielostopniowej operacji rakietowej warto przytoczyć liczbowe przykłady, podane w poniższej tabelce:

stopień	masa (kg)	wysokość (km)	szybkość (m/sek)
pierwszy	50.000	80.8	2.795
drugi	5.000	505	6.360
trzeci	500	1.330	10.190

Z tabelki widzimy, że trzeci stopień rakiety, o masie 500 kg. na wysokości 1.330 kilometrów, osiąga szybkość 10.190 metrów na sekundę, co już wystarcza, aby rakieta-wnuczka mogła dolecieć na księżyc.

W masie 500 kg mieści się jednak 405 kg paliwa. 85 kg to czerep i motor. Użyteczny ciężar, zawieziony na księżyc, to — raptem 10 kg. Jeżeli ciężar pasażerów, wyposażenie itp. miałby wynieść, skromnie licząc tylko 1000 kg, to rakieta-matka zamiast 50 ton, musiałaby mieć masę 5.000 ton. Czyli 500 dziesięciotonowych wagonów! A to tylko do podróży tam, bez możności powrotu. Aby powrócić, trzeba z Księżyca wystartować rakietą również o masie 5.000 ton. W tym celu jednak trzeba ją tam naprzód dostarczyć. A to wymaga masy początkowej (startowej — na Ziemi) jeszcze 5.000 razy większej.

Dlatego, jak to już w poprzednich artykułach podkreślaliśmy, rakieta międzyplanetarna, nawet wielostopniowa, ze względu na olbrzymie ilości potrzebnego paliwa nie da się praktycznie zrealizować, jeżeli ma być pędzona paliwem chemicznym.

Czy dlatego jednak dzieło życia Ciołkowskiego i jego następców jest bez wartości? Nigdy w świecie! Rakieta „przedatomowa" na skalę międzyplanetarną, skończyła swe życie na papierze i nigdy nie ujrzy światła rzeczywistości. Oczekiwać natomiast należy skonstruowania silnika odrzutowego o napędzie energią jądrową.

W istocie zatem rakiety tej, którą sobie wymarzył Ciołkowski, zajdzie istotna zmiana: system napędu. Ale tysiące innych problemów, dotyczących podróży międzyplanetarnych, a rozwiązanych przez Ciołkowskiego i jego następców, ma dalej istotne znaczenie dla przyszłego konstruktora rakiety atomowej i dla nawigatora takiej rakiety.

Gdy mnie przeto zapytacie, kiedy lecimy na Księżyc, odpowiem skromnie: „Sądzę, że już niedługo".

Ale na pytanie, CZY tam polecimy, wołam gromkim głosem: „POLECIMY!"

EUSTACHY BIAŁOBORSKI

Silnik odrzutowy, przelotowy nadaje samolotowi szybkość superfoniczną

7

25/0418/F

eprasa.pl ed099b4aa6



RAZEM NAPĘDZAMY POLSKĘ

TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

ORLEN

eprasa.pl ed099b4aa6



O miłości i tradycji. Marzeniach i świątecznych dylematach. O budzącej wspomnienia zimnej Wełtawie i podgrzewanej Wiśle. A także o rodzinnych rozliczeniach, które narzuca gwiazdkowy czas... rozmawiamy z Olafem Lubaszenką

Święty Mikołaj bierze się z potrzeby

Fot. MJW Foto Ola Grochowska Akson Studio

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. MJW Foto Ola GrochowskaAkson Studio

Z aktorem i reżyserem Olafem Lubaszenką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

To jak to jest z tym św. Mikołajem? Skąd on się co roku bierze?

Olaf Lubaszenko: Oj... Powtórzę za moim bohaterem z filmu „Miłość jest wszystkim" i zgodnie ze swoją wiedzą: św. Mikołaj jest z Turcji. Ten najważniejszy, którego wspominamy w mikołajki i Wigilię, który pomagał biednym i potrzebującym, był biskupem Miry, a ta leży w dzisiejszej Turcji. Ale...

Jest jakieś „ale"?

Ciągnie mnie do odpowiedzi bardziej metaforycznej... Św. Mikołaj bierze się też z potrzeby. Żeby dawać coś innym, sprawiać im radość, nadając temu wymiar swego rodzaju przedstawienia, baśniowej inscenizacji, którą lubią dzieci... Chociaż współczesne dzieci tak dużo rozumieją, że czasem mam wrażenie, godzą się na tę „grę", dobrze wiedząc, że św. Mikołaj to przebrany tatuś czy wynajęty pan.

A dorośli nie godzą się na grę? Tę coraz bardziej skomercjalizowaną?

No taaak. Ledwie zdążyliśmy zapalić znicze na grobach bliskich, a wokół już mnóstwo było bożonarodzeniowych dekoracji i startowały reklamowe kampanie pełne świętych mikołajów. Tych, co to zamieszkują w Laponii, i tych, których wizerunek wykreowała znana amerykańska firma. Ale myślę, że czasem, nie tylko u tych najmłodszych, pojawia się tęsknota, jakiś malutki promil nadziei, że może jednak św. Mikołaj istnieje naprawdę. I przychodzi do nas. I zmienia nas trochę.

Jako dziecko wierzył pan w św. Mikołaja?

Z tego, co pamiętam, nigdy. Mój dom rodzinny był pod tym względem bardzo racjonalny.

A zdarzyło się panu za Mikołaja przebrać?

Chyba raz, dla córeczki, kiedy była bardzo mała, ale trochę się to wspomnienie już zatarło.

Jak więc czuł się pan w stroju mikołajowym na planie filmowym?

A to jest ciekawe. Bo tu już dotykamy innego mechanizmu. Dzieci, które grały w filmie – mimo że zorientowane w realiach pracy z kamerą, świadome, że wszystko, co się dzieje wokół, jest fikcją – były niezwykle zaciekawione postacią św. Mikołaja.

Kiedy pojawiła się propozycja zagrania tej roli, jak pan zareagował?

Chcę wierzyć, że reżyser Michał Kwieciński widział we mnie kogoś więcej niż dużego faceta, który może mieć brodę. Prawdę powiedziawszy, nie była to też łatwa do zagrania postać, ponieważ jednym z założeń było, że bohater nie będzie sympatyczny, że nie będzie się starał, żeby go lubiano. A w każdym z nas jest gdzieś przecież dążenie, żeby być akceptowanym. Tymczasem tu trzeba było zrobić coś odwrotnego. I mam w tym miejscu skojarzenie, pozornie odległe od tematu, przy którym jesteśmy: szwedzki serial „Most nad Sundem". Sofia Helin gra w nim detektyw Sagę Noren w sposób, który doskonale pokazuje pewien mechanizm: jak postać, którą powinniśmy nienawidzić, zaczynamy lubić. I im dalej w serial, tym częściej łapiemy się na tym, że jej sekundujemy. Ale kiedy grałem Jana w filmie „Miłość jest wszystkim", jeszcze tego serialu nie widziałem [śmiech].

Ale może oglądał pan wcześniej filmy, w których św. Mikołaj nie był wcale taki święty?

Zdarzyło się. Film jest w dużym stopniu odzwierciedleniem zbiorowych emocji, więc w scenariuszach po-

eprasa.pl ed099b4aa6

jawiają się postaci, które są efektem tego, co myślimy o różnych sprawach. Przez wiele lat Mikołaj był na ekranie postacią pozytywną, taką „do przytulania"; starszym panem, który mówił „Ho, ho, ho!" i przynosił upragnione prezenty, ewentualnie czasem wypijał herbatę z odrobiną rumu, no bo wiadomo: zimno... A potem nastąpiła rewolucja w myśleniu o nim, ludzie zaczęli mieć dosyć tego grzecznego wizerunku i pojawił się „Zły Mikołaj" z Billym Bobem Thorntonem, a także Mikołaj niezwykle zgorzkniały, w którego na chwilę wcielał się rockman grany przez Billa Nighy w filmie „To właśnie miłość". W polskich produkcjach też zagościł bardzo nieświęty Mikołaj. Myślę tu o „Listach do M." z Tomaszem Karolakiem. I pewnie niełatwo było wymyślić bohatera, który będzie się różnił od tamtych, odsłoni jakiś oryginalny wyrazisty rys i charakter. Czy to się udało, muszą ocenić widzowie.

Mam wrażenie, że dzięki temu filmowi dostał pan też, niejako w prezencie, szansę na Disneyowskie w stylu sceny. Wpłynięcie do Gdańska z imponującą świtą, na baśniowej fregacie, nie każdemu się zdarza.

Oj tak. Możliwość uczestniczenia w podobnym zdarzeniu to coś ekscytującego. Nawet jeśli niektóre ujęcia trzeba powtórzyć 38 razy. Poza tym wpływać do Gdańska jest bardzo przyjemnie, bo to niezwykle piękne miasto.

I nabrzeże pełne wiwatujących ludzi... Poczuł pan dziecięcą radość (którą często przywołuje ostatnio pewna reklama), kręcąc te sceny?

Zdecydowanie tak.

Jednak grany przez pana bohater nie podziela takiej radości: po latach pracy w Finlandii wraca do rodzinnego kraju, by załatwić zupełnie inne sprawy niż paradowanie w stroju mikołaja. I skakanie do wody...

Zbyt wiele o tym powiedzieć nie możemy, żeby nie psuć przyjemności oglądania, ale rzeczywiście, wskutek dramatycznego splotu okoliczności Jan ląduje w wodzie.

Jak by pan ocenił stopień trudności tej sceny?

Sama w sobie nie byłaby może tak skomplikowana, gdyby nie jeden element, który sprawił, że doświadczenie stało się ekstremalne... temperatura wody. W konfrontacji z 3–4 stopniami okazuje się, że wszystko, co wiemy o pływaniu, swoim organizmie, jego wydolności i wytrzymałości, przestaje mieć znaczenie. Jednak nie uskarżam się, a nawet cieszę się, że mogłem brać udział w takiej scenie, bo sprawiła, że odmłodniałem o parę lat. Przypomniałem sobie dawne czasy. Poprzednio pływałem w ubraniu w filmie „Egoiści" (2000), w Wiśle, też w listopadzie, tyle że kręciliśmy zdjęcia na odcinku przy elektrociepłowni Siekierki i woda była bardzo ciepła, a Motława „podgrzewana" nie była, ale miałem dobre zabezpieczenie i wcześniej sporo treningów, więc potęgująca stres temperatura wody i tłum ludzi wokół nie okazały się zbytnią przeszkodą.

Skoro jesteśmy przy ekstremalnych zadaniach, proszę powiedzieć, jak się „przejmuje" rolę po Janie Englercie?

Hm, to na pewno wysoko zawieszona poprzeczka, ale nie czułam tego ciężaru, bo mój bohater nie miał w ogóle świadomości „przejęcia". Nie bardzo wiedział, co się dzieje i jakie to będzie mieć konsekwencje, a między innymi o tym jest ten film...

Sporo jest w nim o relacjach rodzice–dzieci, w tym również ojciec–syn. Wzbudziło to w panu jakieś wspomnienia, refleksje?

Jan stara się naprawić coś, czego nie był w stanie udźwignąć przed laty. Ma przerwę w życiorysie. W pewnym momencie prywatne, osobiste wyzwania go przerosły i wybrał najprostszą drogę, czyli ucieczkę. Rośnie w nim świadomość, że to jest otwarta rana, niedokończona opowieść i trzeba coś z tym zrobić. W tym sensie ta refleksja dotyczy mnie również i chyba każdego z nas, bo w mniejszym lub większym stopniu każdy z nas ma sprawy niezałatwione, przed którymi uciekł, nie czuł się na siłach, by stawić im czoła; bał się, czuł się niedojrzały, niegotowy, wydawało mu się, że zejście z linii frontu jest najlepszym rozwiązaniem... Niestety tak jest na tym świecie, że rachunki zostają. I trzeba je kiedyś spłacić.

Relacje ojciec–syn, zwłaszcza gdy ten pierwszy jest bardzo wyrazistą, mocną postacią, bywają dla synów

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście są ubezpieczenia!

saltus.pl

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

66/1118/F

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. MJW Foto Ola GrochowskaAkson Studio

trudne, ale i inspirujące. Nie myślał pan o sięgnięciu do własnych doświadczeń i wyreżyserowaniu, tym razem nie komedii, ale głębokiego filmu dramatycznego ze swoim ojcem?

Nie mam gotowej odpowiedzi na to pytanie. Tak łatwo nie da się zbyć tej relacji, bo być może jest to mój niezapłacony rachunek. W różnych sensach i aspektach. Także w tym sensie, że każdy człowiek ma swoją prywatną, osobistą historię, którą powinien choćby sam przed sobą rozliczyć, a robienie filmów czy pisanie książek jest jedną z dróg, by się z tym uporać. Druga sprawa to rachunek wobec zawiedzionych fanów moich ról z młodości, którzy myśleli, że będę robił podobne filmy, w jakich grałem, kiedyś, kiedyś... dawno temu. Przez jakiś czas, a może w ogóle, nie mogli mi wybaczyć, że poszedłem drogą twórcy komediowego. Nie ukrywam, że ciągnie mnie, by chociaż raz zrobić coś poważnego i bardzo osobistego, ale tego nie da się ot tak postanowić. Trzeba to poczuć. Jeśli będzie na to czas i będę miał siły, na pewno to się zdarzy.

I znajdzie się w tym projekcie duża rola dla pana ojca?

Mój ojciec grał w każdym moim filmie, więc dziwne by było, gdyby w tym nie zagrał.

A myśli pan o filmie, w którym staną przed kamerą i pana ojciec, i córka?

Córka jest na czwartym roku krakowskiej akademii. Chciałbym bardzo, żeby jej się udało, powiodło, żeby miała radość z tej drogi, którą wybrała. I bardzo też bym chciał uszanować jej naturalną, zrozumiałą i budzącą szacunek potrzebę pracy na własny rachunek. Tego, żeby iść swoją drogą, żeby być ocenianą i docenianą za to, co sama osiągnęła, a nie za to, czyją jest córką czy wnuczką.

Mam wrażenie, że pan też kiedyś postanowił własną drogę wypełnić swoimi śladami.

To bardzo obszerny temat... domknę więc tylko wcześniejszą myśl, że szanując wybory i potrzebę Marianny, nie chcę za bardzo o niej w mediach opowiadać. Wiem, że chce sama zapracować na swój wizerunek, dorobek i pozycję. I to mi się bardzo podoba.

Spytam więc o pana. Czy oglądając rywalizację w „The Voice of Poland", myślał pan o swoim wokalno-scenicznym doświadczeniu i o spotkaniu w „Metrze" Katarzyny Groniec, mamy Marianny?

To był szalony, sympatyczny i bardzo inspirujący czas. Ważny też dla mnie prywatnie. Wielu ludzi z tamtego zespołu wybrało wtedy swoją artystyczną drogę i idzie nią konsekwentnie. Jednym powodzi się lepiej, innym gorzej, tego nie chcę oceniać, ale było to wspaniałe, niezwykle intensywne zbiorowe doświadczenie. Zarówno dla tych, którzy byli tym zespołem, jak i dla tych, którzy się na tym spektaklu w jakimś sensie wychowywali, bo było tych widzów wielu. Mogę tylko powiedzieć, że jestem szczęśliwy i dumny, że mogłem być częścią tak ważnego przedsięwzięcia.

„Metro" pozostaje we wdzięcznej pamięci, a jakie ma pan plany na przyszłość? O czym opowie np. „Rodzina Winnych"?

Zdjęcia do tej wieloodcinkowej sagi – osadzonej w historycznym tle, a więc opowiadającej zarówno o ludziach, jak i kraju, w którym żyją – wciąż trwają. Gram tu dr. Brzozowskiego, postać bardzo pozytywną, niosącą wartości, które mnie ujęły. Podobnie jak towarzystwo aktorskie oraz osoba reżysera Piotra Trzaskalskiego... Często to zaznaczam w rozmowach z mediami: w każdym projekcie, filmowym czy teatralnym, niezwykle ważne jest, z kim pracujemy. W „Miłość jest wszystkim" ekipa była znakomita. W „Odwróconych 2", realizowanej teraz kontynuacji świetnego serialu sprzed ponad dziesięciu lat, jest podobnie. Do obsady dołączyło parę postaci, wśród nich moja: prokurator Adam Gołąbek, bynajmniej nie o gołębim sercu [śmiech].

Wciąż się pan obraca wśród gwiazd?

Przygotowujemy się do kolejnej edycji Festiwalu w Międzyzdrojach. Cały czas też reżyseruję w teatrze. Na afiszu są „Ludzie inteligentni". Gramy w Teatrze Imka (m.in. w sylwestrowy wieczór) i w całej Polsce. Niedawno wyreżyserowałem sztukę „Dwie pary do pary" w Teatrze Capitol. Tu też trwają próby do spektaklu „Wykrywacz kłamstw" w reż. Roberta Talarczyka, w którym występuję jako aktor, wraz z Anną Gornostaj i Kacprem Kuszewskim. No a w przyszłym roku będą kolejne projekty...

Przy tak intensywnych działaniach ma pan jakieś życzenie skierowane do... św. Mikołaja?

Jednym się marzy św. Mikołaj, innym święty spokój [śmiech]. Ja w tej chwili jestem na etapie marzenia, by w nadchodzące święta odwiedził mnie ten drugi. Mam za sobą trochę intensywnego zawodowego czasu, z czego się oczywiście bardzo cieszę, ale w święta chciałbym pobyć z najbliższymi i pożyć mniej intensywnie.

A jakiego prezentu oczekiwałby pan od Mikołaja?

Jeśli już, to poprosiłbym o siłę. Żeby nie ulegać rzece komercji. Nie płynąć z jej nurtem. Nie zastępować uczuć prezentami ani ważnych spraw – gadżetami. Mieć w sobie siłę szukania kontaktu z bliskimi ludźmi. Rozmawiania z nimi, patrzenia sobie w oczy, trzymania się za ręce, mówienia sobie dobrych rzeczy. Bo to jest znacznie, znacznie, znacznie ważniejsze.

eprasa.pl ed099b4aa6

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Opowieść o cierpliwym Polaku

Kiedy siadłem do pisania o przedstawieniu Teatru Telewizji „Człowiek, który zatrzymał Rosję", zajrzałem na Facebooka. Ktoś pokazał tam jeden z rozlicznych postów, w których „internauci" przekonują nas łamaną polszczyzną, że nie ma gorszej zarazy niż Ukraińcy, więc „Polacy poprzyjcie Rosjan" w awanturach w rejonie Morza Azowskiego. Człowiekowi z Facebooka fala tych wpisów skojarzyła się ze scenką, zresztą animowaną, z owego widowiska. Tam sowiecki agitator też apelował, tyle że do polskich żołnierzy. Jego polszczyzna również nie była nadzwyczajna.

Beata Hyczko i Tomasz Drozdowicz napisali opowieść o człowieku, który odegrał kluczową rolę w złamaniu, a właściwie łamaniu, sowieckich szyfrów. Ten wątek już się pojawiał – w niedocenionym serialu o Bitwie Warszawskiej „Wojna i miłość" Macieja Migasa, chyba także w „Bitwie Warszawskiej" Jerzego Hoffmana. Ale po raz pierwszy porucznik Jan Kowalewski zyskał twarz i nazwisko jako główny bohater.

Największym walorem tej opowieści jest położenie nacisku na to, co podobno udawało nam się gorzej. Na myśl, na cierpliwość, na kalkulację i precyzję. Już z tego powodu Kowalewski powinien być jednym z narodowych bohaterów. Drozdowicz jako reżyser opowiada o nim zaskakująco żwawo. Z mapkami, zdjęciami dokumentalnymi i owymi animacjami wypełniającymi lukę, której teatr w inny sposób wypełnić nie może: dzięki nim oglądamy sceny z frontu. A to opowieść o polskich kryptografach, o zalążku polskiego wywiadu, ale też o całej wojnie z bolszewikami.

I mogę powiedzieć to, co Józef Piłsudski Kowalewskiemu: dobra robota. Nie ma tu typowej dla teatru faktu sztuczności. Owszem, może poszedłbym na miejscu twórców dalej jeszcze w szukaniu wątków ludzkich. Nie wszystko da się załatwić obrazkiem, z którego wynika, że pan porucznik był romansowy i lubił uwodzić cudze żony.

Jak na mój gust zbyt łatwo zajmują autorzy stronę Piłsudskiego w rozgrywkach na szczycie państwa, przedstawiając go jako męczennika. Nie był tak dobroduszny. Choć moją sympatię budzi z kolei przypomnienie samej temperatury polsko-polskich konfliktów. Oto tyrady wygłaszane przez Szymona Kuśmidra grającego ojca kolegi Kowalewskiego – przeciw „niemieckiemu agentowi towarzyszowi Piłsudskiemu". W budzącym zachwyty dokumencie „Niepodległość" wszystko zostało nadmiernie wygładzone. Tu nie. Co nie przeszkadzało mi się wzruszać, kiedy przypomniano, że w godzinie próby Polacy umieli na moment stanąć na wysokości zadania. Ten sam narzekający na nową Polskę ojciec idzie do wojska wraz z 17-letnim synem. Nigdy dość powracania do takich epizodów. Tacy byliśmy. Czy jesteśmy?

Zawsze gdy oglądam takie spektakle, mam poczucie, jak wielu znakomitych aktorów marnuje się na tyłach, gdy Polacy kontentują się twarzami 20 celebrytów. Kowalewskiego miał grać ktoś inny. Zagrał Michał Żurawski, mimo udziału w serialu „Kruk. Szepty słychać po zmroku", zbyt słabo wykorzystany. Lekko sarkastyczny, ma on cechę, jakiej potrzeba do takiej roli: charyzmę. Kiedy zobaczyłem Roberta Gonerę z wąsami jako Piłsudskiego, zrazu pomyślałem: maskarada. A jednak sprawdził się – z dobrym Nikodemem Kasprowiczem jako Wieniawą u boku. Powiadam, oczekiwałbym więcej komplikacji, ale niespełna półtoragodzinny format plus przekonanie, że trzeba krzepić, miały swoje prawa. To ten rodzaj krzepienia, który jestem w stanie strawić. Przeważała rzeczowa relacja – i dobrze.



Piotr Zaremba



Penderecki: talent, energia, szczęście

Krzysztof Penderecki, najwybitniejszy żyjący polski kompozytor, świętuje 85. urodziny. Podczas poświęconego mu festiwalu w Warszawie mieliśmy okazję słuchać dawniejszych i zupełnie nowych kompozycji Mistrza wciąż pełnego energii twórczej



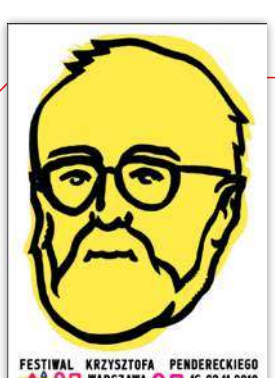
ADAM CIESIELSKI

Penderecki sukcesy zaczął odnosić już na początku kariery, jeszcze jako lider polskiej awangardy muzycznej przełomu lat 50. i 60. XX w. Międzynarodowe uznanie zdobył jego sonorystyczny „Tren ofiarom Hiroszimy" z 1961 r. Po nim krytyka i instytucje muzyczne na całym świecie z uwagą odnotowywały powstawanie każdego z symfonicznych, kameralnych, oratoryjnych i operowych dzieł Pendereckiego. Jego najczęściej wykonywanym utworem jest „Pasja według św. Łukasza". Napisana została na 700-lecie katedry w Münsterze, ale ważniejszą inspiracją było dla artysty przypadające jednocześnie 1000-lecie chrześcijaństwa w Polsce. Prawykonanie odbyło się 30 marca 1966 r. w Münsterze. Krajową premierę zorganizowano trzy tygodnie później w Krakowie.

Utwór miał już ponad 100 interpretacji. Szczególnie często słyszy się go w ostatnim dziesięcioleciu. W 2009 r. zabrzmiał w katedrze w Canterbury, w 2017 r. opisywałem jego sukces w Royal Festival Hall. W lipcu 2018 r. montrealscy symfonicy pod dyrygentem Kentem Nagano, z wyborną stawką solistów i polskimi chórami, w obecności kompozytora przypomnieli jego dzieło w Krakowie. Zaraz potem to samo wykonanie uświetniło poświęcony Pendereckiemu inauguracyjny wieczór 98. Festiwalu Salzburskiego.

„Trenu..." i „Pasji" nie było na obecnym Festiwalu Krzysztofa Pendereckiego. Ale program obejmował bogaty wybór dzieł Jubilata – od wczesnych po najnowsze. W pamięć zapadł popis Chóru Opery i Filharmonii Podlaskiej pod dyrekcją Violetty Bieleckiej w „Hymnie do św. Wojciecha" i „Hymnie do św. Daniła" oraz w „Credo". Kompozytor gratulował białostoczanom i innym wykonawcom wieczoru. Podczas inauguracji festiwalu dziękował m.in. Amitowi Peledowi za genialną interpretację „II Koncertu wiolonczelowego". Izraelski artysta, grający na XVIII-wiecznym instrumencie po legendarnym Pablu Casalsie, miał przy wylocie z Warszawy problemy: służba ochrony nie pozwoliła mu zabrać do kabiny zapasowych strun zabytkowej wiolonczeli jako potencjalnie niebezpiecznego narzędzia. Organizatorzy festiwalu wystosowali protest, rzecznik lotniska ripostował, że pasażer nie przystał na propozycję umieszczenia strun w luku bagażowym. Incydent zagrzytał w kuluarach, ale jego echo nie dotarło dalej.

Euforyczny wręcz nastrój miał poprzedzony mszą św. w archikatedrze św. Jana urodzinowy wieczór finałowy 23 listopada w Teatrze Wielkim. Jubilat przyjmował życzenia, wraz z publicznością oklaskiwał artystów. Anne-Sophie Mutter zjawiskowo zagrała II Koncert skrzypcowy „Metamorfozy", prezentowany niedawno na tournée po Chinach z Sinfonią Varsovią pod batutą Maestro Pendereckiego. Frans Helmerson, Ivan Monigetti, Arto Noras z wigorem wykonali concerto grosso na trzy wiolonczele. Na koniec zaś usłyszeliśmy „Dies illa" – utwór poświęcony pamięci ofiar I wojny światowej. Owacjom nie było końca, wzruszonemu kompozytorowi odśpiewano „Sto lat".



Festiwal Krzysztofa Pendereckiego Warszawa, 16–23 listopada 2018 r.

Finałowy koncert Festiwalu Pendereckiego był zarazem inauguracją I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej „Eufonie" (23 listopada–1 grudnia). Ta nowa, ambitna impreza przypomniała m.in. słynną „Symfonię pieśni żałosnych" innego giganta naszej muzyki współczesnej – Henryka Mikołaja Góreckiego (1933–2010). Ale największym wydarzeniem był przyjazd Arvo Pärta i monograficzny koncert utworów 83-letniego Estończyka, uważanego za jednego z najoryginalniejszych kompozytorów obecnej doby.

Fot. Bruno Fidrych/PLASTERSTUDIO

eprasa.pl ed099b4aa6

Marzyciel i idealista

W wieku 77 lat odszedł Bernardo Bertolucci, jeden z największych skandalistów i gigantów europejskiego kina

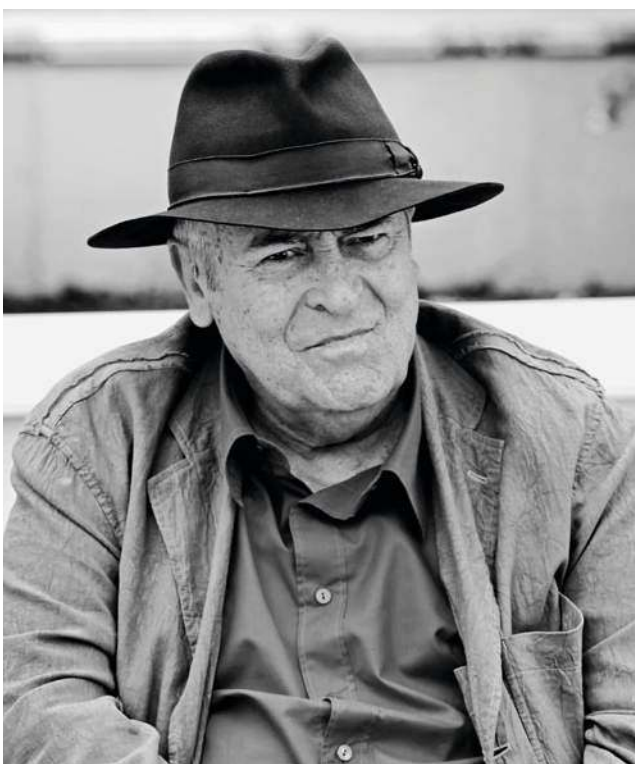
„Ridley Scott powinien się wstydzić za wycięcie z filmu Kevina Spaceya. Nabrałem ochoty, by zrobić ze Spaceyem film" – powiedział w apogeum #MeToo Bernardo Bertolucci, nie zważając, że w 2016 r. wyznał, iż w słynnej scenie „z masłem" w „Ostatnim tango Paryżu" wykorzystał wraz z Marlonem Brando aktorkę Marię Schneider, która nie była poinformowana o przebiegu kontrowersyjnego ujęcia. „Chciałem uzyskać reakcje dziewczyny, a nie aktorki" – powiedział, szokując cały sfeminizowany świat kina.

Zmarły 26 listopada w wieku 77 lat Bernardo Bertolucci był skandalistą. Jednak jego skandalizowanie zawsze wynikało z ideologicznych pobudek, a nie taniego poklasku. Bertolucci był lewicowym rewolucjonistą pragnącym przemeblowania światowego porządku. Filmoznawca dr Piotr Kletowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego podkreśla, że Bertolucci był twórcą „kina gramsciańskiego", które w myśl idei włoskiego komunisty Antonio Gramsciego miało zmieniać świadomość widza. „Bertolucci zrealizował monumentalny »Wiek XX« (1976), który ukazując konfrontacje komunizmu i faszyzmu, miał rzucić ogień rewolucji do USA" – mówi tygodnikowi „Sieci" filmoznawca.

Bertolucci nie był typowym twórcą eksperymentalnego kina jak inni rewolucjoniści jego czasów. On tworzył barokowe, a nawet operowe kino w duchu Luchina Viscontiego. – Jakby atakując pokolenie ojców i faszyzm, nie mógł się wyzwolić spod jego estetycznej siły, fotogenicznego uroku – uważa Kletowski. Czy dlatego genialny „Konformista" z Jeanem-Louisem Trintignantem eksploatuje narodziny faszyzmu w jego formie arystokratycznej, a nie ludowej? Czy dlatego epopeja „Wiek XX" ze wspaniałymi rolami Roberta De Niro i Gérarda Depardieu kończy się symboliczną symbiozą rewolucji i kontrrewolucji, tworzącej dzisiejszy ideologiczny eklektyzm Italii?

Bertolucci zaczynał od bycia asystentem lubiącego eksperymentowanie formą Piera Paola Pasoliniego we „Włóczykiju". Na podstawie jego tekstu zrobił debiutancką „Kostuchę" (1962). Choć Bertolucci odwoływał się do Nowej Fali, to robił filmy atrakcyjne dla szerokiej widowni. Świadczy o tym „Pod osłoną nieba" z Johnem Malkovichem i Debrą Winger oraz dziewięć Oscarów dla monumentalnego „Ostatniego cesarza" (1987). Tylko jemu otworzono na potrzeby filmu bramy Zakazanego Miasta w Pekinie.

„Gdybyśmy próbowali odczytać z jego filmów wszystkie wątki i historie oraz rozpoznać wszelkie aluzje i cytaty, to znaleźlibyśmy się w gigantycznej bibliotece zawierającej najważniejsze teksty ludzkości" – pisze Bożena Kudrycka w książce



Fot. Andrea Raffin/Shutterstock.com

„Ukryte spojrzenia w filmach Bernarda Bertolucciego". Jego poszukiwania duchowe i ideowe nie zawsze korespondowały z jakością artystyczną kina (słaby „Mały Budda"). Potrafił jednak spojrzeć na rewolucje okiem rozczarowanego rewolucjonisty. „Marzyciele" (2003) to gorzkie rozliczenie pokolenia '68. „Ukryte pragnienia" (1996) to ubrana w szaty bezpretensjonalnej opowiastki o toskańskich wakacjach spowiedź (znakomity Jeremy Irons) przedstawiciela postchrześcijańskiej cywilizacji. Ten kameralny i przesycony melancholią oraz erotyzmem film łączy się z najbardziej kontrowersyjnym obrazem Bertolucciego. „Ostatnie tango w Paryżu" przeszło do historii jako skandalizujący film erotyczny. Niesłusznie, bowiem był to głęboki traktat o samotności i bólu. Ostatnie lata życia Bertolucciego były pełne bólu i alienacji wywołanej nieudaną operacją kręgosłupa w 2003 r. Tę klaustrofobię świata widać w jego ostatnim filmie „Ja i ty" (2012). Do historii przeszedł jednak dzięki dziełom epickim i jednocześnie autorskim. Nie ma już dziś takich filmowców.

Łukasz Adamski

Czeskie słowa

Usiłując poznać inne kraje, perypatetycy, erudyci i sybaryci próbują traktów, trunków i klasyków. A może czasem wystarczyłoby posłuchać innego języka?



Wojciech Stanisławski

Mamy w Polsce wielkich czechoznawców, od Antoniego Kroha, przez Aleksandra Kaczorowskiego, po Mariusza Szczygła: wszyscy oni uznaliby, myślę, wielkość „Instrukcji obsługi Czech" pióra poety, historyka i dyplomaty Jiřiego Grušy (przełożonej zresztą przez kolejnego polskiego „czechoznawcę z cenzusem", Andrzeja S. Jagodzińskiego). Sięgając po tę krzyżówkę przewodnika turystycznego i wypisów z historii kultury, musimy się pogodzić z tym, że bezustannie wodzeni będziemy na manowce. Zwodnicza jest już okładka, przywołująca praski Orloj, czyli wspaniały XV-wieczny zegar astronomiczny: ostatnie, czego można by się spodziewać po tym eseju, to systematyczność wywodu. Gruša za nic ma chronologię, snuje swoją gawędę, odwołując się do kalamburów, które opowiedział kilka rozdziałów temu (lub które opowie dopiero za kilkadziesiąt stron): jedyny bodaj ciąg, który można w tej opowieści odtworzyć, to trasa, jaką usiłuje nas prowadzić od południa Czech ku Pradze i Morawom. Jakie to ma jednak znaczenie wobec kipieli nazwisk, skojarzeń i poetyckich pseudoetymologii, którymi częstuje nas co chwila?

Tyle że nawet w tym pozornym braku formy tkwi zamysł i żart: zamęt szlaków to odwołanie do najsłynniejszej czeskiej wędrówki literackiej, czyli Szwejkowej anabazy wokół Budziejowic, porozumiewawczy ton, przyjęty od pierwszej chwili przez autora, który spodziewa się od nas bagażu wspólnych skojarzeń, to oczywiście nuta pábeni, czyli hrabalowo-szwejkowych monologów na pograniczu opowieści Szeherezady i logorei. Ta opowieść zaczyna się od tropów i nazw celtyckich, od historii znaków diakrytycznych, wszystkich tych „daszków i pałeczek" (háčky a čarky), które ułatwić miały zapis języka alfabetem łacińskim, i najpierw pojawiły się w traktacie „De Orthographia Bohemica", stamtąd zaś dopiero trafiły do polszczyzny, chorwackiego, do gramatyków ziem nadbałtyckich, a potem w świat.

W manierze anegdoty, przypowieści, skrótu trafiamy do czeskich bohaterów, gestów i traum. Dwaj skłóceni święci, czyli Jan Hus i Jan Nepomucen. Milena Jesenska, La Belle o renesansowej fryzurze – ale i Božena Němcová, bez której nie byłoby XIX-wiecznej literatury czeskiej. Libreciści i skandaliści, Hašek i Kafka jako dwa najbardziej niezwykłe „żywoty równoległe", jakie można sobie wyobrazić, „napięty szpagat czeskiej polityki", i znów zdrobnienia i smaki, brambory (ziemniaki) – bo pochodzą z Brandenburgii, klasycy i awangardziści, dzwony nad srebrną Pragą i dźwięczące w całej książce „ř", głoska wyzwanie języka znad Vltavy.

Gruša pisał w oryginale dla monachijskiego wydawnictwa Piper, jego gry językowe i prowokacje kierowane były w oryginale w pierwszej kolejności do



Jacek Baluch, „Powiedz coś po czesku! Igraszki językowo-literackie", Universitas, 2018



Jiří Gruša, „Czechy. Instrukcja obsługi", tłum. Andrzej S. Jagodziński, Międzynarodowe Centrum Kultury, 2018

eprasa.pl ed099b4aa6

czytelnika niemieckiego, zachodzącego w głowę, czy rzeczywiście pierwowzór Fausta pisał się doktor Šťastny (znamienne są zresztą wielość tych pokrewieństw czesko-niemieckich i wielki wysiłek XIX-wiecznych „budzicieli", by się od nich uwolnić). Szczęśliwie tej samej jesieni pojawił się w księgarniach tytuł, który jest jak młodszy brat „Instrukcji...": zapiski Jacka Balucha. Warto odwrócić wzrok, by nie zauważyć kuriozalnej okładki, i zanurzyć się w zbiór anegdot, które już wprost odwołują się do wspólnej wielu z nas erotycznej nieledwie fascynacji językiem czeskim, fascynacji, którą ukrywamy pod grubymi żartami. Jerzy Kronhold miał odwagę w naszym imieniu przyznać się do tej słabości, pisząc przed laty „piękny jest czeski język / pachnie pszczołami i muzyką"; językoznawca i dyplomata Baluch rozbraja jej fundament, tłumacząc, że bierze się on z dziecięcej miękkości wzajemnie słyszanej przez Czechów i Polaków w językach swoich sąsiadów, ale i z wymieszania się znaczeń dwóch najbliższych sobie języków Słowiańszczyzny.

A potem, w podobnie niefrasobliwej i arbitralnej manierze, jak u Grušy, tyle że w trybie haseł, niejednego zniewalającego monologu, dowiadujemy się o faktach leżących u podstaw dziesiątków „skrzydlatych słów" (okřídlenyh slov), uwielbianych przez Polaków, choć nie do końca rozumianych – choćby „To se nevráti". Czytamy o urzekających „wulgaryzmach pozornych" (dupačky, czyli śpioszki, biorą swój początek od rdzenia odpowiadającemu polskiemu tup, jak w „tupaniu", a jeptiška, czyli „zakonnica", wywodzi się od starogórnoniemieckiego „eppetisse", to zaś od dostojnego łacińskiego opata, abby) i ryzyku bezwiednego osunięcia się w wulgaryzm rzeczywisty (konwersując łamaną czeszczyzną, nie należy, Boże broń, nikogo „szukać"). Velká pardubická i Charta 77, Cisař pan i TGM (Tomasz Garrigue Masaryk – o ileż to wdzięczniejszy skrót od TKM!). I wreszcie słowo duch: dmuchawiec, czyli pampeliška.

Polskie smaki

Już sam tytuł, który jednym nieuchronnie przywodzi na myśl Witkacowe „Nadobnisie i koczkodany", innym figle prozatorskie Marcina Świetlickiego, może skłonić do sięgnięcia po „Kapłony i szczeżuje" nawet czytelników, którzy od kilku lat czmychają jak od ognia od rozmaitych „filozofii jedzenia", „dzikich kuchni", „encyklopedii kasz", całego tego spożywczo-celebryckiego wielogłosu, który echem odbija się w miedzianych rondlach. Nie zawiodą się: Jarosław Dumanowski – historyk i antropolog, wykładowca UMK, współzałożyciel serii wydawniczej „Monumenta Poloniae Culinaria" – mądrze opowiada o historii jedzenia i sztuki kulinarnej.

Rozmowy z wydawcą najbardziej znanych książek kucharskich I Rzeczypospolitej (od „Compendium ferculorum" Stanisława Czernieckiego po „Kucharza doskonałego" Wojciecha Wielądkę) rozpoczynają się od prostowania powszechnie pokutujących mitów i przekłamań, począwszy od „włoszczyzny przywiezionej przez Bonę" po wizję kuchni staropolskiej obfitującej w mięsiwa (osobliwie kiełbasy), wizję, której narodziny wiązać trzeba zdaniem badacza z epoką niedostatku PRL. Dumanowski odtwarza (na ile to możliwe) menu dworków nie tylko na podstawie dawnych przepisów, lecz przede wszystkim wychodząc od podstaw „antropologii konsumpcji". Jeden filar jego dociekań to wiedza o różnorodności dawnych źródeł żywności (dziesiątki zapomnianych lub „wtórnie zdziczałych" gatunków roślin i zwierząt, od barszczu zwyczajnego i kucmerki po jarząbki) oraz „lokalności" producentów i rynków (ogromna większość jedzenia produkowana była i spożywana w kręgu gminy, parafii, jarmarku).

Równie istotne jest jego zrozumienie potęgi nakazów kulturowych, przede wszystkim powracających cyklicznie, długotrwałych postów. Dopiero połączenie tych czynników z pamięcią o przewrotach w całej kuchni europejskiej, w rodzaju powrotu do naturalności smaków La Varenne'a czy „rehabilitacji" masła w erze kontrreformacji – tłumaczy przemiany w rankingu przysmaków i zapomnianą karierę ryb słodkowodnych, którymi stała kuchnia staropolska. „Kapłony i szczeżuje" kartkuje się, chcąc zrozumieć świat zalany wieprzowiną i brojlerami.

Niełatwo mówić równie entuzjastycznie o biografii Lucyny Ćwierczakiewiczowej, najsłynniejszej polskiej autorki poradników i książek kucharskich XIX w. To książka, która wydaje się chwilami, by tak rzec, wodnista i niedopieczona zarazem. Tę wodnistość da się wytłumaczyć ubóstwem źródeł: z kilku zachowanych dokumentów, z garści zapisków autobiograficznych królowej kuchni, przeznaczonych do druku, więc ciasno zasznurowanych w gorsecie konwencji, trudno pewnie stworzyć pełnowymiarowy życiorys. Mimo to Marta Sztokfisz kreuje Ćwierczakiewiczową na pierwszą emancypantkę Warszawy popowstaniowej, niemal feministkę, to fabularyzuje, wypełniając wiele stron wyobrażeniami ówczesnych dialogów. „Pani od obiadów", choć nie stanie na jednej półce z „Panem od poezji", przypomni jednak Warszawę czasów smutnego pozytywizmu – i drogę, którą Polacy od czerniny i szczupaka w wiśniach przeszli do schabowego i sushi.



Jarosław Dumanowski, Magdalena Kasprzyk-Chevriaux, „Kapłony i szczeżuje. Opowieść o zapomnianej kuchni polskiej", Wydawnictwo Czarne, 2018

Marta Sztokfisz, „Pani od obiadów. Lucyna Ćwierczakiewiczowa – historia życia", Wydawnictwo Literackie, 2018

eprasa.pl ed099b4aa6

Adamski



A gdyby komunizm nie upadł?

Pierwszy polski serial Netflixa to produkcja intrygująca. Wyobrażacie sobie, jak wyglądałaby PRL w 2003 r.? To kraj przypominający dzisiejszy Wietnam albo Chiny. Komunistyczny reżim jest czerwony tylko z nazwy. Istnieją oczywiście wszechwładne SB i Partia. Do tego rządzi silna armia, której generałowie kroczą w pięknych, błękitnych mundurach. Polska to kraj stabilny gospodarczo. Buduje relacje gospodarcze z Azją i USA, choć to Moskwa pozostaje jej głównym partnerem gospodarczym. Skąd taka niezależność geopolityczna?

W 1983 r. dochodzi do potwornych zamachów terrorystycznych. Centra Warszawy, Krakowa i Gdańska przypominają ulice Manhattanu po zamachach 9/11. Naród się jednoczy. Przestaje mieć znaczenie podział na pacyfikowaną chwilę wcześniej „Solidarność" i komunistów.

Nie ginie jednak kłamstwo, którym podszyty jest każdy wymiar życia. Wie o tym zblazowany milicjant Anatol (Robert Więckiewicz), nienawidzący SB nie mniej niż zastraszone i przekupione dobrobytem społeczeństwo. 20 lat po wybuchach Anatol zostaje zrzucony do warszawskiego Małego Sajgonu. Krąży po azjatyckiej dzielnicy niczym Mickey Rourke w „Roku smoka" Cimina. W płaszczu, z obitą gębą i z kwaśną miną jest zlepiony ze wszystkich możliwych schematów filmowego gliny o przetrąconym kręgosłupie i dobrym sercu. Z pozoru błahe śledztwo w sprawie samobójstwa krzyżuje jego drogę z pełnym idei studentem prawa Kajetanem (Maciej Musiał). Panowie trafiają na spisek o międzynarodowej sile.

Nie chcę dalej psuć zabawy podążaniem za inteligentnym i pełnym zawiłości scenariuszem Joshuy Longa. Krytycy zarzucają serialowi sztuczność dialogów i papierowość postaci. Poniekąd się zgadzam. Wygląda na to, że dialogi były pisane po angielsku i są tłumaczone na polski. Jednak ta sztuczność znika z każdym kolejnym odcinkiem. Reżyserki Agnieszka Holland, Kasia Adamik, Olga Chajdas i Agnieszka Smoczyńska sprawnie przeprowadzają widza przez zawiły tekst Longa.



VOD

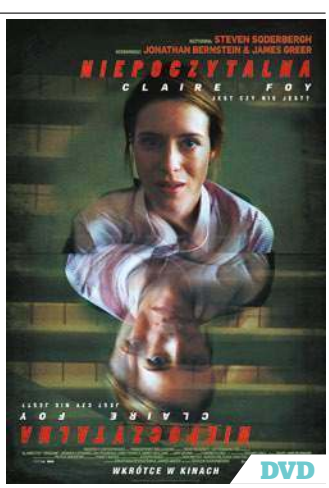
Warszawa jest przytłaczającym miastem wyjętym z kina noir. Oświetlone neonami ulice Małego Sajgonu, monumentalne gmachy SB, wszechobecna i stojąca na najwyższym poziomie technicznym inwigilacja – oto Polska 2003 r. Polska ukształtowana po tzw. porozumieniach prymasowskich. Polacy są wciąż przywiązani do Kościoła. Nie gubią swojego kodu kulturowego, choć – jak mówi jeden z bohaterów – „stracili duszę".

Światowy widz zobaczy na Netflixie (serial będzie dostępny na każdym kontynencie) demoniczność brutalnych komunistów i zdradę agentów SB. W tej wersji alternatywnej historii nie ma już pokojowej „Solidarności" kierującej się natchnieniem JP2. Tutaj ruch oporu ma twarz terrorystyczną. Nieróżniącą się od IRA. No ale jednak jest polska przewrotność. To komunistyczny generał opowiada amerykańskiemu generałowi o polskiej husarii. To on knuje też przeciwko reżimowi, chcąc spacyfikować SB i Partię, wprowadzając znów stan wojenny. Tym razem w imię wolności. Czy gdyby generał Jaruzelski wybrał w latach 80. Polskę, a nie Sowietów, to „1983" nie byłby takim political fiction? Warto tę intrygującą wizję zobaczyć.

„1983" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Film nakręcony iPhone'em

Steven Soderbergh jest niezłomny w poszukiwaniu nowych form wyrazu. Ten wyrosły z niezależnego kina wielce utalentowany reżyser osiągnął w Hollywood wszystko, łącznie z Oscarem. Teraz odwrócił się od hollywoodzkiej machiny i postanowił robić kino po swojemu. Zdumiewający był jego interaktywny (widzowie poprzez dowolny wybór oglądania scen mieli wpływ na rozwój akcji) serial „Mozaika". Teraz niesforny reżyser postanowił nakręcić cały film... iPhone'em. „Niepoczytalna" nie jest wybitnym horrorem, ale doskonale sprawdza się jako B-klasowa zabawa gatunkiem. Soderbergh swoją kameralną opowieść o szaleństwie brawurowo trzyma w ryzach, korzystając z uroków kina kręconego telefonem komórkowym (zbliżenia na twarze, niepokojąca klaustrofobia). Nonszalancko bawi się gatunkiem, szyderczo puszcza widzowi oko, ale nie ucieka przed powagą opowieści o wszechotaczającym szaleństwie. Zaskakująco dobra rozrywka z szokującym finałem.



DVD

„NIEPOCZYTALNA", REŻ. STEVEN SODERBERGH, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl ed099b4aa6

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Wspaniała opowieść nie tylko o boksie



Spin-off serii „Rocky" „Creed" (2015) Ryana Cooglera niespodziewanie wprowadził najsłynniejszą bokserską sagę na zupełnie nowe tory. Stallone za rolę chorego na raka Rocky'ego, trenującego syna swojego tragicznie zmarłego przyjaciela Apolla Creeda, dostał nominację do Oscara (pierwszą od czasu oryginalnego „Rocky'ego" z 1976 r.) i zgarnął Złotego Globa.

W scenariuszu „Creed 2" palce maczał już sam Stallone. Na stołku Cooglera usiadł Steven Caple Jr., godnie zastępując wschodzącą w Hollywood gwiazdę reżyserii. Wraz ze Stallone'em doskonale zagrał na wszystkich elementach, które fani Rocky'ego kochają.

Adonis Creed (Michael B. Jordan) zdobywa upragnione mistrzostwo świata wagi ciężkiej. Ma w narożniku Rocky'ego (Sylvester Stallone), który wygrał pojedynek z nowotworem. Oświadcza się ukochanej Biance (Tessa Thomson) i przeprowadza się do Los Angeles, gdzie przed laty królem bokserskim był jego ojciec Apollo. Nie może jednak znaleźć spokoju. Wciąż żyje w cieniu ojca. Wyzwanie rzuca mu na dodatek głodny sukcesu Rosjanin Victor Drago (Florian Munteanu), syn Ivana Drago (Dolph Lundgren). Ten sam ruski potwór zabił Apolla na ringu w pamiętnej walce pod koniec lat 80. A więc klasyczne retro kino zemsty w duchu epoki VHS? Nic z tych rzeczy.

Ivan Drago jest najciekawszą i najbardziej poruszającą postacią „Creed 2". Stallone wszystko, co miał do powiedzenia o starzejącym się Rockym, powiedział w poprzednim filmie (choć tutaj mamy chwytający wątek jego relacji z synem). Adonis Creed przechodzi typową dla filmowego sportowca drogę. Musi pokonać własne demony i wyrwać się z cienia swojego ojca. Jego postać jest niemal skopiowana z „Rocky III", czego twórcy nie ukrywają. Balboa co chwila przypomina podopiecznemu, że przechodził te same rozterki.

Ivan Drago nabrał jednak ludzkich cech. W podszytym reaganowską propagandą „Rocky IV" był sowiecką maszyną do zabijania. Był to człowiek posąg faszerowany sowieckimi medykamentami i kłamstwem. Sowiecki czołg ze stali zmiótł na jankeskiej ziemi jej symbol. Ostatecznie został pokonany przez Balboę. W Moskwie i na oczach Gorbaczowa. Rocky zapłacił za to wysoką cenę. Nigdy nie pozbierał się zdrowotnie. Pozostał jednak w ojczyźnie ikoną. Ivan został natomiast odrzucony przez Związek Radziecki. Opuściła go żona (Bridget Nielsen powraca do roli zimnej jak Syberia Ludmiły Drago!) i odtrącił lud. Zamieszkał w odrapanym blokowisku na Ukrainie. Jego zemstą jest syn. To on ma zmieść kolejnego Creeda. To on ma przypomnieć Rocky'emu o największej życiowej porażce, gdy nie uratował przyjaciela. Rozmowa Drago z Rockym po 30 latach to emocjonalna bomba. Dwóch gladiatorów staje oko w oko. Tym razem za plecami swoich wychowanków.

Ojcostwo to ważny element „Creed 2". Poruszany przez Stallone'a w dwóch ostatnich filmach serii „Rocky", tutaj wybrzmiewa odpowiednio mocno. Adonis, Rocky i Drago – wszyscy muszą dojrzeć do odpowiednich relacji ze swoimi dziećmi. To męska relacja. Szorstka. Trudna. I dlatego tak cholernie wzruszająca facetów. Przynajmniej piszącego te słowa.

„CREED 2", REŻ. STEVEN CAPLE JR, DYSTR. FORUM FILM POLAND



Przednia zabawa!

Blu-Ray

Gdy armia herosów walczy z wszechwładnym Thanosem w „Avengers. Wojna bez granic", bohater z przypadku o pospolitej twarzy Paula Rudda jest zamknięty przez FBI w areszcie domowym. Z nadmiaru wolnego czasu uczy się kolejnych sztuczek karcianych i czyta łzawe powieści. Pojawiają się jednak u niego szalony doktor Pym (Michael Douglas) i jego córka Hope (Evangeline Lilly). Dziewczyna paraduje w kostiumie zmniejszającym ją do rozmiarów osy. Po tak emocjonującym i szokującym (śmierć kilku z superbohaterów) widowisku jak ostatni film „Avengers" fani komiksów Marvela potrzebowali odjazdowego przerywnika jak „Ant-Man i Osa". Przezabawna, familijna i pełna olśniewającej akcji druga część przygód człowieka mrówki daje nam wszystko, co najlepsze w filmach z logo Avengers. Dystans, autoironię i poczucie przynależności do wielkiego uniwersum komiksowego, które – jak widać – wciąż nie zjadło swojego ogona. PS Obejrzyjcie scenę po napisach. Koniecznie!

„ANT-MAN I OSA", REŻ. PEYTON REED, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. Shutterstock

Proces mentalnej kolonizacji współczesnych chrześcijan przez kulturę laicką przyspiesza. Wielu chrześcijan nie ma dziś nawet pojęcia, że myśląc o swojej religii, posługuje się obcymi jej kategoriami. Dotyczy to także licznych hierarchów Kościoła



GRZEGORZ GÓRNY

W swoim niedawnym tekście na temat sytuacji Kościoła katolickiego w Niemczech emerytowany kard. Paul Josef Cordes przytoczył dane dotyczące religijności swoich rodaków. Okazuje się, że tylko 16,2 proc. zachodnioniemieckich katolików wierzy w Boga Wszechmogącego jako osobowy Byt wchodzący w relacje z człowiekiem; natomiast wszyscy pozostali członkowie Kościoła katolickiego (czyli aż 83,8 proc.) utożsamiają Boga z Opatrznością bez twarzy, z anonimowym losem, z jakąś pierwotną siłą albo wręcz wprost zaprzeczają Jego istnieniu.

Wojna kulturowa w Kościele katolickim

eprasa.pl ed099b4aa6

Co to oznacza? Że tak naprawdę większość ludzi ochrzczonych w Kościele katolickim w RFN nie jest katolikami. W papierach wszystko się zgadza, ale nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Decydująca jest bowiem wyznawana wiara, a nie zapis w dokumentach. W Niemczech panuje jednak odmienne rozumienie tych spraw. Tam grzechem śmiertelnym pozostaje rezygnacja z podatku kościelnego, która wyklucza ze wspólnoty wiernych i pozbawia prawa np. do katolickiego pochówku. Jeśli jednak głośno mówisz, że Bóg nie istnieje, oraz publicznie pochwalasz aborcję, ale przy tym płacisz podatek kościelny, to nie ma problemu: żaden ksiądz cię nie napomni i możesz liczyć na katolicki pogrzeb.

Przykład Niemiec ilustruje szersze zjawisko, które dotyka, choć może nie w tak ogromnym stopniu, również inne kraje. Chodzi o wojnę kulturową.

PRZESUNIĘCIE LINII FRONTU

To, że w łonie cywilizacji zachodniej trwa wojna kulturowa, jest oczywistością. Nie nastręcza też trudności identyfikacja stron: z jednej mamy kulturę dominującą, którą można nazwać laicką, sekularną, liberalną czy postoświeceniową, a z drugiej – kulturę chrześcijańską związaną z historią naszej cywilizacji.

Sytuacja jest jednak dynamiczna. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu Kościół katolicki był wyraźną stroną w tym konflikcie. Dziś granica sporu przesunęła się i obecnie główny front wojny kulturowej nie przebiega już na zewnątrz, ale wewnątrz Kościoła.

Najmocniej ów proces dotknął tradycyjne wspólnoty protestanckie, które najszybciej ugięły się przed kulturowym hegemonem i przyjęły jako własne aksjomaty sprzeczne z religią chrześcijańską. Wiele z nich zaakceptowało m.in. możliwość legalnego uśmiercania dzieci nienarodzonych czy obdarzanie przywilejami małżeńskimi związków jednopłciowych. Na przykład w Szwecji 94 proc. obywateli jest zwolennikami aborcji, a 88 proc. opowiada się za homoseksualnymi „małżeństwami" (w Danii z kolei to odpowiednio 92 i 86 proc.). Stan ten odzwierciedla stanowisko duchowych przywódców dominującego w obu krajach luteranizmu.

W tej chwili tradycyjne wspólnoty protestanckie w wielu państwach zachodnich są więc wyraźnie określoną stroną w wojnie kulturowej. Znajdują się w obozie liberalno-sekularnym i podkopują fundamenty cywilizacji chrześcijańskiej.

ZERWANIE Z MAGISTERIUM

Obecnie trwa silny nacisk także na Kościół katolicki, by podążył tą samą drogą. I trzeba przyznać, że jest wielu jego członków, którzy są skłonni wkroczyć na tę ścieżkę. Najbardziej widocznym przejawem takiego podejścia pozostaje stosunek do nauczania Kościoła w sprawie antykoncepcji, które – według badań socjologicznych – jest dziś odrzucane przez większość katolików w krajach zachodnich, a może nawet na świecie. Nic dziwnego, skoro przykład dali im liczni biskupi, którzy po ogłoszeniu przez Pawła VI w 1968 r. encykliki „Humanae vitae" publicznie odrzucili jego nauczanie w tej kwestii. Tak zrobiły m.in. episkopaty w Niemczech, Austrii, Holandii, Belgii czy Szwajcarii, a także większość hierarchów w innych krajach, np. w Kanadzie czy we Francji. To oni przetarli drogę do otwartego nieposłuszeństwa wobec Magisterium Kościoła w kwestiach moralnych.

Podobny problem zaczął dotyczyć też innych zagadnień związanych np. z nienaruszalnością życia ludzkiego czy z etyką seksualną. Dziś coraz większa liczba księży, teologów, a nawet biskupów opowiada się publicznie np. za rezygnacją z odwiecznego nauczania Kościoła w sprawie homoseksualizmu.

Odrzucenie Magisterium dotyczy nie tylko spraw moralności, lecz także wiary, np. sakramentów, zwłaszcza małżeństwa i Eucharystii. Podczas Synodu Biskupów ds. Rodziny w latach 2014–2015 nawet najwyżsi hierarchowie podważali obowiązujące w Kościele rozumienie sakramentalnej nierozerwalności małżeństwa, wspólnoty eucharystycznej czy przebywania w łasce uświęcającej lub trwania w grzechu ciężkim. Wywołało to wiele zamieszania w świecie katolickim, posynodalne dokumenty zaś nie rozwiały narastających wątpliwości, a nawet je pogłębiły.

MENTALNA KOLONIZACJA KOŚCIOŁA

Pod pewnymi względami sytuacja przypomina nieco kryzys ariański z IV stulecia. Był taki czas, gdy większość wiernych, którzy uważali się za chrześcijan, nie było wcale chrześcijanami. Dotyczyło to także większości ówczesnych biskupów. Wyznawali oni bowiem arianizm, czyli herezję polegającą na tym, że nie uznawali ani Trójcy Świętej, ani Jezusa jako Osoby Boskiej. Mimo że nie byli nawet chrześcijanami, mieli pewność, iż to oni są prawdziwymi przedstawicielami chrześcijaństwa, a nie ci, którzy rzeczywiście nimi byli.

Dziś coraz powszechniejszym zjawiskiem jest to, że chrześcijanie myślą o sobie i rozumieją samych siebie już nie w kategoriach swojej religii, ale w kategoriach sekularnych, które pozostają obce ich tradycji. Podstawowym narzędziem opisu Kościoła pozostaje dla nich nie język teologii, lecz np. język socjologii, czyli nauki wymyślonej przez Augusta Comte'a m.in. po to, by zdetronizować religię. Chrześcijaństwo postrzegane jest przez pryzmat polityki (walka o władzę i wpływy), psychologii (rodzaj psychoterapii), etyki (swoisty kodeks moralny z systemem zakazów i nakazów) czy działalności charytatywnej (dobroczynność i pomoc humanitarna), a nie przez pryzmat osobistej relacji z Bogiem. Kościół nie jest rozumiany ani przeżywany jako Mistyczne Ciało Chrystusa, lecz jako jedna z wielu instytucji tego świata, na dodatek ciesząca się mniejszym zaufaniem katolików niż wojsko czy poczta.

Doszło więc do skolonizowania mentalności współczesnych chrześcijan przez kulturę laicką. Proces ten zaszedł tak daleko, że wielu chrześcijan nie ma dziś nawet pojęcia, iż myśląc o swojej religii, posługuje się obcymi jej kategoriami. Dotyczy to także wielu hierarchów Kościoła. W rozmowie z Pawłem Lisickim były prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Ludwig Müller przyznał, że większość biskupów katolickich nie ma dziś podstawowej wiedzy teologicznej i specjalnie ich to nie interesuje.

eprasa.pl ed099b4aa6

W krajach zachodnich są to często ludzie, którzy zostali uformowani światopoglądowo w okresie rewolucji obyczajowej tzw. pokolenia '68. W życiu Kościoła ich aktywność ujawniła się za pontyfikatu Pawła VI, głównie za sprawą teologii wyzwolenia oraz postulatów „six sex" (czyli sześciu podstawowych żądań dotyczących zmiany katolickiej etyki seksualnej). To właśnie w tamtych czasach, jak opisał George Weigel, mają swoje źródło dzisiejsze skandale pedofilskie w Kościele.

Młodzieżowi aktywiści z owych lat, gdy zostawali politykami, przenosili swe lewicowo-liberalne idee do późniejszej działalności publicznej. Na szczytach władzy znaleźli się już dwie dekady temu, czego przykładami mogą być kariery takich postaci jak Bill Clinton czy Joschka Fischer. W Kościele ten efekt jest opóźniony, ponieważ droga awansu trwa tam dłużej i większy wpływ osiąga się w znacznie późniejszym wieku niż w polityce. Jeśli prześledzi się jednak życiorysy wpływowych dostojników, którzy obecnie najmocniej opowiadają się za zmianą tradycyjnego nauczania Kościoła, można dostrzec, że zostali oni uformowani przez liberalną teologię lat 60. i 70. Dziś znaleźli się w takim wieku i na takich stanowiskach, gdzie dysponuje się większą siłą oddziaływania. To, co mówią obecnie, jest często powtórzeniem tych samych idei, które chłonęli, gdy byli klerykami i młodymi księżmi zachłystującymi się teologicznym progresizmem. Dziś jednak ich zdanie jako książąt Kościoła waży zupełnie inaczej.

SPRZĄTANIE PO JANIE PAWLE II

Sytuacja jest więc poważniejsza, niż przypuszczamy, ponieważ mentalna kolonizacja przenikła na szczyty katolickiej hierarchii. Przykładem mogą być wspomniane już Niemcy, gdzie niemal w ogóle (poza nielicznymi wyjątkami) zanikła praktyka sakramentalnej spowiedzi. Dzieje się to z prostego powodu: liczni księża i biskupi sami nie przystępują do spowiedzi i nie uważają tego za istotne. W tej sytuacji nie dziwi to, że Episkopat Niemiec jednogłośnie (bez sprzeciwu choćby jednego ordynariusza) postanowił dopuścić do Eucharystii osoby rozwiedzione i utrzymujące relacje seksualne w ponownych związkach, co stanowi radykalne zerwanie z całym dotychczasowym nauczaniem Kościoła na ten temat.

Niemieccy hierarchowie i teolodzy nie poprzestają na tym, widząc siebie w roli pionierów nowego duszpasterstwa w skali globalnej. To właśnie oni – np. kardynałowie Reinhard Marx czy Walter Kasper – starają się narzucić całemu Kościołowi rozwiązania, które w Niemczech doprowadziły już do duchowej zapaści.

Postępom mentalnej kolonizacji katolicyzmu towarzyszy zjawisko uderzające zwłaszcza dla Polaków. Chodzi o rugowanie wpływów Jana Pawła II, który w trakcie swego pontyfikatu starał się powstrzymać ów proces. Jego dorobek duchowy i intelektualny w wielu wpływowych miejscach w Kościele jest dziś ignorowany i spychany na margines jako przeżytek ze starej epoki. Powoływanie się na takie dokumenty jak „Veritatis splendor", „Fides et ratio" czy „Dominus Iesus" uchodzi dziś w wielu środowiskach katolickich za gruby nietakt. Więcej ciepłych słów można tam usłyszeć pod adresem Marcina Lutra niż Karola Wojtyły. Na tym tle Polska (i może jeszcze kilka krajów) jawi się jako wyjątek. Gdzie indziej natomiast trwa wielkie sprzątanie po Janie Pawle II.

> Kultura sekularna, która rywalizuje dziś z chrześcijaństwem o rząd dusz, coraz wyraźniej przybiera formę wierzenia religijnego

Trzy lata temu – po zakończeniu Synodu Biskupów ds. Rodziny – abp Henryk Hoser powiedział, że Kościół zdradził Jana Pawła II, bo w praktyce duszpasterskiej dotyczącej małżeństwa nie tylko nie poszedł za głosem papieża, lecz nawet nie zapoznał się z jego nauczaniem. To spostrzeżenie trafne choćby w odniesieniu do wypracowanej przez Karola Wojtyły „teologii ciała". Stanowi ona najlepszą całościową odpowiedź na rewolucję seksualną, opartą na antropologii biblijnej, prawie naturalnym i doświadczeniu wielu osób, zarazem dowartościowującą ludzką seksualność i nadającą jej duchową głębię. Nie została ona jednak przyswojona przez Kościół, a zamiast tego wielu duchownych przyjmuje postulaty rewolucji seksualnej.

KU POST-KOŚCIOŁOWI POSTKATOLICKIEMU

Kultura sekularna, która rywalizuje dziś z chrześcijaństwem o rząd dusz, coraz wyraźniej przybiera formę wierzenia religijnego. W tym kontekście symbolicznego znaczenia nabiera udział w światowym spotkaniu ekumenicznym w 2016 r. w Asyżu Zygmunta Baumana. Wśród przywódców największych religii świata znalazł się nieprzypadkowo, choć sam deklarował się jako osoba niewierząca. Proponowana przez niego filozofia płynnej ponowoczesności staje się dziś bowiem rodzajem quasi-religii, świeckim ersatzem wiary. Aplikowana do życia duchowego deformuje i wypacza chrześcijaństwo, tworząc płynną religijność. Punktem dojścia może być tylko jakiś postkatolicki post-Kościół.

Wracając do przywoływanego już wątku arianizmu z IV stulecia – na terenach, na których dominowała ta herezja, bardzo łatwo rozprzestrzenił się później islam, ponieważ zarówno arianie, jak i muzułmanie uznawali naukę o Trójcy Świętej za fałszywą doktrynę. Religia Mahometa trafiła więc tam na podatny grunt. Podobnie dzieje się dziś: te wyznania chrześcijańskie, które przyjmują postulaty liberalne i laickie, najszybciej odchodzą od wiary i dechrystianizują się.

Wyzwanie arianizmu zostało przezwyciężone przez mniejszość, która pozostała wierna ortodoksji. Ta właśnie wierność przesłaniu Chrystusa zawsze przesądzała o losach Kościoła w chwilach próby. O prawdzie nie decyduje bowiem większość. Tak będzie i w przyszłości.

eprasa.pl ed099b4aa6



Sieć szybsza niż mgnienie oka

Dopiero ludzie zaczynają kupować telewizory 4K, a już wchodzą do sprzedaży telewizory 8K, podobnie na naszych oczach technologia 4G ustępuje miejsca technologii 5G. Postęp technologiczny przyspiesza skokowo. Czym jest 5G? W skrócie: jeśli technologia 5G byłaby teleinformatyczną autostradą, to 4G jest przy niej tylko drogą ekspresową

Pierwszą ważną różnicą między 4G a 5G, poza samą prędkością transmisji, jest to, że sieć 5G opiera się na chmurze i może korzystać z jej dobrodziejstw. 5G oferuje prędkość przesyłania danych na poziomie do 100 Gb/s, opóźnienia sięgają maksymalnie kilku milisekund. Charakteryzuje się też odpornością na spadki wydajności związane z dużą liczbą użytkowników korzystających z sieci w tym samym czasie. W praktyce oznacza to przepustowość aż 100 razy większą niż sieci 4G. Dla tych, których dotyczą już tylko problemy pierwszego świata, oznacza to choćby koniec przerw i opóźnień w oglądaniu telewizji przez internet czy graniu na konsoli. Dla przykładu: pobranie filmu w sieci 4G trwa ok. 6 minut, w sieci 5G ten czas skraca się do 3,6 s (dane: Consumer Technology Association). Bez wątpienia rozkwitnie oglądanie telewizji i transmisji live (streamingów wideo) na urządzeniach mobilnych. Ale technologia 5G to znacznie, znacznie więcej niż tylko szybsze pobieranie gier i filmów. To zapowiedź kolejnego skoku cywilizacyjnego.

W 5G czas odpowiedzi z sieci do urządzenia jest szybszy niż mrugnięcie oka. To najważniejsze dla bezpiecznego funkcjonowania urządzeń podłączonych do internetu rzeczy, zwłaszcza dla bezpiecznego funkcjonowania np. autonomicznych samochodów, które wymagają nieprzerywanej wymiany danych. Im szybciej informacja zwrotna jest dostarczona do takiego autonomicznego samochodu, tym bezpieczniej dla podróżujących nim pasażerów.

5G to tkanka łącząca wszystkie nowe technologie nowej ery postępu cywilizacyjnego. Połączy nie tylko roboty i inne algorytmy, lecz także sprzęt medyczny, maszyny w przemyśle oraz w rolnictwie. Pozwoli też rozpocząć nową erę w samym korzystaniu z internetu.

„Możemy się spodziewać skokowego postępu technologicznego i rozwoju szczególnie ważnych branż, jak e-zdrowie i bardziej efektywna produkcja, także rolnicza" – mówi Andreas Maierhofer, prezes T-Mobile Polska. Dzięki sieci 5G rozwiną się zapoczątkowane już technologie zdalnego monitorowania i diagnostyki zdrowia pacjentów 24 h, w tym monitoring pracy serca, podstawowe badania, dawkowanie leków czy nawet monitoring upadku (dla osób starszych, niedowładnych lub z chorobami serca), zbyt długiego siedzenia itd. Sieć 5G wesprze również realizowanie najbardziej skomplikowanych zabiegów medycznych. W rolnictwie technologia 5G, w połączeniu z internetem rzeczy, pomoże odpowiedzieć na coraz większe problemy z niewystarczającą produkcją żywności poprzez optymalizację rolnictwa pod kątem ciągłego monitoringu procesów uprawy, zbioru, przechowywania i transportu produktów rolnych. Pełna kontrola komputerowa pozwoli zoptymalizować procesy, dostosować działania do nawet wąskich obszarów, a przez to zwiększyć efektywność produkcji z 1 ha. Internet rzeczy może pomóc rolnikom unowocześnić i zwiększyć produkcję o 70 proc. do 2050 r. – oceniła firma badawcza Beecham Research („Towards Smart Farming Report"). Monitoring dalszych etapów transportu i przetwórstwa pozwoli zminimalizować straty wynikające z zaniedbań w transporcie czy przechowywaniu.

„Jednym z największych beneficjentów wdrożenia sieci 5G będzie gospodarka – uwzględniając zarówno przedsiębiorców oraz przedsiębiorstwa, jak i pracowników oraz konsumentów" – zaznacza Maierhofer. Wdrożenie 5G pozwoli na znaczące zwiększenie automatyzacji procesów produkcyjnych, programowanie daleko bardziej precyzyjnych i szybszych linii produkcyjnych z zachowaniem najwyższej jakości wytwarzania, odsunięcie ludzi (robotyka) od najbardziej niebezpiecznych dla zdrowia i życia czynności, ale również wpłynie na powstawanie nowych przedsiębiorstw i całych gałęzi gospodarki, czego efektem będzie pojawianie się nowych miejsc pracy. Sieć 5G na nieznaną dotychczas skalę pozwoli oderwać pracowników od wykonywania pracy z konkretnego miejsca, promując możliwość pracy z domu lub pracy zdalnej w obszarach, w których było to dotychczas niemożliwe w Polsce i na świecie. Na świecie już trwają przygotowania do uruchomienia pierwszych sieci 5G. Zbudowanie takiej sieci w Polsce już w 2017 roku zapowiedział Tim Höttges, prezes DT, właściciela sieci T-Mobile.

MW

Fot. Shutterstock | 63/1118/F

eprasa.pl ed099b4aa6

Telewizyjna debata szefa Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Alfreda Miodowicza z przewodniczącym zdelegalizowanego NSZZ „Solidarność” Lechem Wałęsą z 30 listopada 1988 r. była wydarzeniem niezwykłym. Jej przebieg jest doskonale znany. Zakończyła się – wbrew obawom jednych i nadziejom innych – spektakularnym zwycięstwem Wałęsy, wręcz wygraną przez nokaut. Warto dziś, 30 lat później, przypomnieć jej kulisy, szczególnie te mniej znane



Fot. WOJTEK LASKI/EAST NEWS



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Kulisy debaty Miodowicz–Wałęsa

Pomysłodawcą debaty był Miodowicz. Przy czym – co niezwykłe – ponoć była to jego inicjatywa, nieskonsultowana z przywódcami PRL (na czele z I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Wojciechem Jaruzelskim). Mieli się oni

eprasa.pl ed099b4aa6

o niej dowiedzieć z organu KC PZPR, czyli „Trybuny Ludu", która zamieściła (15 listopada) na swych łamach wywiad z szefem OPZZ. Mieczysław Rakowski słowa Miodowicza: „Może byśmy się spotkali na oczach milionów Polaków w telewizji?" skomentował krótko na łamach swych dzienników: „Ciekawe zagranie".

Lech Wałęsa wyraził praktycznie od razu zgodę na debatę, upoważniając do „uzgodnienia wszystkich szczegółów technicznych i proceduralnych" Jacka Kuronia, Adama Michnika oraz Janusza Onyszkiewicza. Miodowicz zadeklarował – jak się później okazało jedynie „pod publikę" – że „żadne techniczne rozmowy nie są potrzebne". Tymczasem szef „Solidarności" 17 listopada – podczas konferencji prasowej w kościele św. Brygidy w Gdańsku – stwierdził, że zamierza m.in. zapytać swego rozmówcę: „Jak można udawać wielkiego opiekuna klasy robotniczej", kiedy „przez 43 lata zrobiło się [z niej] żebraków", albo czy ten „miał moralne prawo do tego, aby w 1981 r. zdradzić klasę robotniczą, »wbijając nóż w plecy«". Generalnie jednak – jak deklarował – „będzie rozmawiał tylko o podstawach [...], które rokują nadzieje, że Polska będzie Polską wreszcie", a nie o „prawnych rzeczach i kruczkach", bo „od tego są fachowcy".

PRZECIWNICY PO OBU STRONACH

Przeciwko debacie opowiadali się członkowie Biura Politycznego KC PZPR, na czele z Jaruzelskim. Jak zapisał, niezbyt zresztą precyzyjnie, 28 listopada 1988 r. Rakowski: „Od dwóch tygodni staramy się przekonać go [Miodowicza – dop. G.M.], żeby wycofał się, wykorzystując nadarzające się okazje (np. Onyszkiewicz zażądał, żeby w studiu był on i Michnik)". Jednak przewodniczący OPZZ przekonany o swym przyszłym triumfie nie zamierzał ustąpić.

Co trzeba podkreślić, również nie wszyscy ludzie związani z opozycją przyjęli entuzjastycznie planowaną debatę. Na przykład „niektórzy adwokaci" – jak to określiło MSW – „znani z opozycyjnych postaw" uznali, że jest ona dla Wałęsy „kolosalnym ryzykiem", natomiast „niezależnie od wyniku" stanowi szansę dla Miodowicza, gdyż „cała Polska dowie się, że jest równorzędnym partnerem dla L. Wałęsy". Obawiali się oni także, że szef OPZZ w przeciwieństwie do lidera „Solidarności" będzie „wiedział doskonale, o czym rozmawiać". Krytykowali też dobór doradców tego ostatniego, wśród których widzieli raczej Wiesława Chrzanowskiego i Bronisława Geremka niż Kuronia i Michnika, którzy – ich zdaniem – traktowali „Solidarność" „jako środek, a nie cel". W ich ocenie zresztą wysunięcie kandydatury Adama Michnika miało być „zagraniem władzy na nosie". Mimo oceny, że decyzja Wałęsy była błędem, uważali oni, iż jest to dla niego okazja do „powiedzenia czegoś społeczeństwu, rzeczowego uzasadnienia istnienia dwóch związków, wbrew propagandzie premiera Rakowskiego".

Miło, wręcz uspokajająco dla władz PRL, brzmiała z kolei dostarczona 24 listopada 1988 r. z MSW informacja o wypowiedziach „w ścisłym gronie" biskupa gdańskiego Tadeusza Gocłowskiego. Twierdził on m.in., że Lech Wałęsa „popełnia istotne polityczne błędy", jest „stale kiwany przez władze", a nawet „jest już dziadkiem i powinien ustąpić ze stanowiska przewodniczącego".

Przed debatą konieczne było ustalenie jej szczegółów. Tym bardziej że oczekiwania co do niej obu stron były całkowicie rozbieżne. I tak np. Kuroń, Michnik i Onyszkiewicz proponowali, aby odbyła się ona w Sali BHP Stoczni Gdańskiej, w której w sierpniu 1980 r. podpisano porozumienie gdańskie, a Jan Bogutyn (w imieniu OPZZ) opowiadał się za studiem telewizyjnym, i to „ze względów oczywistych nie krakowskim i nie gdańskim". Strona solidarnościowa chciała w debacie udziału widzów – początkowo robotników gdańskich, a następnie tej samej liczby gości zaproszonych przez obu uczestników debaty. Stanowisko Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych było sztywne – żadnej publiczności. W obu kwestiach przedstawiciele Wałęsy ustąpili. Do dogrania były też inne szczegóły, np. kto rozpoczyna i kto kończy debatę, kto będzie jej gospodarzem. Szczęśliwie kwestie te udało się uzgodnić, choć trwało to praktycznie do ostatniej chwili.

POD LUPĄ SB

Tymczasem plany, zamierzenia i posunięcia przewodniczącego „Solidarności" oraz jego otoczenia w związku z planowaną debatą były pilnie śledzone przez przywódców PRL, oczywiście za pośrednictwem Służby Bezpieczeństwa. Na tyle zresztą pilnie, że w jej dniu z Rakowieckiej informowano przedstawicieli władz (w tym Alfreda Miodowicza) nawet o tym, że Lech Wałęsa wyjechał z Gdańska ekspresem o godzinie 6.20 i powinien przyjechać do Warszawy o 9.30. A także, że towarzyszą mu „w charakterze obstawy" Krzysztof Pusz i Andrzej Rzeczycki. Ponadto, że jest on gotów do rozmowy nawet w przypadku braku zgody na jej rejestrację przez Andrzeja Wajdę i jego ekipę. Z kolei dziewięć dni wcześniej (21 listopada) informowano, że Krystyna Zachwatowicz zaproponowała Januszowi Onyszkiewiczowi, aby Wajda znalazł się – jako doradca techniczny – w gronie osób negocjujących warunki debaty ze strony solidarnościowej, a także, że jej pomysł został zaakceptowany.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przygotowywało również na potrzeby rządzących stenogramy wypowiedzi Wałęsy, np. po spotkaniu z sympatykami związku przed plebanią kościoła św. Brygidy 27 listopada. W jego trakcie stwierdzał on m.in.: „Dobrzy, mili państwo, ale ja chciałbym powiedzieć jeszcze jedno, jeśli chodzi o to spotkanie z panem Miodowiczem, bardzo się cieszę. Nie przygotowuję się wcale, będę taki na luzie, jak dzisiaj". I dodawał ze śmiechem: „Ja proponowałem w stoczni, ale – jak widzicie – Miodowicz nie chce. Ja pojadę do Warszawy. Może i tam zostanę". Deklarował przy tym: „Ja nie będę rozmawiać z Miodowiczem, ja będę rozmawiać z wami, z Polską". Odwoływał się do spotkania z wicepremierem Rakowskim z sierpnia 1983 r., przyznając: „Nie wypadłem najlepiej". Tłumaczył to brakiem czasu na przygotowanie: „Pracowałem do końca i prosto poszedłem, prawie w ubraniu roboczym. Nieprzygotowany, bez przygotowanej koncepcji". I dodawał: „Mam nadzieję, że z panem Miodowiczem będzie lepiej. Wybitnie czekam na to spotkanie".

eprasa.pl ed099b4aa6

Z jego wypowiedzi wynikało też, że zamierza rozmawiać o pluralizmie, głównie związkowym. Twierdził: „Więc takie tematy i takie sprawy będą tam poruszane, nie będziemy mówić o tych, które nas wszystkich dotyczą, a więc nie gniewajcie się, że nie będziemy mówić, że nie starcza chleba, że nie ma tego, co powinno być, mieszkań itd. Te sprawy są bardzo ważne, ale [ważniejszy jest – dop. G.M.] związek, który walczy o istnienie, związek, który walczy o przetrwanie".

Oczywiście SB nie ograniczała się do obserwowania Lecha Wałęsy i działaczy opozycji, ale też bacznie śledziła reakcje społeczne w związku z planowaną debatą czy komentarze zagraniczne. I tak 17 listopada informowała, że zapowiedź debaty spotkała się z dużym zainteresowaniem, powszechne jest oczekiwanie, iż odbędzie się ona na żywo i zostanie pokazana bez skrótów. Z kolei zachodni dziennikarze propozycję debaty i jej akceptację przez lidera „Solidarności" mieli przyjąć „z pewnym zaskoczeniem". Oczywiście była ona też przedmiotem ich spekulacji. Na przykład część z nich miała wyrażać opinię, że wobec „trudnej sytuacji ekonomicznej i kłopotów na rynku wewnętrznym oraz występujących nadal napięć społecznych" zakończy się ona porażką Alfreda Miodowicza. Z kolei tydzień później SB przytaczała odwrotną opinię „niektórych obserwatorów zachodnich", że podejmowane przez Wałęsę „wysiłki przygotowawcze" mają na celu „zabezpieczenie się przed ewentualną kompromitacją", gdyż wymiana poglądów wedle scenariusza zaproponowanego przez szefa OPZZ może spowodować „znaczny spadek [jego] autorytetu" jako lidera „Solidarności" i pogłębić podziały w szeregach opozycji. Cytowała też opinię dziennikarzy japońskich, że do debaty jednak nie dojdzie, przy czym Lechowi Wałęsie uda się – dzięki doradcom – „uratować twarz". Z kolei – przynajmniej jeśli wierzyć MSW – w kraju dość powszechnie oczekiwano, że „spotkanie może zostać odwołane w ostatniej chwili".

ZWYCIĘSKI, CHOĆ NIEZADOWOLONY

Tak się jednak nie stało. Do debaty doszło 30 listopada wieczorem. Ulice w kraju opustoszały, ludzie (prawie 20 mln) zasiedli przed telewizorami, aby śledzić starcie szefów OPZZ oraz NSZZ „Solidarność". Boju nierównego, w którym partyjny aparatczyk (członek KC PZPR i jego Biura Politycznego) nie miał żadnych szans z „gdańskim elektrykiem". Nawet władze, w tym MSW, były zmuszone przyznać, że „Lech Wałęsa wygrał tę rundę". Miało się na to złożyć kilka czynników. Przede wszystkim zaskoczył dobrym przygotowaniem do niej, a także „aktywnością, pewnością siebie i niespodziewaną kulturą języka". Jego „opanowanie i zdolność operowania silnymi argumentami" spowodowały z kolei, że Alfred Miodowicz znalazł się na „pozycjach defensywnych". A co gorsza, nie był w stanie podjąć „polemiki z wieloma narzuconymi w trakcie dyskusji tezami". Raził on też „schematyzmem sformułowań". I w efekcie „zaprezentował się [...] nie jako działacz związkowy szczebla centralnego, lecz jako nieporadny obrońca politycznych koncepcji władzy".

> Przebieg debaty bardzo dobrze przyjęli działacze opozycji, a przynajmniej zdecydowana większość z nich. Jak raportowała SB: „W środowisku tym zapanował nastrój entuzjazmu i euforii". Od tej reguły były jednak wyjątki. Do największych krytyków Wałęsy należał skonfliktowany z nim Andrzej Gwiazda

Przytaczano opinię zachodnich obserwatorów, według których debata miała być „przełomem w dialogu politycznym [władz PRL – dop. G.M.] z opozycją" i dowiodła, że Wałęsa „nie jest osobą prywatną, lecz przywódcą liczącej się siły społecznej na polskiej scenie politycznej". Nawet partyjni działacze uznali „z zaskoczeniem, że zaprezentował się on jako znacznie dojrzalszy niż w 1981 r. polityk".

Co ciekawe, sam Lech Wałęsa – jak twierdził podczas konferencji prasowej w kościele św. Brygidy – nie był do końca zadowolony. Mówił: „Muszę odpowiedzieć jasno, nie jestem zadowolony, dlatego że Polska oczekiwała wniosków, które by [ją] zbliżyły do porozumienia, okrągłego stołu. Tych wniosków nie było, a mogły być i dlatego jestem niezadowolony [...]. Można było więcej, ale [...] byłem w grypie, dlatego byłem w bardzo kiepskiej formie".

Zupełnie inaczej przebieg debaty przyjęli działacze opozycji, a przynajmniej zdecydowana większość z nich. Jak raportowała SB: „W środowisku tym zapanował nastrój entuzjazmu i euforii". Od tej reguły były jednak wyjątki. Do największych krytyków Wałęsy należał skonfliktowany z nim Andrzej Gwiazda. Najostrzej chyba wypowiedział się 7 grudnia w rozmowie z Alexandrem Pruszyńskim, wydawcą „Expresu Polskiego" w Kanadzie. Według MSW miał stwierdzić m.in.: „Jeśli spotkanie oceniać na gruncie konkursu na konferansjera, komiwojażera czy sprzedawcę, to Wałęsa wypadł lepiej". Nie podobały mu się – o czym mówił pięć dni wcześniej „Głosowi Ameryki" – „poważne deklaracje polityczne i programowe" Lecha Wałęsy, które nazwał „deklaracjami głębokiego kroku wstecz". Zarzucał mu jednocześnie: „Nie powiedział natomiast nic o poziomie płac, mieszkaniach, sytuacji ekologicznej, inflacji, braku podstawowych artykułów w sklepach". A nawet że nie wykorzystał okazji, aby „rozwałkować" Alfreda Miodowicza.

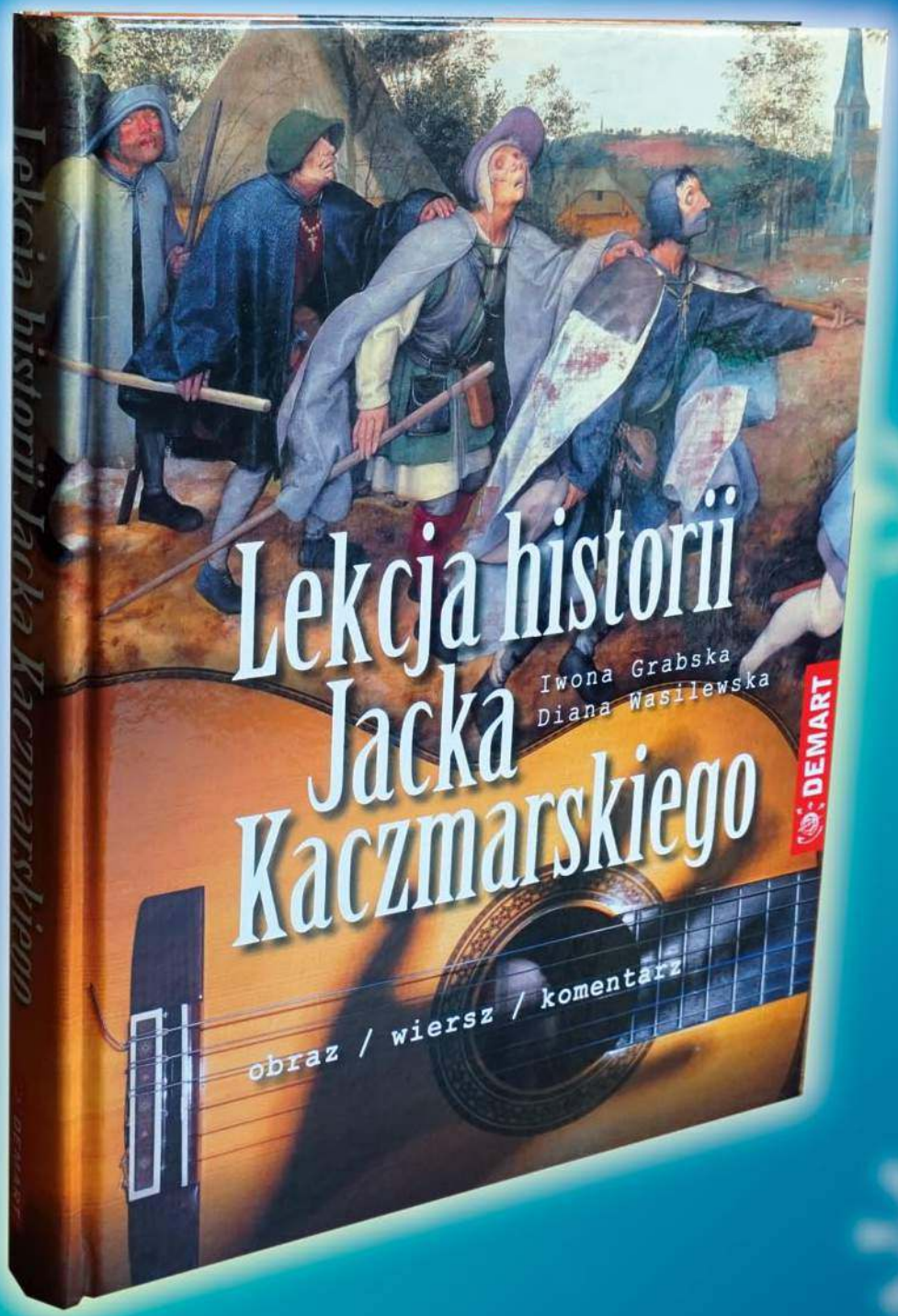
Nie zmienia to faktu, że przewodniczący „Solidarności" okazał się jej zdecydowanym zwycięzcą.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

62/1018/F

eprasa.pl ed099b4aa6

Poeta, bard i malarstwo



DEMART

Wyjątkowa książka na wyjątkową okazję

www.demart.com.pl

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. materiały prasowe

Kobiety mają głos

Sto lat temu – 28 listopada 1918 r. – dekretem o ordynacji wyborczej wprowadzono prawa wyborcze dla kobiet w Polsce

Z Magdaleną Gawin, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego, rozmawia Grzegorz Górny

Jak to się stało, że Polska znalazła się w gronie pierwszych sześciu państw na świecie, które przyznały kobietom prawa wyborcze? Doszło do tego już w 1918 r., a więc zaraz po odzyskaniu niepodległości, podczas gdy w USA w 1920 r., w Wielkiej Brytanii w 1928 r., we Francji w 1944 r., we Włoszech w 1947 r., a w Szwajcarii dopiero w 1971 r.

Magdalena Gawin: Mechanizm polityczny spowalniała buchalteria wyborcza. Liberałowie w Anglii teoretycznie popierali prawo kobiet do głosu, ale w praktyce nie wprowadzali go, bo przewidywali, że głosy kobiet wzmocnią konserwatystów. Elita kobiet była na ogół postępowa, ale masy kobiece bardziej lub mniej konserwatywne. Głosowały na partie, które akcentowały tradycyjne wartości. We Francji największe organizacje sufrażystowskie stanowiły katoliczki, więc senat konsekwentnie blokował nadanie kobietom praw, bo obawiał się, że zagrożą laickiemu charakterowi Republiki Francuskiej. W końcu gen. de Gaulle nadał im prawa dekretem, ale dopiero w 1944 r. Lubi pan alternatywne wersje historii?

Zależy, nie zawsze. A jaka jest w tym przypadku?

Taka, że Piłsudski nie nadaje dekretem praw wyborczych kobietom w 1918 r. Sprawa trafia do parlamentu. Wywiązuje się burzliwy spór między partiami, trwa liczenie na palcach, kto na tym wygra. Trwają kłótnie. Wybucha II wojna światowa, a w 1944 r. prawa polityczne nadają Polkom komuniści.

Mogło tak się zdarzyć?

Uważam, że mogło. Nie musiało, ale mogło. Dlatego cieszę się, że moja prababcia otrzymała prawa od wolnej Polski.

To jaka była ta polska droga do równouprawnienia? Taka jak na Zachodzie?

Każda była inna. Czasem w Polsce są takie imitacyjne tęsknoty do wariantu brytyjskiego, gdzie sufrażystki rzucały się pod dorożki albo trafiały do więzienia. I chyba z tęsknoty za wariantem brytyjskim powstał pewien mit o bębnieniu kobiet parasolkami w szybę, czego miał się przerazić Piłsudski i dlatego szybko podpisał pięcioprzymiotnikową ordynację wyborczą.

Infantylizm tej opowieści nie byłby szkodliwy, gdyby nie pomniejszał wkładu kobiet w rozwój polskiej kultury, instytucji kształceniowych i stowarzyszeń w całym XIX w., nie mówiąc już o wkładzie w odzyskanie niepodległości. Polskie sufrażystki wielokrotnie siedziały w więzieniach, przewoziły ładunki wybuchowe i amunicję, ginęły z rąk CzeKa, zaciągały się do wywiadu w czasie wojny polsko-bolszewickiej, wykradały dokumenty, były szpiegami. To są niesamowite, barwne historie. Tylko trzeba je dostrzec.

Jakie nurty składały się na polski kobiecy ruch emancypacyjny?

eprasa.pl ed099b4aa6

Do pewnego momentu podobne jak w krajach zachodnich o katolickiej kulturze. Feministki działały w dużych miastach, a w dworach ziemiańskich chrześcijańskie demokratki, które skrzyknęły się po encyklice „Rerum novarum", w Zjednoczonym Kole Ziemianek. Te pierwsze propagowały socjalizm, a drugie – solidaryzm społeczny i komplementarność płci. Feministki popularyzowały ideę równouprawnienia, ziemianki wolały działać. Przed 1905 r. pojawiają się kobiety przy Organizacji Bojowej PPS. Chciały równego statusu z mężczyznami, ale w wolnej Polsce. W ogóle nie wierzyły, że z zaborcami uda się cokolwiek wynegocjować. To one tworzą krąg najbardziej radykalnych kobiet, zbliżonych do pierwszoplanowych polityków.

Na czym polegała działalność kobiet zaangażowanych w ruch inspirowany katolicką nauką społeczną?

Walka z brutalnymi skutkami kapitalizmu, uczenie biednych zawodu i praktycznych umiejętności. Ponieważ ziemianki mieszkały na wsiach, zawiązywały tzw. koła włościańskie z chłopkami. Uczyły je pisania i czytania oraz zawodu: pielęgniarstwa, szycia, wyplatania z wikliny. Sprowadzały na wsie akuszerki, bo umierało dużo kobiet. W miastach zakładały sklepy z wiejskimi wyrobami i rzemiosłem artystycznym. Uważały, że skoro wywiązują się z obywatelskich obowiązków, to należą się im polityczne prawa. Były sufrażystkami.

Ważną rolę odgrywały feministki, które zupełnie nie przypominały jednak dzisiejszych.

Rozmawiamy o czasach, gdy Kazimiera Bujwidowa uważała, że „Dzieje grzechu" Żeromskiego to powieść niemoralna. Pierwsze feministki wyznawały restrykcyjne normy obyczajowe. Propagowały hasła czystości, wstrzemięźliwości seksualnej, wierności małżeńskiej. Walczyły z alkoholizmem, podwójną moralnością, prostytucją. Uważały, że choroby weneryczne są następstwem męskiej rozwiązłości. Ubierały się na ciemno, bardzo skromnie. To był inny model postępowości. Liderka feministek Paulina Kuczalska-Reinschmit nie miała oka. To pozostałość po walce z chorobą, którą zaraził ją jej mąż. Sprawa dyscypliny obyczajowej była więc podbudowana szczególnym kontekstem społecznym, czasem własnym doświadczeniem.

Dziś może się wydawać to dziwne, ale przeciwniczką praw politycznych dla kobiet była Gabriela Zapolska. Dlaczego?

Była zadeklarowaną przeciwniczką równouprawnienia. Kiedy dokonała swoistego coming outu, postępowa Warszawa zamarła z zakłopotania. Zapolska uważała, że projekt równouprawnienia to igranie z losem zwykłych kobiet, których źródłem szczęścia są rodzina i macierzyństwo.

Ale sama Zapolska nie była skoncentrowana na macierzyństwie i rodzinie?

Sama żyła w bardzo niestandardowy sposób. Jednocześnie była świadoma ceny, wiedziała, że za taką wolność płaci się niewspółmiernie wysoką cenę. Taką cenę mogą płacić tylko jednostki wybitne. Lubiła prowokować, listy podpisywała: „Paniusia".

Dobrze, a co z podwójną moralnością?

Po mistrzowsku opisała system podwójnej moralności. Tylko w jej interpretacji podwójna moralność polega na tym, że zarówno ofiarami, jak i sprawcami są kobiety. Wtedy większość sufrażystek uważała, że kobiety są lepsze, bardziej moralne od mężczyzn, dlatego powinny dostać głos wyborczy i wejść do polityki, żeby ją zmienić na lepsze. Zapolska tymczasem mówiła, że nie będzie żadnego przeanielenia. Kobiety są inne od mężczyzn, ale wcale nie lepsze. Niektórzy zwolennicy równouprawnienia akurat w tym punkcie zgadzali się z Zapolską.

Kto na przykład?

Bolesław Prus, Ignacy Daszyński, Kazimierz Kelles-Krauz. Ten ostatni zresztą, znany teoretyk socjalizmu niepodległościowego i współpracownik Józefa Piłsudskiego, prowadził najostrzejszy spór ideowy właśnie z kobietą – z Różą Luksemburg, która celowo ujawniła jego pseudonim publicystyczny i wystawiła go carskiej ochranie. Miał więc świadomość, że wejście kobiet do polityki nie wiąże się z sanacją życia publicznego. Daszyński powiedział kiedyś do zgromadzonych aktywistek: „Zejdźcie na ziemię", co oznaczało: „Bądźcie realistkami". Socjaliści uważali, że od podziału na płeć ważniejsze są podziały klasowe. Dzisiaj powiedzielibyśmy: konflikt między wyższą klasą średnią a niższą albo między dużymi miastami a małymi.

W historii ruchu kobiecego, pisanego przez dzisiejsze feministki, zupełnie jest pomijana rola żeńskich zakonów bezhabitowych. Tymczasem często koncentrowały się one na pomocy kobietom w podnoszeniu ich statusu społecznego i zawodowego.

Do pracy społecznej zachęcał je o. Honorat Koźmiński – twórca zakonów bezhabitowych i pierwszych kobiecych związków zawodowych. Założone przez niego kobiece związki zawodowe w 1918 r. dołączyły do delegacji kobiet, która domagała się równych praw. To pokazuje całe spektrum pochodzenia i postaw kobiet, które walczyły o swoje prawa.

Co zostało po tamtym pokoleniu kobiet, które walczyły równouprawnienie?

Tradycja uniwersytetu latającego, Towarzystwa Kursów Naukowych, przeniesiona potem w realia opozycji demokratycznej w PRL; współczesne koła gospodyń wiejskich, które wywodzą się z kółek włościańskich ZKZ; szkoły Cecylii Plater-Zyberkówny; pierwsza polityka historyczna w dużej skali, jaką prowadziła w sprawie Wrześni Maria Konopnicka z Henrykiem Sienkiewiczem; „Rota"; hasło „czynu heroicznego" Marii Dąbrowskiej; pierwszy w historii podwójny Nobel dla kobiety – Marii Skłodowskiej (notabene absolwentki uniwersytetu latającego); tradycja walki o niepodległość. Dlatego rocznica 100-lecia praw politycznych dla kobiet jest świętem wszystkich Polek.

eprasa.pl ed099b4aa6



W cieniu krymskiego mostu



PIOTR SKWIECIŃSKI

Kto się przyczynił do azowskiego incydentu (lub wręcz: sprowokował go)? Zacznijmy od tego, kto na nim politycznie skorzystał (zastrzegłszy, że fakt skorzystania z jakiegoś obrotu wydarzeń nie jest dowodem sprawstwa, lecz co najwyżej poszlaką).

Otóż skorzystali na nim obaj prezydenci: Władimir Putin i Petro Poroszenko. Obaj w obszarze wewnątrzpolitycznym. Każdy, rzecz jasna, w swoim.

PUTIN

Sytuacja pierwszego z nich (a przez to całej związanej z nim grupy rządzącej) pogarsza się ostatnio zdecydowanie. Popularność prezydenta spada, w związku przede wszystkim z drastycznym podwyższeniem wieku emerytalnego, do niedawna bardzo niskiego – ludzie, zwłaszcza mężczyźni, żyją w Rosji biednie i wyjątkowo krótko; wczesna emerytura jest więc dla nich swego rodzaju substytutem i życia dłuższego, i dobrobytu. Rządząca Jedna Rosja zanotowała nieoczekiwane porażki w trakcie wyborów gubernatorów i prezydentów miast na rosyjskiej prowincji – w tzw. głubince – będącej tradycyjnie, w odróżnieniu od Moskwy czy Petersburga, putinowską twierdzą. Liberalna, pozasystemowa opozycja jest daleka od stanu, w którym przez moment (w latach 2011– 2012) wydawała się realnym zagrożeniem dla władzy, ale istnieje i ma na swoim koncie sukcesy (demonstracje z licznym udziałem młodzieży). A stan finansów państwa, zarówno w związku z sankcjami, jak i niskim poziomem cen ropy, wciąż się pogarsza.

Rzeczy mają się więc z punktu widzenia Kremla niewesoło, choć wciąż daleko od sytuacji, która w oczach chłodnych obserwatorów mogłaby się kojarzyć z rozpaczą i owocować histerią. Ale rządzący Rosją kombinują arcyspokojnie we wszystkich obszarach poza tym jednym – perspektywy zachowania władzy. Pod tym względem reagują nerwowo.

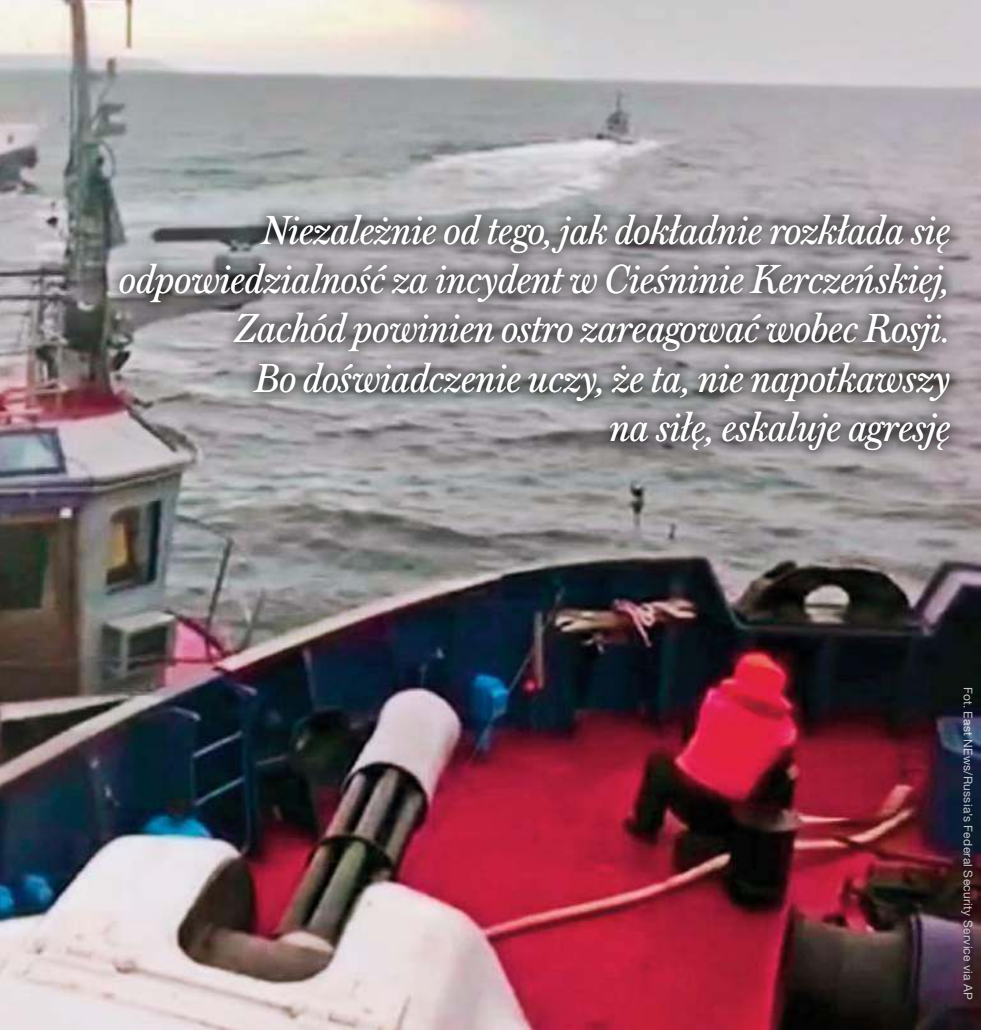
Doświadczenie zaś podpowiada im, że zmianę nastrojów społecznych daje się osiągnąć za pomocą konfliktu zewnętrznego, podnoszącego falę patriotyzmu i nacjonalizmu. Zmianę tym większą, że nie tylko kreującą aktualnego władcę Kremla na „głównodowodzącego" siłami „atakowanej przez cały świat" Rosji, lecz również jego przeciwników na agentów tej wrogiej zagranicy. Fala, wywołana za pomocą podobnego triku – zajęcia Krymu, już opadła. Czy powtórka jest możliwa? Nie wiadomo, ale generałowie z reguły mają tendencję do stosowania strategii, która okazała się skuteczna w poprzedniej wojnie.

POROSZENKO

Na Ukrainie zbliżają się wybory prezydenckie. Pozycja Petra Poroszenki jest niepewna, a on sam jest niepopularny. Narasta też rozczarowanie obecnym obozem rządzącym. Zarazem państwo i armia są już wystarczająco silne, aby wytrzymać ewentualne wznowienie działań wojennych. Oczywiście na skalę ograniczoną, a nie pełnoskalowej rosyjskiej inwazji w stylu zajęcia Kijowa. Ale tej ostatniej, jak wyraźnie widać, nie chce też Kreml – bo konieczność okupowania wrogo nastawionych terenów oznaczałaby wciągnięcie go w wojnę, której polityczne skutki byłyby już nie do przewidzenia. Ponadto dlatego, że oznaczałoby to zachodnie sankcje, jeszcze bardziej szkodliwe niż obecne dla przeżywającej poważne kłopoty rosyjskiej gospodarki. Prezydent Poroszenko nie musi się więc tego obawiać, a ograniczona wojna, a już zwłaszcza nieprzechodzące w wojnę zaostrzenie konfliktu, poprzez pobudzenie fali antyrosyjskich emocji mogłoby mu pomóc politycznie.

Co więcej – zaostrzenie konfliktu utrudniłoby grę tych sił na Zachodzie, które chcą normalizacji relacji z Rosją. Może nawet uniemożliwiłoby ukończenie projektu Nord Stream 2, postrzeganego na Ukrainie – słusznie – jako wielkie niebezpieczeństwo dla tego kraju...? W chwili, kiedy piszę te słowa, niewiele zdaje się wskazywać na taki obrót sytu-

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. East News/Russia's Federal Security Service via AP

acji. Odwrotnie – reakcje zachodnie są nad wyraz powściągliwe, USA potępiły Rosję, zachęcają Unię do wprowadzenia dodatkowych sankcji, ale o własnych nie mówią, a Niemcy wręcz tak jakby postawiły obie strony na równi, jako tak samo odpowiedzialne za to, co się stało. Ale na Ukrainie w czasie samego incydentu wielu patriotycznie nastawionych obserwatorów dawało wyraz nie tylko przekonaniu, że taki jego rezultat jest realny, lecz wręcz że właśnie dla osiągnięcia tego celu eskadrę z Odessy skierowano „na Azow" (tak w obu krajach określa się Morze Azowskie).

Znów zastrzeżmy – to wszystko nie jest żadnym dowodem na świadome sprowokowanie incydentu. Ale przekonanie, że decydenci po obu stronach mogli dostrzegać interes w eskalowaniu sytuacji, nie jest obecnie obce obserwatorom.

Czy coś na to wskazuje?

BLOKADA

Sprawy związane z koegzystencją obu państw „na Azowie" reguluje rosyjsko-ukraińska umowa z 2003 r. Określa ona morze jako wspólne.

Po zajęciu przez Rosjan Krymu Ukraina zachowała pod swoją kontrolą odcinek wybrzeża Morza Azowskiego, z portami w Berdiańsku i Mariupolu. Rejon tych miast jest zarazem wrażliwy politycznie i militarnie, bo ów teren, leżący na południe od separatystycznej części Donbasu, jest przesmykiem, który – gdyby wpadł w ręce Rosjan – dałby im lądową komunikację z Krymem. Ale ich pozostawanie w ukraińskich rękach jest ważne w jeszcze innym aspekcie – w tej sytuacji bowiem nawet ewentualne uznanie przynależności Krymu do Rosji nie pozbawiałoby Ukrainy statusu państwa azowskiego. A zatem umowa (której skądinąd Moskwa nie wypowiedziała ani nie uznała za nieważną) pozostaje w mocy nawet z rosyjskiego punktu widzenia. Skądinąd istnieją też inne, zawarte w międzynarodowych porozumieniach zapisy, dające wszystkim państwom możliwość „przejścia tranzytowego" przez cieśniny tego rodzaju jak Kerczeńska – czyli wiodące z jednego morza na drugie.

Po zajęciu Krymu Rosjanie początkowo, zgodnie z prawem, tolerowali przepływ ukraińskich statków i okrętów przez cieśninę. Po pewnym jednak czasie obie strony rozpoczęły akcję szykanowania jednostek zmierzających do portów strony przeciwnej. Przy czym pierwsi byli Ukraińcy, którzy w ten sposób karali statki, które zawinęły na okupowany przez Rosjan Krym, jak również usiłowali utrudnić budowę mostu łączącego ten półwysep z rosyjskim kontynentem (Rosjanie dostarczali statkami na tę budowę piasek i inne materiały budowlane).

Ale na znacznie większą skalę czyniła to Rosja (co wynikało z przewagi jej marynarki). Długotrwałe kontrole frachtowców płynących do, a potem z ukraińskich portów zaczęły – z punktu widzenia armatorów – czynić obsługę Berdiańska i Mariupola nieopłacalną. Zaczęło to uderzać w ukraińską gospodarkę, bo idzie przez nie znacząca (choć nie większościowa) część eksportu tego kraju. Zdarzył się przypadek aresztowania jednostek obu państw i zatrzymania ich załóg (po kilku miesiącach zostały one wymienione).

Budowa, a potem funkcjonowanie mostu kerczeńskiego, odgrywającego strategiczną rolę w zaopatrywaniu Krymu i będącego w oczach Rosjan symbolem jedności półwyspu z Rosją, zwiększyło napięcie w rejonie. Na Ukrainie radykałowie wzywali do zniszczenia tej konstrukcji.

We wrześniu zeszłego roku ukraińskie okręty wojenne „Donbas" i „Koriec" (jedynie formalnie wojenne, bo niemal nieuzbrojone – dlaczego to istotne, okaże się za chwilę) przepłynęły przez cieśninę na Morze Azowskie.

Czy wówczas Ukraińcy, zgodnie z umową z 2003 r., poprosili o zgodę na przejście cieśniny kapitanat portu w Kerczu (w momencie podpisywania umowy – ukraiński, a od 2014 r. zajęty przez Rosjan; kapitanat ma prawo wyrażenia lub wstrzymania zgody na forsowanie cieśniny nie w sensie politycznym, ale wyłącznie chwilowym i technicznym – cieśnina jest trudna nawigacyjnie, ruch statków duży i ktoś musi go nadzorować, żeby uniknąć zderzeń i innych wypadków)? W kontekście późniejszych wydarzeń charakterystyczna jest tu różnica co do faktów, bo dowództwo ukraińskiej

eprasa.pl ed099b4aa6

marynarki szczyciło się wówczas właśnie tym, że owe okręty podobno „nie wnosiły o żadne pozwolenie kraju-agresora, tylko zrealizowały swoje prawo do swobodnego przejścia Cieśniny Kerczeńskiej". Rosjanie natomiast twierdzili, że Ukraińcy o pozwolenie na przejście poprosili, uzyskali je i zostali przekonwojowani na drugą stronę cieśniny przez zespół okrętów rosyjskich. Zapamiętajmy tę rozbieżność.

Czy było tak, czy inaczej, Rosjanie nie zatrzymali „Donbasu" ani „Korieca", co wywołało w Kijowie reakcje takie jak Igora Tyszkiewicza, eksperta w dziedzinie bezpieczeństwa, który podkreślił propagandowe znaczenie tego faktu. „Krym wasz? A my na to napluliśmy. Nawet stare i źle uzbrojone ukraińskie okręty wojenne spokojnie przepływają przez cieśniny. A »potężna« Federacja Rosyjska nie może niczego zrobić. To będzie przyjęte jako poniżenie FR, a w rosyjskiej wewnątrzpolitycznej rzeczywistości teza o »poniżonej władzy« zalicza się do kategorii »strasznych snów Kremla«" – pisał.

Wtedy, kiedy „Donbas" i „Koriec" w ten czy inny sposób forsowały cieśninę, dwa inne, tym razem uzbrojone i pełnowartościowe bojowo, ukraińskie okręty, kutry artyleryjskie „Łubny" i „Berdiańsk", dotarły na Azow inną – lądową – drogą. Zostały przywiezione z Odessy na olbrzymich samochodowych przyczepach. Dowodzi to, że wówczas ukraińskie kierownictwo uznawało, iż próba przeprowadzenia przez cieśniny jednostek naprawdę bojowych może być odczytana jako prowokacja. Co sugeruje, że podejmujący dziś decyzję o podjęciu próby przerzucenia dosłownie bliźniaczych dla „Łubnego" i „Berdiańska" kutrów nie drogą lądową, tylko przez Kercz, musieli zdawać sobie sprawę, że jest to eskalacja.

„ŚWIADOMY PROWOKACYJNEGO CHARAKTERU…"

Co było dalej, wiadomo. Rosjanie najpierw – podkreślmy, że wbrew prawu nakazującemu przepuszczenie ukraińskich jednostek – zatrzymali je.

Czy tym razem Ukraińcy prosili kapitanat portu w Kerczu o prawo przejścia przez cieśninę? Tu następuje różnica co do faktów, w charakterystyczny sposób odwrotna niż we wrześniu. Teraz Rosjanie twierdzą, że nie, Ukraińcy – że tak, przy czym żadna ze stron nie przedstawia dokumentów na potwierdzenie swojej wersji wydarzeń.

A następnie zaatakowali, przy czym uczynili to w momencie, kiedy zablokowani Ukraińcy zaczynali już manewr odwrotu, co jasno dowodzi, że w tej chwili to Rosjanie chcieli zaognienia sytuacji. W efekcie ukraińskie jednostki zostały – już na wodach międzynarodowych, co jeszcze zwiększa stopień odpowiedzialności strony rosyjskiej – ostrzelane i zdobyte abordażem przez rosyjski specnaz. Ich załogi zatrzymano, a już kilkanaście godzin później trzech marynarzy (w tym dowódca eskadry) znalazło się na wypuszczonych do sieci przez FSB nagraniach, na których (nie wiadomo, jakim metodom perswazji wcześniej poddani) przyznają, że „byli świadomi prowokacyjnego charakteru swoich działań".

> Natura rządzących Rosją jest taka, że jeśli poczują sukces, a nie odczują oporu jakiejś potężnej siły, to pójdą dalej, nawet jeżeli przedtem tego nie planowali

W efekcie na Ukrainie rozlała się patriotyczna fala, a Poroszenko ogłosił (zatwierdzony przez Radę Najwyższą) stan wojenny. Teoretycznie może on posłużyć na przykład do odłożenia wyborów i/lub przejęcia mediów pod nadzór państwa, przed czym obawy deklarowali zarówno dziennikarze, jak i politycy. Prezydent zapowiedział jednak, że wybory odbędą się w konstytucyjnym terminie (nie jest to zgodne z wymogami ustawy o stanie wojennym, ale nie byłby to pierwszy na Ukrainie wypadek naginania prawa), a swobody obywatelskie mogą zostać naruszone jedynie, gdyby Rosja rozpoczęła inwazję. Co wydaje się równie mało prawdopodobne jak próba narzucenia Ukrainie dyktatury obecnego prezydenta.

LEPIEJ DZIAŁAĆ DZIŚ

Reakcja Zachodu jest, jak dotąd, wstrzemięźliwa. Ogranicza się do potępień. Nowych sankcji, na co liczono na Ukrainie, nie ma. I nie jest to dobry znak.

Niezależnie bowiem od tego, jak dokładnie rozkłada się odpowiedzialność za kerczeński incydent (jej gros leży, jak starałem się wykazać wyżej, po stronie Rosji, ale trudno nie dostrzegać, że Ukraina współkreowała całą sytuację), to właśnie Moskwa ma i możliwości, i skłonności do eskalacji agresywnych zachowań, kiedy tylko nie spotka się z silnym oporem.

Przy czym, paradoksalnie, kiedy ludzie z Kremla decydowali, że stworzą obecny kryzys, o dalszej jego eskalacji zapewne nie myśleli. Kierowali się raczej wizją podniesienia fali prorządowego entuzjazmu w samej Rosji i punktowego zwiększenia problemów Ukrainy. Ale taka jest ich natura, że kiedy poczują sukces, a nie czują oporu, jest bardzo prawdopodobne, że pójdą dalej.

A w związku ze sprawą kerczeńską, jak dotąd, z demonstracją siły ze strony Zachodu Rosja się nie spotkała. Co nie napawa optymistycznie nawet kogoś, kto na co dzień bynajmniej nie jest skłonny do diabolizowania Moskwy.

Stephen Blank, uznany ekspert z Amerykańskiej Rady Polityki Zagranicznej, proponuje, aby reakcją NATO było manifestacyjne skierowanie – poprzez Cieśninę Kerczeńską, rzecz jasna – silnego konwoju okrętów wojennych do ukraińskich portów na Morzu Azowskim. Wydaje się to reakcją, choć asymetryczną (Ukraina nie jest wszak formalnym sojusznikiem Zachodu), to jednak adekwatną do położenia.

Lepiej bowiem dziś, za pomocą demonstracji siły, wyperswadować Rosjanom eskalację agresji na Ukrainie (a może gdzieś indziej), niż jutro mieć dylemat, czy i jak zareagować na jakąś sytuację znacznie od dzisiejszej gorszą.

eprasa.pl ed099b4aa6

„Badania na rynek", czyli 1,25 mld zł na inwestycje w innowacje

Firmy z sektora MŚP, chcące wdrożyć innowacyjny produkt w oparciu o wyniki prac badawczo-rozwojowych, w tym roku po raz kolejny mogły (nabór do 5 grudnia 2018 r.) się ubiegać o wsparcie finansowe z Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości. W tegorocznym konkursie „Badania na rynek" o dotację było łatwiej niż w poprzednich edycjach

„Badania na rynek" to największy program wsparcia innowacji realizowany przez PARP, z budżetem wynoszącym 1,25 mld zł. Program obejmuje dwa równolegle prowadzone konkursy. Pierwszy – ogólny, z pulą środków 750 mln zł – kierowany jest do mikro, małych i średnich firm na terenie całej Polski. Drugi – z budżetem 500 mln zł – do firm, które swoje projekty będą realizować w jednej z prawie 800 lokalizacji obejmujących polskie miasta średniej wielkości wraz z przyległymi gminami (lista dostępna na stronie PARP).

W czterech z pięciu rund naboru przedsiębiorcy złożyli 144 wnioski o dofinansowanie na łączną kwotę ponad 1 100 mln zł. Z tego 99 wniosków dotyczyło konkursu ogólnego (ponad 800 mln zł), a 45 (ponad 300 mln zł) konkursu dla miast średnich.

ZASADY

Program prowadzony od 2015 r. ewoluował tak, by umożliwić skorzystanie ze środków większej liczbie przedsiębiorców i lepiej odpowiedzieć na ich potrzeby. W tegorocznej edycji, poza rozszerzoną listą lokalizacji w konkursie dla miast średnich, uproszczono warunki starania się o wsparcie.

Najistotniejsza była jednak zmiana w zakresie źródła innowacji. W tegorocznej edycji „Badań na rynek" umożliwiono ubieganie się o wsparcie nie tylko firmom, które przeprowadziły prace badawcze w ramach wewnętrznych struktur lub przy współpracy z ośrodkami naukowymi, lecz także tym, które zakupiły wyniki prac badawczych na rynku. Podstawowy warunek udziału w konkursie był ten sam – niezależnie od pochodzenia wyników prac B+R ich efektem musi być wdrożenie do oferty firmy nowego albo znacząco ulepszonego produktu. Przy czym produkt (lub usługa) musi być innowacyjny przynajmniej na skalę krajową.

– Celem poddziałania 3.2.1 jest sprawienie, by aktywność z obszaru B+R prowadzona przez MŚP znajdowała odzwierciedlenie w ich strategii rynkowej i konkretnych produktach. Dlatego przedsiębiorca, który chce uzyskać wsparcie, musi mieć przeprowadzone prace badawczo-rozwojowe już w chwili składania wniosku, a wyniki tych badań muszą mieć kluczowe znaczenie dla wprowadzanego na rynek produktu lub usługi – mówi Izabela Wójtowicz, dyrektor Departamentu Wdrożeń Innowacji w Przedsiębiorstwach PARP.

ILE I NA CO?

Maksymalna kwota dofinansowania to 20 mln zł, a maksymalny poziom dofinansowania wyrażony w procentach zależy od mapy pomocy regionalnej i może wynosić od 20 do 70 proc.

Dofinansowane mogą być koszty nabycia: prawa użytkowania wieczystego gruntu, prawa własności nieruchomości oraz robót i materiałów budowlanych, ale także koszty zakupu maszyn i urządzeń, wartości niematerialnych i prawnych w formie patentów, licencji czy know-how.

Realizacja projektu zgłoszonego do konkursu nie może trwać dłużej niż 30 miesięcy i musi się zakończyć najpóźniej do końca 2023 r. Przy czym firma wnioskująca o wsparcie powinna rozpocząć realizację projektu dopiero po złożeniu wniosku.

LICZY SIĘ SKALA INNOWACYJNOŚCI

Rozstrzygającym kryterium oceny wniosków jest innowacyjność. Oznacza to, że w przypadku uzyskania jednakowej łącznej liczby punktów przez kilka projektów, w pierwszej kolejności wsparcie otrzyma ten, który będzie się cechował większą innowacyjnością. Ocena w kryterium innowacyjności odbywa się na podstawie wskaźników odnoszących się do nowych cech produktu lub jego funkcjonalności, które zawarto we wniosku.

– Do uzyskania minimalnej liczby punktów w kryterium innowacyjności konieczne jest spełnienie jednocześnie warunku innowacyjności produktu na poziomie krajowym i wykazania znaczenia innowacji dla ostatecznego odbiorcy. Na dodatkowe punkty mogą liczyć produkty innowacyjne w skali międzynarodowej, np. Europy Środkowo-Wschodniej, dotyczące wysokich technologii, albo rozwiązania, które przyczynią się do rozwoju danej branży lub rynku – wyjaśnia Izabela Wójtowicz.

Szczegółowy katalog kosztów i informacje na temat zasad wyboru projektów oraz przeprowadzania konkursu znajdują się na stronie internetowej https://poir.parp.gov.pl/badania/badania-na-rynek.

64/1118/F

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
PARP Grupa PFR
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl ed099b4aa6



Fot. East News/Richard BOUHET/AFP

Bunt we francuskich tropikach

Trwający od połowy listopada protest Francuzów przeciwko podwyżkom, zwłaszcza cen paliw, i zbyt wysokim podatkom szybko opuścił granice Europy. Przemoc pojawiła się na ulicach tropikalnej wyspy Reunion, wprawiając w osłupienie jej przywykłych do błogiego spokoju mieszkańców, ale i nawykłych do zamieszek Francuzów z metropolii



TADEUSZ BRZOZOWSKI

Reunion nie jest miejscem szczególnie obleganym przez turystów. To położony na Oceanie Indyjskim zamorski departament Francji i najbardziej odległa część Unii Europejskiej. W przeciwieństwie do pobliskiego Mauritiusu wyspy nie otacza rafa koralowa, co czyni jej plaże niezbyt bezpiecznymi, szarpanymi falami i nawiedzanymi przez rekiny. Przed dwoma laty świat usłyszał o Reunionie właśnie w związku z wielokrotnymi zabójczymi atakami rekinów. Wyspa znana jest jeszcze z tego, że w jej stolicy, w Saint-Denis, urodził się Roland Garros, lotnik, bohater I wojny światowej, lepiej znany z międzynarodowego turnieju tenisowego, noszącego jego imię.

Na Reunionie byłem trzy razy. W czasie pierwszej wizyty przez trzy dni nie mogłem znaleźć choć jednego otwartego sklepu. Zamknięte były też nieliczne restauracje. Pomyślałem, że miałem pecha i trafiłem na jakieś lokalne święto. Z musu dałem się uwieść „kawiarni" otwartej na terenie stacji benzynowej. Sytuacja powtórzyła się podczas drugiej wizyty. Sprawdziłem, nie było żadnego święta. – Tam tak się żyje, zakupy robiłam raz w tygodniu, w sobotę. W tygodniu sklepy są otwarte krótko, a kolejki odbierają radość życia. Wszystko jest dodatkowo bardzo drogie, bo sprowadzane, zwykle z Francji. Wytrzymałam rok i przeniosłam się na Mauritius – opowiada spotkana na lotnisku Catherine.

Moja trzecia wizyta z pewnością będzie ostatnią. Trasę z lotniska do Saint-Denis (na siłę można ją odbyć pieszo) pokonałem taksówką. Zamiast dziesięciu minut wlekliśmy się ponad trzy godziny. Taksówkarz całą drogę złorzeczył na organizatorów protestu, którzy od tygodnia utrudniają mu życie, wstrzymując ruch na głównych drogach, ale w widocznym miejscu przy przedniej szybie położył żółtą kamizelkę, znak rozpoznawczy protestujących. – Przyda się przy blokadzie – wyjaśniał. Nie przydała się. Wjazd do miasta był zablokowany ustawionymi w poprzek ulicy samochodami, a „żółte kamizelki" przepuszczały jeden samochód na pięć minut. Wyjątek robili dla karetek pogotowia, które mijały nas z zadziwiającą częstotliwością.

eprasa.pl ed099b4aa6

Tym razem sklepy i restauracje były nie tylko zamknięte, część zdemolowano. Przed McDonaldem sterczały kikuty spalonych parasoli przeciwsłonecznych i czarne, osmolone resztki ławek i stolików. Miasto opustoszało. Na bocznych krętych uliczkach stolicy nie było protestujących, ale dwa razy mijały nas ciężkie wozy żandarmerii. W radiu co chwilę podawano informacje, gdzie ustawione są blokady. Gdy wyruszaliśmy z lotniska, było ich 30, po trzech godzinach, 8 km dalej, radiowy komunikat mówił o 26. Kierowca wyjaśnił mi, że ustawione są tylko na wjazdach do miast, a policji od czasu do czasu udaje się je rozbić.

W recepcji hotelu Bellepierre stanowczo poinformowano mnie, że z budynku nie wolno wychodzić, bo i tak nie ma po co, wszystko jest zamknięte, a za cztery godziny, o 21.00 i tak zacznie obowiązywać godzina policyjna, więc nie ma sensu się włóczyć. Mimo wszystko wyszedłem, licząc, że gdzieś jednak dostanę filiżankę kawy. Niestety, jak zwykle wszystko było zamknięte. Poszedłem w stronę wybrzeża, przed zamkniętym pubem spotkałem dwie zrezygnowane pary. Powiedzieli mi, że szukają pożywienia dla psa i zapytali, czy po drodze widziałem jakiś otwarty sklep. – Ja jeszcze kilka dni przeżyję na suchym chlebie, ale jak mam psu wytłumaczyć, że sklepy są zamknięte od trzech dni. Rozumiem cyklon, ale wtedy nas uprzedzają i robimy zapasy na dwa tygodnie. Teraz włóczymy się po mieście, licząc, że gdzieś coś znajdziemy – powiedział Jean-Pierre i szybko dodał, że w pełni popiera protestujących, choć sam nie ma czasu, żeby stać na barykadzie. Dodał, żebym przed zmrokiem wrócił do hotelu, bo wieczorem ta spokojna ulica wypełni się ponownie hordami młodocianych wandali, rozbijających ocalałe z poprzedniego pogromu witryny sklepów, polując na alkohol i papierosy.

Od tygodnia na Reunionie w dzień protestują ludzie odziani w żółte kamizelki, tzw. gilets jaunes, ci uważają się za rewolucjonistów i często śpiewają „Marsyliankę". W nocy z policją i żandarmerią ścierają się „cagoules noires", czyli czarne kaptury, raczej bez patriotycznej pieśni na ustach. Miejscowa policja jest bezradna, dlatego poproszono o posiłki z Francji. W czasie zamieszek jeden z interweniujących policjantów stracił rękę, gdy eksplodował granat wrzucony do jego samochodu, w którym chciał się schronić przed gradem kamieni. Kilkudziesięciu jego kolegów zostało rannych. Zatrzymano ponad 300 agresywnych młodzieńców, szybko posypały się wyroki skazujące na kilka miesięcy bądź lat więzienia.

Rząd w Paryżu wysłał nie tylko uzbrojonych żandarmów, w ubiegłą środę na Reunion przyleciała Annick Girardin, minister odpowiedzialna za terytoria zamorskie, która na początku mijającego roku gasiła podobny pożar na leżącej po drugiej stronie Madagaskaru również należącej do Francji wyspie Majotta.

Reunion robi wrażenie zamożnego, zrelaksowanego morskiego kraju. Palmy, błękitne niebo, w środku tropikalny las porastający zbocza wulkanu. Z jego szczytu będzie można wkrótce podziwiać wybudowaną w morzu autostradę, łączącą stolicę z lotniskiem. Droga jest niemal ukończona, rozciągnięto ją na gigantycznych słupach, wyrastających z oceanicznego dna. Kosztowała francuski rząd niemal 2 mld euro. A jednak mieszkańcy wyspy skarżą się na biedę. W czasie obecnych protestów, obok żądania ustąpienia prezydenta Macrona, pojawiają się hasła podniesienia wynagrodzenia i zasiłku dla bezrobotnych. Tego ostatniego, jak widziałem na transparencie, do 2 tys. euro miesięcznie. Bezrobocie jest faktycznym problemem wyspy i sięga 23 proc., a wśród młodzieży nawet 39 proc.

Mieszkańcy Reunionu uważają się za pokrzywdzonych, bo według oficjalnych danych niemal połowa społeczeństwa żyje poniżej poziomu ubóstwa. Brzmi to przerażająco, ale zależy, z jakiego punktu widzenia na to spojrzeć. Przyjęty tu poziom ubóstwa to 1015 euro miesięcznie na osobę.

– Wiem, że w wielu częściach świata te dane mogą szokować, ale zauważ, że tutaj ceny są średnio kilkanaście procent wyższe niż we Francji. Jedna czwarta społeczeństwa żyje tylko z zasiłków społecznych. Wiem, że nie widać tego, ale tutaj ponad 100 tys. osób to analfabeci, a jest nas tylko 800 tys. – rozmawiam z Ann, wykładowczynią miejscowego uniwersytetu. Przyznaję jej rację, nie widać tu ubóstwa. Nawet tzw. biedna dzielnica stolicy w niczym nie przypomina biedy afrykańskiej, do której zdołałem przywyknąć. Domy opłacane przez pomoc społeczną to czyste, zadbane bloki, od pozostałych różniące się tym, że na trawnikach siedzą kobiety z białymi maskami na twarzy, typowymi dla mieszkanek Komorów. Bo na Reunion przybywa coraz więcej imigrantów.

Jeszcze przed dwoma laty imigracja nie była znaczącym problemem dla tej wyspy. Położona z dala od wielkich lądów zdawała się niedostępna dla nielegalnych przybyszów. Dlatego z niedowierzeniem przyjęto kilkudziesięciu śmiałków, którzy łodzią przypłynęli ze Sri Lanki, pokonując 4 tys. km Oceanu Indyjskiego. Łatwiejszą podróż odbywają przybysze z Majotty, czyli tej części archipelagu Komorów, która w 1974 r. zdecydowała się pozostać przy Francji. Dzisiaj ponad 50 proc. mieszkańców tej wyspy to nielegalni imigranci. Po zalegalizowaniu swojego pobytu szybko przenoszą się na Reunion, bo życie jest tu wygodniejsze i zasobniejsze niż na Majotcie, gdzie zasiłek dla bezrobotnych wynosi 250 euro. Dla nich ubóstwo, na które narzekają mieszkańcy Reunionu, jest do zaakceptowania. Ale na Reunionie nikt nie porównuje się do Majotty, lecz do Francji, gdzie minimalna płaca wynosi 1,5 tys. euro, a zasiłek dla bezrobotnych jest najwyższy w Unii i sięga 75 proc. ostatniego wynagrodzenia.

* * *

Radio wciąż informuje, że przemoc na wyspie jest zjawiskiem marginalnym, że młodzież wykorzystała protest „żółtych kamizelek" i niezadowolenie społeczne. Widziałem jedynie maleńki fragment zniszczeń, ale ich skala na pewno nie pozwala mówić, że jest to zjawisko marginalne. Kiedy w sobotę wylatywałem z wyspy, ludziom zaglądał głód w oczy. Sklepy zamknięte były od tygodnia, żadnych dostaw, nikt nie zrobił wcześniej zapasów, bo nie spodziewał się takich zamieszek. Nieliczne piekarnie racjonowały sprzedaż bagietek, jedna na osobę. Dzisiaj, po tygodniu, sytuacja pewnie się poprawiła, ale szok i niedowierzanie pozostaną na długo.

eprasa.pl ed099b4aa6

Gdy lisy pilnują kurnika



Fot. Shutterstock

Niestety nie pomyliłem się, gdy alarmowałem opinię publiczną i kolejnych przewodniczących KNF, że w sektorze finansowym oraz bankowym widać nadal zbyt wiele nieuczciwości, pobłażania, taniego cwaniactwa i kolesiostwa, a tymczasem reakcje nadzoru są albo nieskuteczne, albo spóźnione, albo pełne przyzwolenia na patologie



JANUSZ SZEWCZAK

Szczególnie było to widoczne za czasów nominata do KNF rządu PO-PSL Andrzeja Jakubiaka, który skompromitował bezstronność i profesjonalizm tego urzędu, choćby posiadaniem kilku kredytów w bankach, które sam nadzorował, także w zakresie tzw. kredytów frankowych czy tzw. polisolokat, i który dziś wylądował na ciepłej posadce w m-Banku. Oczywiście wówczas koalicja PO-PSL nie domagała się komisji śledczej w sprawie rażąco oszukańczych produktów bankowo-ubezpieczeniowych, którymi były tzw. polisolokaty (łącznie oszukano za ich pomocą prawie 5 mln Polaków na kwotę ok. 50 mld zł), tzw. opcje walutowe dla przedsiębiorstw, na których poszkodowani stracili od 20 do 40 mld zł, czy tzw. kredyty frankowe na kwotę ok. 130 mld zł. Wtedy dla PO-PSL, prof. Leszka Balcerowicza, prezydenta Bronisława Komorowskiego i „GW" nadzór finansowy w Polsce był europejski, profesjonalny, bezstronny i kompetentny.

Teraz ta sama gazeta z politykami PO i Nowoczesnej, opierając się na ślepym zaufaniu co do prawdomówności byłego TW o ps. Ernest biznesmena Leszka Czarneckiego, właściciela grupy finansowo-bankowej z Getin Noble Bankiem, Idea Bankiem i Open Finance na czele, grzmi o wielkiej aferze i domaga się komisji śledczej. Najwyraźniej nie ma ani słynnej karteczki z wpisaną kwotą, ani nawet słownego potwierdzenia czy zgody na rzekomą propozycję korupcyjną szefa KNF. Wydaje się to co najmniej dziwne, że Czarnecki, mając pełną świadomość, iż jego spółki są po pachy umoczone właśnie w tzw. kredyty frankowe, polisolokaty, w zakup z naruszeniem prawa i procedur obligacji GetBacku, mając też najwyraźniej poważne braki kapitałowe i program naprawczy na karku, z którym nie idzie tak łatwo, zdecydował się na tak desperacki ruch.

Jeszcze w lipcu 2017 r. skierowałem interpelację do szefa KNF Marka Chrzanowskiego, apelując o znacznie silniejszy nadzór nad programem naprawczym w Getin Noble Banku. Wielokrotnie też apelowałem, aby nie było żadnej pobłażliwości dla banków ani bankierów, którzy narażają polskich klientów na ogromne straty i dramaty osobiste, a później na ratowanie tych banków publicznymi pieniędzmi, mimo że łamali prawo, procedury, oszukiwali i wprowadzali w błąd. Odpowiedź KNF była jak zwykle zdawkowa, a na podsłuchanej rozmowie Chrzanowski i Czarnecki doszli wspólnie do zdania, że Szewczak „jest cięty". Od dawna twierdzę, że banki nie są żadnym siódmym cudem świata, że wszelkie przekręty, patologie i manipulacje w sektorze bankowym trzeba wypalać gorącym żelazem. Trzeba reagować odważnie i zdecydowanie, zanim gangrena rozejdzie się po całym organizmie i zagrozi stabilności całego systemu. Nie powinno więc być żadnych świętych krów pośród banków ani nawet tzw. tuzów bankowości, jeśli łamią prawo, naruszają procedury, oszukują i narażają na ogromne straty klientów, a potem żądają wielomiliardowej pomocy państwa. W USA bankierzy za przekręty dostają wyroki nawet po 150 lat więzienia, a banki naruszające prawo płacą po 10 mld dol. kar bez szemrania. I nikt nie robi z tego problemu politycznego ani antyrządowego spisku. Szef amerykańskiego nadzoru finansowego (SEC) ma pozycję i autorytet nie mniejszy niż prezydent USA i nie jest naiwnym koleżką celebrytów finansowych, z którymi da się coś utargować.

Zastanawiające jest to, dlaczego Czarnecki, znawca nurkowania, postanowił wciągnąć pod wodę Chrzanowskiego, ale jednocześnie zatopić własne spółki i sprowadzić na samo dno własną wiarygodność biznesową. Czyżby tylko za cenę politycznego uderzenia w rząd? A może źródełko agresywnego inwe-

eprasa.pl ed099b4aa6

stowania wyschło, może nie da się już doić polskiego państwa i strzyc Polaków do gołej skóry, nie ponosząc z tego tytułu żadnych biznesowych ani prawnych konsekwencji? Może rozgrywka va banque i rozpaczliwy rzut na taśmę Czarneckiego miały odroczyć wyrok i dać władzy do zrozumienia, że dysponuje on ukrytą kartą w rękawie?

Niewykluczone, że ekonomiczną desperację Czarneckiego totalna opozycja postanowiła wykorzystać dla celów politycznego ataku na rząd i zarazem podzielenia środowiska Zjednoczonej Prawicy. Trudno bowiem inaczej wytłumaczyć wielomiesięczne opóźnienie zgłoszenia zawiadomienia o korupcyjnej propozycji byłego szefa KNF, o ile ta w ogóle miała miejsce, nie mówiąc już o słynnej, znikającej karteczce. Dla wielu ekspertów rynku finansowego było oczywiste, że kondycja banków Czarneckiego od pewnego czasu wyraźnie się pogarsza, a wyniki kontroli KNF będą negatywne, włącznie z wpisaniem na tzw. listę ostrzeżeń i zawiadomieniem do prokuratury w sprawie Idea Banku w zakresie nabywania obligacji GetBacku. Mimo to opozycja i jej media stanęły murem za prywatnym przedsiębiorcą, rzekomo uciemiężonym i prześladowanym przez złą władzę, którego tajemne siły chciały wywłaszczyć, przejmując jego banki za przysłowiową złotówkę. Tyle tylko, że na świecie tego typu rozwiązania są już stosowane z powodzeniem, np. w Hiszpanii, Holandii i wielu innych krajach. Chodzi o to, żeby deponenci i klienci banków oraz podatnicy nie ponosili skutków nieodpowiedzialnego, nieumiejętnego zarządzania podmiotami bankowymi. Stąd w pełni racjonalne i wspierane przez UE oraz Europejski Nadzór Bankowy zalecenia, by mniejsze, słabsze banki i podmioty finansowe mogły być przejmowane przez silniejsze podmioty rynkowe i większe banki. Praktyka tego typu była i jest stosowana w Polsce wobec małych, upadających SKOK-ów, przejmowanych przez banki, którym rekompensuje się te nakłady ze środków unijnych – specjalnego funduszu.

W opinii publicznej pojawia się też teoria, że operacja podsłuchowa Czarneckiego to patent na ewentualny zagraniczny arbitraż w stylu dawnej afery PZU SA w celu uzyskania wysokiego odszkodowania, być może również na terenie USA, w oparciu o amerykańskie prawo dla rezydentów.

Tego typu operacje, kiedy lobby finansowe czy bankowe potrafiło w Polsce wywierać dowolną presję i doić polskie państwo, raz na zawsze się skończyły. Silne, nieteoretyczne państwo musi chronić własnych obywateli przed patologiami na rynku finansowym i chciwością, niektórym przyćmiewającą rozum, nie mówiąc o przyzwoitości. Czas przegonić lisy z kurnika i nie ulegać medialnym naciskom. Czas najwyższy, żeby bankierzy również odpowiadali za swoje czyny. Na razie polskie państwo oraz jego instytucje zareagowały szybko i stanowczo, a polski system bankowy ma się świetnie. Zysk netto sektora bankowego w 2018 r. wyniesie ok. 15 mld zł, jego rentowność zaś jest jedną z najwyższych w Europie.

REKLAMA



67/1118/F

eprasa.pl ed099b4aa6

Oszczędzać prosto i skutecznie





Fot. Shutterstock | 457018/F

PPK są perspektywicznym rozwiązaniem, mającym na celu mobilizację rodaków do długoterminowego oszczędzania, które realistycznie widzi cel: gromadzenie środków na emeryturę

W 2017 r. rząd przyjął Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, której ważną częścią jest Program Budowy Kapitału. Jednym z jego filarów będą Pracownicze Plany Kapitałowe, które po podpisie prezydenta złożonym pod ustawą 19 listopada stały się oficjalnie instrumentem bezpiecznego oszczędzania.

Nie będzie zapewne brakowało Polaków mających zastrzeżenia do „łagodnego przymusu", z jakim będzie się łączyć oszczędzanie w ramach PPK (sprowadzające się w istocie do automatycznego zapisania do planu każdej osoby płac, z możliwością rezygnacji z uczestnictwa). To rozwiązanie nie byłoby niezbędne, gdyby m.in. system emerytalny wprowadzony w 1999 r. był mądrze nadzorowany i modyfikowany, a nie demontowany; gdyby udział Polaków w jednej z trzech wcześniejszych form dobrowolnego oszczędzania w ramach tzw. III filaru (Pracowniczych Programów Emerytalnych, Indywidualnych Kont Emerytalnych czy Indywidualnych Kont Zabezpieczenia Emerytalnego) był znacznie bardziej aktywny. Tymczasem tylko niecałe 12 proc. pracujących obywateli zdecydowało się korzystać z takich produktów finansowych.

KTO I KIEDY

Do PPK pierwsi uczestnicy zostaną włączeni 1 lipca 2019 r. Do 2021 r. nowa forma oszczędzania obejmie wszystkich pracowników podlegających obowiązkowym ubezpieczeniom emerytalnym i rentowym (w wieku 18–55 lat). Będą to m.in. osoby fizyczne, które ukończyły 18. rok życia i są zatrudnione na umowę o pracę, a także ci, którzy wykonują pracę na podstawie umowy agencyjnej lub umowy-zlecenia albo innej umowy o świadczenie usług, do której zgodnie z art. 750 Kodeksu cywilnego stosuje się przepisy dotyczące zlecenia. Do tych osób należy również zaliczyć tych, którzy wykonują pracę nakładczą, o których mowa w przepisach wykonawczych wydanych na podstawie art. 303 § 1 Kodeksu pracy, także członków rolniczych spółdzielni produkcyjnych i spółdzielni kółek rolniczych, o których mowa w art. 138 i 180 Prawa spółdzielczego.

Jak wynika z ustawy o Pracowniczych Planach Kapitałowych, zatrudniający we współpracy z wybraną instytucją finansową utworzy dla każdego pracownika indywidualny rachunek PPK. Będzie on zasilany przez comiesięczne wpłaty z trzech źródeł. Pierwsze będzie pochodzić od samego zatrudnionego. Do tego dojdą pieniądze wpłacane przez jego pracodawcę. Państwo przekaże na konto PPK jednorazową wpłatę powitalną oraz regularne roczne dopłaty.

Zakład pracy, w porozumieniu z zakładową organizacją związkową działającą i reprezentującą załogę, wybierze instytucję finansową, z którą zostanie zawarta umowa o zarządzanie PPK. Wyboru będzie można dokonać na podstawie analizy historycznej efektywności zarządzania kapitałami, czasu działalności na rynku, wiedzy eksperckiej etc.

Ustawodawca określił precyzyjnie, jaka instytucja będzie mogła zarządzać oszczędnościami uczestników

eprasa.pl ed099b4aa6

planów kapitałowych. Mogą to być jedynie Towarzystwa Funduszy Inwestycyjnych, Fundusze Emerytalne zarządzane przez Powszechne Towarzystwa Emerytalne, Pracownicze Towarzystwa Emerytalne, Zakłady Ubezpieczeń, które mają co najmniej trzyletnie doświadczenie w zarządzaniu funduszami inwestycyjnymi typu otwartego, a w przypadku towarzystw ubezpieczeń na życie – co najmniej trzyletnie doświadczenie w prowadzeniu ubezpieczeń z ubezpieczeniowym funduszem kapitałowym (UFK), oraz dysponują odpowiednią ofertą subfunduszy. Kapitał własny firmy zarządzającej (a w przypadku TUnŻ środki własne) muszą wynosić co najmniej 25 mln zł, w tym 10 mln zł w środkach płynnych.

KOLEGIALNE DECYZJE

Jeżeli w firmie nie ma organizacji związkowej (co jest mało prawdopodobne, ponieważ na pierwszy ogień idą zakłady zatrudniające powyżej 250 osób), w porozumieniu z reprezentacją pracowników zostanie wybrana instytucja finansowa, z którą zostanie zawarta umowa o zarządzanie aktywami planów kapitałowych.

Podejmowanie decyzji inwestycyjnych zostało przez ustawodawcę scedowane na ekspertów. Gromadzone na rachunkach PPK pieniądze będą inwestowane w fundusze inwestycyjne, tzw. fundusze zdefiniowanej daty (FZD). Każda instytucja finansowa, która zdecyduje się oferować PPK, będzie miała obowiązek utworzyć Fundusze Zdefiniowanej Daty.

Ważne! Każdy uczestnik zostanie automatycznie przypisany do określonego FZD w zależności od daty urodzenia.

Polityka inwestycyjna Funduszy Zdefiniowanej Daty ma być dostosowywana do wieku uczestnika, aby minimalizować ryzyko spadku wartości portfela przed osiągnięciem przez uczestnika ustawowego wieku emerytalnego, tj. 60 lat (im młodszy uczestnik, tym ryzykowniejsze lokowanie pieniędzy, a tym samym szansa na większy zysk, ale też stratę). Na przykład: osoba urodzona w 1970 r. zostanie automatycznie zapisana do funduszu, którego cykl zakończy się w 2030 r., ponieważ w tym czasie ubezpieczony osiągnie wiek emerytalny, itp.

Wartości inwestycyjne portfela uczestnika PPK

Polityka inwestycyjna instytucji zarządzających PPK w zależności od wieku uczestnika	Część udziałowa (w proc.)	Część dłużna (w proc.)
Od utworzenia funduszu do 20 lat przed 60. r.ż. uczestnika	60–80	20–40
20 lat przed 60. r.ż. uczestnika	40–70	30–60
10 lat przed 60. r.ż. uczestnika	25–50	50–75
5 lat przed 60. r.ż. uczestnika	10–30	70–90
Osiągnięcie 60. r.ż.	Maks. 15	Min. 85

Źródło: PFR

WYWAŻONA POLITYKA INWESTYCYJNA

Podmiot zarządzający aktywami uczestników będzie miał obowiązek utworzenia pięciu funduszy o zróżnicowanej polityce inwestycyjnej, a tym samym ryzyku. Dotyczy to wszystkich środków, które znajdują się na rejestrze uczestnika (składek, dopłat rocznych).

I tak:

- część udziałowa funduszy to inwestycje m.in. w akcje, prawa poboru czy tytuły uczestnictwa instytucji wspólnego inwestowania, które lokują co najmniej 75 proc. aktywów w instrumenty udziałowe;
- część dłużna to aktywa inwestowane w papiery o charakterze dłużnym, np. obligacje, bony skarbowe, listy zastawne, certyfikaty depozytowe lub inne zbywalne instrumenty wartościowe.

Fundusze zdefiniowanej daty będą mogły inwestować aktywa uczestników PPK za granicą. Co najmniej 20 proc. aktywów netto części udziałowej mogą stanowić akcje zagranicznych spółek notowane w krajach OECD. Jednocześnie łączna wartość takich lokat nie może przekroczyć 30 proc. aktywów FZD. Jak wynika z ustawy, pieniądze uczestników planów kapitałowych mogą również zostać ulokowane w fundusze nieruchomości czy fundusze venture capital (inwestycje w przedsiębiorstwa niepubliczne będące we wczesnej fazie rozwoju). Łączna wartość takich inwestycji nie może przekroczyć 10 proc. aktywów netto FZD.

W zależności od wieku uczestnika stosunek części udziałowej do dłużnej będzie się zmieniał: im młodszy uczestnik PPK, tym większa będzie część udziałowa jego portfela (patrz tabela).

Warto pamiętać, że uczestnik PPK może złożyć wniosek o zmianę na inny fundusz niż właściwy dla jego wieku. Osoby o dużej tolerancji ryzyka mogą być zainteresowane wysokim udziałem akcji w ich portfelu, również gdy będą starsze. Natomiast młodsi pracownicy mogą chcieć zaoszczędzić na wkład własny w związku z planem zaciągnięcia kredytu mieszkaniowego.

Gdy porównamy zaproponowaną przez ustawodawcę politykę inwestycyjną zarządzających aktywami otwartych funduszy emerytalnych (OFE) z propozycją dotyczącą inwestowania aktywów PPK, to zauważymy znaczne ograniczenia mające na celu zapewnienie należytego poziomu bezpieczeństwa finansowego posiadaczy planów kapitałowych. O tego typu rozwiązanie, tj. subfundusze o zróżnicowanej polityce inwestycyjnej w zależności od wieku członka OFE, władze powszechnych towarzystw emerytalnych ubiegały się przez lata. Nie doczekały się takiej korekty systemu emerytalnego z 1999 r. Odpowiedzią rządu PO-PSL był demontaż systemu i transfer części obligacyjnej (dłużnej) portfela członków OFE do ZUS, na pokrycie wypłat bieżących emerytur.

Obecny rząd ma w związku z tym niełatwe zadanie: odbudować nadszarpnięte zaufanie i przekonać Polaków, że tym razem żadna władza nie zabierze ich oszczędności emerytalnych.

Małgorzata Dygas

Za tydzień kolejny odcinek cyklu o PPK jako nowej formie oszczędzania długoterminowego

eprasa.pl ed099b4aa6



Bezzałogowce polskiej produkcji

Bezzałogowe statki powietrzne nazywane potocznie dronami odgrywają coraz bardziej istotną rolę na współczesnym polu walki. Szczególne znaczenie mają w realizacji zadań rozpoznawczych. Umożliwiają osiągnięcie przewagi informacyjnej bez jednoczesnego narażania zdrowia i życia ludzi

Nic zatem dziwnego, że wszystkie ważniejsze armie świata w ostatnich latach stawiają na wykorzystanie i rozwój tego rodzaju sprzętu. Segment systemów bezzałogowych statków powietrznych ma zarazem coraz większe znaczenie dla przemysłu obronnego. Swoje kompetencje w tej dziedzinie rozwinęły czołowe koncerny zbrojeniowe świata. Do tego grona dołącza także Polska Grupa Zbrojeniowa, oferując w pełni nowoczesne rozwiązania, które są już wykorzystywane przez Siły Zbrojne RP.

ROZPOZNANIE LOTNICZE

1 maja 1960 r. nad terytorium Związku Radzieckiego zestrzelony został amerykański samolot zwiadowczy U-2. Pilotujący go kapitan Gary Powers cudem uszedł z życiem, ale został schwytany i oskarżony przez Sowietów o szpiegostwo. Sprawa stała się przyczyną poważnego kryzysu na linii USA–ZSRS. W październiku 1962 r. inny amerykański pilot został zestrzelony i zginął podczas lotu zwiadowczego nad Kubą. Doświadczenia te wpłynęły na decyzję o rozpoczęciu przez USA programu

eprasa.pl ed099b4aa6



budowy bezzałogowych statków powietrznych, których głównym celem było prowadzenie misji rozpoznania powietrznego nad obszarami szczególnego ryzyka.

Bezzałogowe statki powietrzne zostały użyte przez Amerykanów w wojnie wietnamskiej i przez armię Izraela podczas konfliktów w latach 70. i 80. XX w. Poza rozpoznaniem służyły także zakłócaniu stacji radiolokacyjnych przeciwnika, wykrywaniu celów powietrznych oraz naprowadzaniu rakiet przeciwlotniczych. Od czasu wojny w Zatoce Perskiej w 1991 r. bezzałogowce różnych rodzajów wykorzystywane były w niemal każdym ważniejszym konflikcie zbrojnym.

Urządzenia tego typu dzielą się na wiele klas i kategorii w zależności od wielkości, masy, maksymalnego pułapu i długości lotu. Najpotężniejsze bezzałogowce, jak RQ-4 Global Hawk, mogą lecieć bez tankowania i lądowania nawet przez ponad 24 godziny. Po odpowiednim zaprogramowaniu samoloty te mogą wykonywać zadania bez udziału operatora. Niektóre typy BSP, jak choćby MQ-1 Predator czy nowszy MQ-9 Reaper, poza funkcjami rozpoznawczymi mogą realizować również misje uderzeniowe, ponieważ są wyposażone w pociski rakietowe zdolne razić cele naziemne i nawodne oraz kierowane laserowo bomby.

POLSKA MYŚL TECHNICZNA

W listopadzie 2016 r. Polska Grupa Zbrojeniowa zainaugurowała działalność Centrum Kompetencyjnego Systemów Bezzałogowych Statków Powietrznych w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 2 SA w Bydgoszczy. Centrum realizuje prace nad innowacyjnymi systemami BSP na poziomie Grupy Kapitałowej PGZ.

W ramach programu „Orlik" konsorcjum PGZ (składające się z PGZ SA, WZL-2 oraz PIT-RADWAR) oferuje Siłom Zbrojnym RP zaprojektowany od podstaw w Polsce system PGZ-19R. Jest to system bezzałogowych statków powietrznych krótkiego zasięgu służący do długotrwałego prowadzenia rozpoznania obrazowego na rozległym obszarze, w różnych warunkach terenowych, klimatycznych, w dzień i w nocy.

OBSERWACJA W CZASIE RZECZYWISTYM

Głównymi elementami systemu są bezzałogowe statki powietrzne o napędzie spalinowym lub hybrydowym oraz naziemna stacja kontroli. Elementem integrującym te dwa komponenty jest system łączności i przesyłania danych w oparciu o naziemny terminal danych. Naziemna stacja kontroli pozwala operatorowi na zdalne sterowanie BSP oraz zarządzanie ładunkiem użytecznym (czyli np. sterowaniem kamerami i innymi czujnikami). System PGZ-19R został zaprojektowany jako całkowicie niezależny od infrastruktury naziemnej (lotnisk). Charakteryzuje się dużą mobilnością. Naziemna stacja kontroli i wóz logistyczny zostały zbudowane na bazie 15-stopowych kontenerów umieszczonych na samochodach wysokiej mobilności. Z kolei naziemny terminal danych i wyrzutnia pneumatyczna zabudowane są na przyczepach ciągniętych przez te samochody. Mobilna konfiguracja zestawu umożliwia jego transport drogą lądową, morską lub lotniczą.

Maksymalna masa startowa BSP wynosi 90 kg, a udźwig – 20 kg. Ładunek użyteczny stanowi głowica optoelektroniczna składająca się z kamery dziennej, kamery na podczerwień, dalmierza laserowego i laserowego wskaźnika celu. Ponadto PGZ-19R wyposażony jest w szczelinowy radar SAR o bardzo wysokiej rozdzielczości. Bezzałogowiec może przebywać w powietrzu do 12 godzin na wysokości do 5 tys. m. Lądowanie odbywa się w sposób klasyczny lub za pomocą spadochronu.

ROZWIJANIE TECHNOLOGII

Poza PGZ 19-R Polska Grupa Zbrojeniowa dysponuje rozwiązaniami w zakresie miniaturowych bezzałogowców, wśród których wymienić można: NeoX o masie startowej do 11 kg i zasięgu łączności do 30 km, a także jeszcze mniejsze wirnikowce z rodziny AtraX, które oprócz zastosowań militarnych mogą być również przydatne dla użytkowników cywilnych.

Polska Grupa Zbrojeniowa rozważa złożenie MON koncepcji rozwoju i produkcji systemu bezzałogowych statków powietrznych średniego zasięgu w ramach programu „Gryf". Jednocześnie kontynuowane są prace badawczo-rozwojowe w zakresie lekkich BSP na potrzeby służb mundurowych i rynku cywilnego.

eprasa.pl ed099b4aa6



Zbliżają się mikołajki, każdy z nas myśli o tym, jaki prezent dostanie tego dnia. Przygotowaliśmy dla was, drodzy czytelnicy, kilka propozycji, a nuż okażą się pomocne?



Laptop Hiro 950

Coś dla gracza. Hiro, polska marka komputerów i akcesoriów dla graczy, wprowadza do swojej oferty nową serię laptopów Hiro 950. W połączeniu z procesorami z rodziny Intel Core ósmej generacji seria 950 będzie doskonałym wyborem pod kątem przenośnego komputera do zastosowań profesjonalnych. W najnowszej serii laptopów Hiro zastosowano także dwa banki pamięci DDR4, obsługujące aż do 32 GB danych, aby wspierać płynną obsługę nawet najbardziej wymagających gier czy aplikacji. Możliwość zainstalowania dysku SSD o pojemności aż do 2 TB za pośrednictwem złącza M.2 sprawia, że przepływ danych będzie aż pięciokrotnie szybszy w porównaniu ze zwykłym dyskiem SSD. Laptop wyposażony został także w komplet niezbędnych portów (USB 2.0, USB 3.0 USB 3.0 Type – C, HDMI, Mini Display, wyjścia audio, gniazdo zasilania itp.). Wszystko zamknięto w smukłej obudowie o wymiarach 380 x 252 x 186 mm i wadze niespełna 2 kg. Laptopy dostępne są w wielu różnych konfiguracjach sprzętowych.

Cena: od 6640 zł



Ferguson PHT2-10

Coś do oglądania. Telewizor, który można zabrać z sobą, gdyż mieści się w kieszeni (większej kieszeni)? Ferguson PHT2-10 to przenośny, niewielki, bogaty w funkcje i akcesoria telewizor. Dzięki dołączonej aktywnej antenie i ładowarce samochodowej programy są dostępne dosłownie wszędzie. Ferguson PHT2-10 dzięki pojemnym ogniwom może długo wyświetlać wysokiej jakości obraz telewizyjny lub odtwarzać pliki filmowe (także z napisami). Po podłączeniu pendrive'a lub napędu zewnętrznego umożliwia również zapis oglądanych audycji telewizyjnych (funkcja PVR) – a więc można nie tylko oglądać, lecz także zapisać na później swoje ulubione programy.

Cena: 399 zł

Sunroad FR 712A

Coś do mierzenia czasu i nie tylko. Ten model zegarka sportowego za niewygórowaną sumę oferuje bardzo wiele funkcji i możliwości: wysokościomierz, barometr, termometr, prognozowanie pogody oraz mierzenie czasu. Przyda się również ze swoimi funkcjami osobom wędkującym.

Cena: ok. 190 zł



Plantronics RIG 300 i RIG 400 PRO



Coś na uszy. Był laptop dla graczy, to nie może zabraknąć słuchawek! Plantronics zaprezentował nowe słuchawki gamingowe: RIG 300 Series i RIG 400 PRO HC. Seria RIG 300 została zaprojektowana z myślą o najmłodszych graczach i ich rodzicach. Jest dostępna dla platform takich jak: Xbox One (HX), PlayStation (HS), Universal (HC) i PC. Słuchawki charakteryzują się modułową, trwałą konstrukcją z otwartymi muszlami, które są lekkie i zapewniają komfort nawet podczas wielogodzinnych rozgrywek. Model RIG 400 PRO HC jest unowocześnioną wersją RIG 400. Ich główną zaletą jest RIG Game Audio Dial, czyli sposób regulacji głośności za pomocą pokrętła, które można umieścić w gnieździe Jack 3,5 mm.

Cena: od 169 zł

eprasa.pl ed099b4aa6



Sony XF83 i XF70

Coś do oglądania, ale nie do kieszeni. Firma Sony wprowadziła dwie serie telewizorów 4K HDR. Modele XF83, wyposażone w wydajny procesor 4K HDR X1, to propozycja dla osób oczekujących wysokiej jakości obrazu na dużym ekranie: 60- lub 70-calowym. W telewizorach tych wykorzystano wiele technologii, które zwiększają realizm kolorystyki i kontrastów, ograniczają szumy i zakłócenia oraz wyostrzają, optymalizują i interpolują obraz, by wydobyć z niego dodatkowe szczegóły. Obsługa zaawansowanych komend głosowych i platforma Android TV™ zapewniają błyskawiczny dostęp do filmów, programów telewizyjnych i tysięcy aplikacji. Telewizory 4K HDR XF83 mogą również służyć do gier, a miłośnikom kina i seriali pozwalają czerpać z zasobów takich serwisów jak Google Play, Netflix, Amazon Prime Video czy YouTube. Ekran otoczony jest wąską ramką, a pomysłowo zaprojektowana podstawa pozwala ukryć i rozprowadzić wszystkie przewody. Telewizory 4K HDR z serii XF70 są oferowane w czterech wersjach rozmiarowych (43, 49, 55 i 65 cali), dostosowanych do różnych wielkości i aranżacji domowych wnętrz. XF70 ma wbudowaną przeglądarkę internetową i doskonale nadaje się do oglądania seriali oraz filmów przesyłanych strumieniowo z popularnych serwisów, w tym Netflixa i YouTube'a, które można włączyć jednym przyciskiem.

Cena: od ok. 3 tys. zł

Vordon 7" Truck



Coś do samochodu. Nawigacja Vordon 7" Truck najlepiej sprawdzi się w ciężarówkach oraz w autokarach i dużych busach. Wielki ekran LCD o przekątnej 7 cali zapewnia doskonałą czytelność map. W pamięci nawigacji Vordon 7" Truck zainstalowany został zestaw szczegółowych map całej Europy z dożywotnią darmową ich aktualizacją. Nie zabrakło także bazy stałych fotoradarów. Dzięki temu, że Vordon 7" Truck jest w pełni odblokowany, bardziej zaawansowani użytkownicy mogą doinstalować inne systemu nawigacyjne, takie jak AutoMapa, iGO czy TomTom. Urządzenie ma też złącze Bluetooth, które pozwala na wykorzystanie nawigacji jako zestawu głośnomówiącego.

Cena: 429 zł



Polaroid OneStep 2 i-Type Camera

Coś do robienia zdjęć. I to jak najbardziej klasycznie, a przy okazji, zgodnie z powracającą modą na tego typu aparaty. Tym bardziej że mamy do czynienia z marką Polaroid. OneStep 2 i-Type Camera wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać klasyczny aparat do fotografii natychmiastowej, zgodnie z kanonami lat 70. i 80. XX w. Co tu dużo pisać: legenda wróciła i jest bardzo... mile widziana. To może być całkiem udany prezent.

Cena: ok. 500 zł

Odtwarzacz Blu-ray 4K HDR Sony UBP-X500



Coś do oglądania. Firma Sony wprowadziła do sprzedaży nowy odtwarzacz Blu-ray 4K HDR: UBP-X500. Możliwości modelu X500 nie ograniczają się do odtwarzania płyt Blu-ray 4K Ultra HD – urządzenie odtworzy film i muzykę z niemal każdego nośnika, jak Blu-ray, DVD i SACD, i obsłuży większość cyfrowych formatów audio i wideo, w tym dźwięk o wysokiej rozdzielczości. By zapewnić szczegółowy obraz także przy oglądaniu nagrań o mniejszej rozdzielczości, odtwarzacz UBP-X500 dokonuje zaawansowanej interpolacji każdego oglądanego materiału do rozdzielczości 4K. Nowy odtwarzacz jest łatwy w obsłudze. Dla wygody użytkownika ma funkcję superszybkiego uruchamiania oraz automatyczny tryb czuwania. Przeglądanie i wybieranie dostępnych materiałów ułatwia także przejrzysty układ elementów sterujących na niedużym pilocie.

Cena: ok. 800 zł

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl ed099b4aa6

IWONA CICHOSZ MISS ŚWIATA GŁUCHYCH 2016

Mam fioła na punkcie... czosnku i cebuli

Maryna Ruszczyc, którą gram w serialu „Leśniczówka", doskonale zna leśne i polne rośliny. Z pokrzywy potrafi zrobić nie tylko napar, lecz również zupę i sałatkę. Ja niestety tego nie umiem, jestem bardziej dziewczyną z miasta [śmiech], ale u babci na działce piłam napary z mięty i pokrzyw.

Dzięki serialowi poznałam nowe zapachy, bo moja bohaterka ma zielarnię, w której wiszą pachnące pęki. Czasem między zdjęciami podchodzę do nich i je wącham.

Uwielbiam zupę grzybową i pierogi z jagodami. Minionego lata wyjątkowo dużo ich jadłam, nie tylko dzięki leśnemu serialowi [śmiech].

W czasie wakacyjnych wędrówek – zarówno dalszych, jak i bliższych – staram się poznawać nowe miejsca poprzez lokalne potrawy. Odkrywanie smaków jest najlepszą częścią podróży! Do tej pory najmocniej zapamiętałam smaki kuchni arabskiej – w Jordanie, Palestynie i Egipcie, oraz meksykańską kuchnię w Teksasie i Kalifornii. Najlepsze taco jadłam w przyczepie, w której dania serwowali Meksykanie. Magia!

W tym roku odwiedziłam Lizbonę. Będzie mi się kojarzyć m.in. z królewskimi krewetkami podanymi z sosem czosnkowym. Mam fioła na punkcie czosnku i cebuli [śmiech].



Pokochałam też portugalskie wina, szczególnie z regionu Douro.

Z kolei najlepsze w smaku łososie są w Norwegii. Mama mojego narzeczonego piecze tak pysznego łososia, że prawie wszystko zjadam [śmiech].

Dość późno zaczęłam sama gotować. Miałam 18 lat, kiedy wyprowadziłam się z domu, i od początku w kuchni improwizowałam. Różne były tego efekty, ale nie przerywałam prób. Przygotowywanie potraw wciąż traktuję jako artystyczne działanie naszych kubków smakowych, rezultat pobudzania wyobraźni. Zamiast trzymać się sztywno receptury, wolę wychodzić poza nią, dodawać, próbować. Z tego, co pamiętam, pierwszą w pełni udaną potrawą, jaką przygotowałam, był kurczak w sosie słodko-kwaśnym.

W mojej rodzinie wszyscy sobie w kuchni radzą, ale prawdziwym mistrzem, jeśli chodzi o obiadowe improwizacje, był mój tata. Natomiast w klasycznych polskich wypiekach i potrawach wygrywała babcia. Z dzieciństwem, rodzinnym domem kojarzą mi się ciasto murzynek, pierogi ruskie i gofry – babcia robi najlepsze!

Moje smaki powodują, że rzuciłabym wszystko, by skosztować dania, które je wydobywają, bo ja niestety kocham jeść [śmiech].

Notowała ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*

Fot. Gałązka/AKPA



Omlet z jajek z awokado z pikantnym sosem pomidorowym

(dla dwóch osób)

Cztery jajka rozbić i roztrzepać, żeby żółtka zmieszały się z białkiem. Awokado obrać i pokroić w małe kostki. Zblendować soczystego pomidorka z dwoma ząbkami czosnku, dodać zioła (bazylia, majeranek, oregano) oraz sól i pieprz według uznania.

Na patelnię można wrzucić dowolne warzywa i poddusić – ja dodaję najczęściej krojoną cebulkę i paprykę. Podsmażam do miękkości i na to rozlewam jajka. Całość smażę na małym ogniu. Kiedy omlet będzie gotowy, dzielę go na pół i kładę na talerzach. Na wierzch dodaję pokrojone awokado i na końcu polewam sosem pomidorowym. Smacznego. I uprzedzam, że może być ostro! [śmiech]

eprasa.pl ed099b4aa6

SŁODKO-SŁONY

Owoce popołudniowe

ANNA MONICKA

Gdy w czasach mojego dzieciństwa dopływał statek z cytrusami do polskich portów, wszyscy stawali w blokach startowych, gotowi na pierwszy strzał, by rzucić się do kolejki. Nikt się nie przejmował, czy były pryskane i czym, zjadało się wszystko, pestki wtykało do ziemi, w nadziei, że wyrosną, a skórkę smażyło w cukrze. Była pyszna, trochę szczypała w język, choć ja akurat najbardziej lubiłam pachnący, bursztynowy syrop. Teraz strach ją wykorzystywać, bo owoce są zlane chemikaliami, a od samego obierania można dostać bąbli na rękach. Trzeba je więc szorować szczotką i ludwikiem, moczyć w wodzie z sodą, a potem w wodzie z octem, wyparzać – przepisów na wyssanie toksyn jest sporo. Po tych wszystkich ablucjach skórka z cytrusa jest już całkowicie pozbawiona olejków eterycznych i nie nadaje się nawet do odstraszania kota od kwiatków.

Pojawiły się za to owoce południowe, które wcześniej mogliśmy oglądać tylko na obrazkach: liczi, miechunki peruwiańskie, kiwano, karambola, pitahaja, rambutan, kumkwat...

Moim odkryciem są karambola i chińska śliwka – liczi. Obie doskonale wypadają w sałatkach owocowych, jako dodatek do galaretek z bitą śmietaną czy napojów wyskokowych na szampanie, albo kwaskowata dekoracja delikatnych białych mięs takich jak pieczony indyk.

Bogate w witaminę C liczi, pokrojone w ćwiartki, wymieszane z ananasem, kiwi, mango i gruszkami – to bomba witaminowa i wspaniałe zwieńczenie jesiennych przyjęć. Plasterki karamboli przypominają pięcioramienną gwiazdę – można je podać wraz z ciastami w czasie bożonarodzeniowej kolacji. Tarta czekoladowa, piernik polany czekoladą lub lukrem i udekorowany złotymi plastrami – trudno o lepszy akcent na świątecznym stole. Z karambolą jest tylko jeden problem – ma dużo szczawianów, podobnie jak rabarbar, więc nie należy z nią przesadzać.

Miechunki wyglądają uroczo – jak papierowe lampioniki ze złotą kulką w środku. Zajadali się nimi już Inkowie. Delikatne słodko-kwaśne owoce podkreślają smak wszelkich sałatek owocowych, ale też sałat podawanych do mięs. Spróbujcie mieszanki rukoli z roszponką i ćwiartkami rodzynków brazylijskich – oryginalny i smak, i wygląd, a do tego mnóstwo witamin: C, D i tych z grupy B.





Wieczerza i gwiazdy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Od tysięcy lat gwiazdy są punktem orientacyjnym nawigacji w przestrzeni i w czasie. Za trzy tygodnie od dziś świecąca na wieczornym niebie gwiazda wyznaczy koniec Adwentu i da sygnał do rozpoczęcia wigilijnej wieczerzy, przenosząc spożywanie posiłku w bożonarodzeniowy wymiar.

Wydaje się, że nie ma rzeczy bardziej stałych niż gwiazdy. Oczywiście widzimy, że z wyjątkiem Gwiazdy Polarnej wykonują każdej nocy pozorny ruch wynikający z ruchu obrotowego Ziemi. Nie widzimy jednak, że gwiazdy wykonują także tzw. ruch własny; skala czasowa ruchu własnego jest dla naszych oczu zbyt wielka – zmiana kształtu gwiazdozbioru Lwa, na tyle wyraźna, żeby dostrzegły ją ludzkie oczy, nastąpi za 100 tys. lat.

Cykliczne zmiany osi ziemskiej wywołują zjawisko zwane precesją gwiazd. Okres trwania całego cyklu, po którym oś obrotu Ziemi i gwiazdy wracają do punktu wyjścia, nazywany jest rokiem platońskim, trwającym 26 tys. lat. Konsekwencje precesji są doniosłe i bardzo interesujące. Sprawia ona, że to, co na niebie wydaje się nam najbardziej stałym punktem, czyli Gwiazda Polarna, wcale takim punktem nie jest. W rzeczywistości zmienia nie tylko swoje położenie. Na przykład teraz Gwiazda Polarna nie jest położona idealnie na biegunie północnym nieba – najbliżej niego znajdzie się 24 marca 2100 r. A później zacznie się od niego oddalać.

Wraz z upływem roku platońskiego „podmianie" ulega również gwiazda, która wskazuje północ: obecnie jest to Alfa Ursae Minoris w dyszlu Małego Wozu. W czasach kiedy zakończyło się zlodowacenie, a nasi przodkowie zamienili koczownicze obozowiska na stałe osady, funkcję Gwiazdy Polarnej pełniła Tau Herculis z konstelacji Herkulesa. Później były Thuban, Kochab; kiedyś Gwiazdą Polarną ludzie będą nazywać Gamma Cephei, Alderamin, Wegę, aż w końcu cykl się zamknie i rozpocznie na nowo.

Ciekawym zagadnieniem pozostaje także to, która z gwiazd będzie tą pierwszą w dniu Wigilii. Wyprzedzi je planeta Wenus na zachodnim nieboskłonie. Zaraz potem, również na zachodzie, pojawi się Wega z gwiazdozbioru Lutni, a na wschodzie Capella z Woźnicy. Podczas adwentowego oczekiwania możemy już próbować ich wypatrywać na nocnym, jesiennym niebie.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl ed099b4aa6

Proporczyki na biurkach

PIOTR SKWIECIŃSKI

Rządowa instytucja zatrudnia do prowadzenia panelu opozycyjną dziennikarkę. Ważny człowiek w państwowej administracji nie waha się powiedzieć komuś, kogo kojarzy z partią rządzącą, że ktoś inny jest „nie najgorszy jak na nominata PiS". Podobne sygnały zaczynają płynąć z różnych zakamarków sfery publicznej.

Zastrzeżmy – żaden z przytoczonych wyżej faktów sam w sobie mnie nie martwi, bo jestem przeciwnikiem wojny polsko-polskiej. Nie mam więc nic przeciw zatrudnieniu owej damy czy swobodzie wyrażania krytycznej oceny zasobu kadrowego partii rządzącej. Ale polityczny sens tych drobnych wydarzeń nie polega na deeskalacji konfliktu. Ten sens zawiera się w konstatacji, że jeszcze miesiąc temu nic takiego by się nie zdarzyło. Takie, już bynajmniej nieodosobnione, sygnały świadczą, że, mówiąc najkrócej, potencjał strachu przed rządzącymi wśród tych, którzy ze względów zawodowych są od nich uzależnieni, maleje. Podobnie jak przekonanie, że jednoznaczne skojarzenie się z obecną władzą jest na pewno dobrą inwestycją.

Mówiąc obrazowo – Polska pokrywa się proporczykami neutralności, wystawianymi na rozmaite biurka przez siedzących za nimi ludzi.

Jest to efekt kilku procesów i wydarzeń, ale według mnie najistotniejsze było tu wycofanie się strony rządowej z konfliktu w sprawie Sądu Najwyższego. Cofnięcie się politycznie niezbędne i słuszne. Ale zarazem destrukcyjne w sensie wpływu na morale obozu i – szerzej – w ogóle, jeśli chodzi o PR władzy. Bo wpisujące się w długi już ciąg rozmaitych wycofań, razem pozbawiających rządzących nimbu może brutalnej, ale skuteczności. I dotyczące sprawy dla rządzących fundamentalnie ważnej, strategicznie niemal najistotniejszej, co oni sami tak wyraźnie wielokrotnie deklarowali, że komunikat ów musiał dotrzeć do chyba wszystkich Polaków.

Destrukcyjny efekt takiego obrotu rzeczy jest oczywisty. A wcale nie musiało go być, bo nie było żadnej konieczności wejścia w ten konflikt. Można bowiem skutecznie rządzić i zmieniać Polskę przy braku życzliwości większości składu Sądu Najwyższego; PiS samo to udowodniło przez ostatnie trzy lata. Reakcja elit unijnych i kontrolowanych przez nie instytucji na to, co w ich oczach jest osłabianiem niezależności polskiego sądownictwa, była w momencie, kiedy zaczynano brnąć w tę wojenkę, już przewidywalna. To znaczy przewidywalna była zawsze, ale to, co działo się w sprawie pokrewnej, czyli Trybunału Konstytucyjnego, powinno nawet największym optymistom (a także decydentom, najbardziej nawet emocjonalnie wrogim środowiskom prawniczym) empirycznie unaocznić, że na kompromis wyznawców „unijnej religii" z polską herezją liczyć nie można. Cóż, uznano, że lepiej spróbować zdobyć wszystko, niż ograniczyć własne cele, by skutecznie realizować skromniejszy plan.



Cofnięcie się w sprawie Sądu Najwyższego przynosi destrukcyjne skutki. Było to nieuniknione. Ale wcale nie było konieczności rozpoczynania tego konfliktu

I skończyło się tak, jak się skończyło, czyli źle. Bo przy tym poziomie nienawiści, jaki rządzący budzą w mniejszościowej, ale sporej części społeczeństwa, zwłaszcza tej związanej z elitami III RP, przejście liczącego się odsetka tych, którzy dotąd czy to z przekonania, czy to ze strachu byli po stronie władzy, albo przynajmniej starali się robić takie wrażenie, na pozycje neutralności bardzo władzę osłabia. A to dlatego, że jest to zauważalne dla przeciwników, którzy, co naturalne, poczują się ośmieleni.

Realny układ sił w Polsce obrazuje bowiem dobrze historyjka zrelacjonowana przez tygodnik „Polityka". Oto Paweł, maturzysta z Dolnego Śląska, opowiada dziennikarce o swoich licealnych latach: „Pani od WOS była działaczką Amnesty International. Ogólnie super – jeśli tylko ktoś miał poglądy podobne do niej. Listy o uwolnienie więźniów sumienia pisaliśmy obowiązkowo – a jeśli ktoś nie empatyzował np. z Chelsea Manning, która ujawniła dokumenty amerykańskiego wywiadu serwisowi WikiLeaks, nauczycielka krzyczała na niego przy klasie. Krzyczała też na osoby, które sprzeciwiały się przyjmowaniu przez Polskę uchodźców".

Czy potrafimy wyobrazić sobie sytuację odwrotną? Raczej nie i wcale nie dlatego, żeby zwolennicy prawicy byli mniej impulsywni czy bardziej tolerancyjni od liberałów. Po prostu ci drudzy zawsze czuli się – i czują – w naszym kraju pewniej. Taka jest społeczna struktura III RP, którą zmiana nastrojów przed 2015 r. i będąca jej konsekwencją władza PiS zmieniła w niewielkim jedynie stopniu. Dziś zaś, kiedy z PiS zaczyna emanować słabość – a wycofanie się w sprawie, powtórzmy, ogłoszonej tak kluczową jak personalna zmiana w SN musiało przynieść ten efekt – owa prawidłowość po prostu musi się zacząć objawiać jeszcze intensywniej.

Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ed099b4aa6

Jego dom podpalili Niemcy



W prezencie na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości niemiecka kanclerz informuje, że Niemcy będą Polsce tę niepodległość odbierać

Dosyć już tej polskiej niepodległości! Dowodzona przez Niemcy Unia Europejska planuje jej likwidację. Sami mamy się suwerenności zrzec – tako rzecze Angela Merkel. Nie sądziłem, że to usłyszymy tak szybko, tak wyraźnie, szczerze i wprost wypowiedziane, i to przez Niemców. Niemal nazajutrz po hucznych obchodach 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości bundeskanzlerin Rzeszy Niemieckiej Narodu Europejskiego poinformowała nas, że już wystarczy. Teraz – oczywiście w należytym porządku, porządnie, jak to Niemcy potrafią – będziemy się „zrzekać" suwerenności, wolności, niepodległości, z której tak się infantylnie cieszyliśmy. Niemcy przywracają porządek w Europie. Czyli niemieckie rządy nad okolicznymi ludami, zwłaszcza na Wschodzie od Odry, gdzie na niemieckiej życiowej przestrzeni czasowo pomieszkują niedorozwinięte, dzikie plemiona.

Suwerenność to wedle słownika „zdolność do samodzielnego, niezależnego od innych podmiotów, sprawowania władzy politycznej [...], suwerenność państwa obejmuje niezależność w sprawach wewnętrznych i zewnętrznych". A niepodległość? „Niezależność państwa od formalnego i nieformalnego wpływu innych jednostek politycznych". Czym suwerenność różni się od niepodległości? Niczym. Zatem w prezencie na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości niemiecka kanclerz informuje, że Niemcy będą Polsce tę niepodległość odbierać.

Po to ponad 1 000 lat 40 pokoleń Polaków walczy, cierpi, ginie, zmaga się, by Polska mogła żyć, by niemieckie, krwawe i bezwzględne „parcie na Wschód" powstrzymać, po to świętowaliśmy 100-lecie wyzwolenia spod germańskiego i moskiewskiego jarzma, żeby teraz posłusznie oddać Niemcom władzę nad Polakami? Unijna machina prawna, gospodarcza i polityczna właśnie po to jest?

Bezczelność tej propozycji zapiera dech. Ale może komuś nie zapiera. To niech czyta. 6 grudnia 1942 r. oddział niemieckich żandarmów pod dowództwem oficerów Bruna i Biernera wkroczył do wsi Ciepielów Stary oraz Rekówka koło Radomia. Otoczył domy rodzin Kosiorów, Skoczylasów, Obuchiewiczów i Kowalskich. Za ukrywanie Żydów rodziny Kosiorów i Skoczylasów Niemcy zastrzelili, potem spalili. Rodziny Obuchiewiczów i Kowalskich spalili żywcem. 16-letnia Janka Kowalska wyskoczyła oknem z płonącego domu, Niemcy postrzelili ją, ściągnęli jej buty (porządne, z cholewkami, kilka dni wcześniej dostała je od ojca), po czym – jeszcze żywą – powlekli za warkocz i rzucili w płomienie. Spłonęli żywcem: Adam (47 lat) i Bronisława (40 lat) Kowalscy oraz ich dzieci: Janka (16 lat), Zosia (12 lat), Stefan (6 lat), Henio (4 lata), Tadzio (1 rok), oraz Piotr (56 lat) i Helena (35 lat) Obuchiewiczowie i ich dzieci: Władzio (6 lat), Zosia (4 lata), Janka (2 lata), i 7-miesięczny chłopiec. Sąsiedzi długo słyszeli krzyki płonących dzieci. Niemcy pilnowali, aż dom spłonął doszczętnie.

Ofiary mordu z rodziny Kosiorów to: Władysław (42 lata), Karolina (40 lat), Alek (18 lat), Tadek (16 lat), Władek (14 lat), Mietek (12 lat), Irena (10 lat), Adam (6 lat), Stanisław (40 lat), Zofia (40 lat), Janek (10 lat), Mietek (8 lat), Marian (4 lata), Teresa (2 lata). Ofiary z rodziny Skoczylasów to: Piotr (40 lat), Leokadia (12 lat), Marianna (70 lat). Dodatkową ofiarą była sąsiadka, 12-letnia Heńka Kordula, którą porządni Niemcy dodali, żeby liczba się zgadzała. Próbowała uciec przez okno, a gdy Niemiec wciągał ją z powrotem, zdołała krzyknąć: „Tatusiu, ratuj!". Biegnący na pomoc ojciec został przez Niemca uderzony kolbą w twarz.

Sytuacja powtórzyła się we wszystkich trzech miejscach. Niemcy postrzelili uciekające dzieci, po czym wrzucili je do płonących domów. Przed podpaleniem Niemcy starannie, porządnie domy Polaków obrabowali, wynosząc m.in. naczynia, zastawę, meble, zegary. Nikt z oddziału Bruna i Biernera nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Bo i za co? Przecież operację tę wykonali porządni Niemcy porządnie, zgodnie z niemieckim prawem, służąc niemieckiemu państwu.

Wiem, że dziwny ten felieton. Druga część jakby nie pasuje do pierwszej. Ale może jednak pasuje. Niemcy mówiący Polakom, że znowu chcą nimi rządzić, muszą mieć przed oczami swoje państwowe dokonania na polskiej ziemi.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl ed099b4aa6

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Nie z nami te numery



Niemiecka utopia znowu nie uwzględnia europejskich uwarunkowań, które wytworzyły przez lata, w długim historycznym procesie, europejskie narody

Nie minął nawet tydzień od wystąpienia kanclerz Niemiec Angeli Merkel w Strasburgu, gdzie ogłosiła potrzebę utworzenia europejskiej armii, a już pojawiają się kolejne niepokojące słowa. Wypowiedziane na konferencji poświęconej „globalizacji parlamentarnej i suwerenności narodowej" w Fundacji Konrada Adenauera, o tym, że „państwa narodowe muszą czy raczej powinny być gotowe oddać swoją suwerenność, w ramach ustalonej procedury". Angela Merkel broniła też paktu imigracyjnego ONZ, który Polska, USA oraz inne państwa odrzuciły, ale to jakby inna sprawa, chociaż oczywiste jest, że kraj, który oddaje suwerenność obecnej Unii Europejskiej, skazany jest na akceptację jej emigracyjnej polityki. W podobnym duchu przemawiał w Bundestagu prezydent Francji Emmanuel Macron: „Państwa narodowe powinny wspólnie decydować o swojej polityce zagranicznej, imigracyjnej i rozwojowej".

Mamy więc poważny problem, a objawił się nam równo w 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości, świętowanej wyjątkowo uroczyście przez olbrzymią większość polskiego społeczeństwa, poza oczywiście naszą kosmopolityczną targowicą. Unia „dwóch prędkości' przyspiesza. Niemcy i Francja domagają się Europy z własną armią, polityką zagraniczną i rządem, czyli Komisją Europejską, której komisarzy sami wyznaczą (Donald Tusk). W stosunku do Polski naciski te przejawiają się wspieraniem polskiej targowicy, organizacji Sorosa (Otwarty Dialog Kozłowskiej), które wspólnie z Komisją Europejską i innymi instytucjami Unii (TSUE) dążą do wymuszenia uległości ze strony obecnej władzy w Polsce wobec unijnych instytucji.

W swoim przemówieniu Merkel zawarła definicję europejskiego patriotyzmu, który według niej „jest wtedy, gdy inni są uwzględnieni w niemieckim interesie". Ergo, każde państwo narodowe, w którym spoiwem jest patriotyzm, może liczyć na wsparcie, o ile patriotyzm danego kraju nie kłóci się z niemieckim rozumieniem tego słowa. Polska, przystępując do Unii Europejskiej, zrezygnowała z części swojej suwerenności, o czym świadczą podpisane unijne traktaty. Niedawno pod presją „pierwszej prędkości" i targowickiej opozycji (ulica + wrogie media) Polska zrezygnowała z dochodzenia swoich praw zagwarantowanych w traktatach dających nam swobodę w kształtowaniu polityki sądownictwa. Dla świętego spokoju odstąpiono od kwestionowanych przez UE uregulowań ustawowych, tworząc nowe, dotyczące Sądu Najwyższego (w sprawie przywrócenia sędziów do pracy po osiągnięciu wieku emerytalnego). Zrobiono krok w tył, ale – jak widać – wkrótce to będzie zbyt mało w stosunku do deklaracji i oczekiwań kanclerz Merkel. Ma następować dalsze wyzbywanie się narodowej suwerenności, tak aby uwzględniało ono niemiecką rację stanu i niemieckie specyficzne pojmowanie europejskiego patriotyzmu. Na naszych oczach tworzy się kolejna europejska utopia, której ideologicznym autorem znowu są Niemcy, a Francja jest biernym wspomagającym (no bo to Francja).

Niemiecki patriotyzm, o ile w ogóle zaistniał, pojawił się po zwycięstwie Niemiec nad Francją w 1871 r. i polegał na utworzeniu za sprawą Ottona von Bismarcka II Rzeszy Niemieckiej cesarza Wilhelma I, zresztą jego krewnego. Wkrótce ten niby-patriotyzm przekształcił się w zaborczy nacjonalizm, aby za Hitlera, twórcy ideologii nazistowskiej (skrót od NSDAP), osiągnąć swoje najwyższe zbrodnicze stadium, czyli szowinizm, rasizm i Holokaust. Hitlerowcy, podbijając narody Europy, mieli na celu – jak głosiła ich propaganda – budowanie jedności Europy, a „europejskość" podnoszono do najwyższych cnót, dlatego odmówiono tej cechy Polakom, bo nie tylko nie przyłączyli się do Drang nach Osten, lecz również postanowili zbrojnie stawić opór zbrodniczej wizji zdominowania Europy przez Niemcy. Niemiecka utopia znowu nie uwzględnia w najmniejszym nawet stopniu europejskich uwarunkowań, które wytworzyły przez lata, w długim historycznym procesie, europejskie narody.

Kanclerz Merkel chce europejskiej armii, tzn. likwidacji NATO (choć delikatnie zaprzecza), wyrzeczenia się suwerenności na rzecz niemieckiego suwerena, zaniku państw narodowych poprzez masową islamizację Europy, chce powrotu, po raz kolejny w historii Niemiec, do nowej niemieckiej wizji Europy – Das neue Europa.

Jeszcze mataczy, kombinuje, sonduje i uspokaja, że będzie zachowany w tym procesie udział narodowych parlamentów, ale – jak mówi Ewangelia – „[...] bo z obfitości serca mówią jego usta" (Łuk 6,45). Nie miejmy złudzeń, Niemcy to nadal to samo państwo niemieckie. Amerykańska okupacja po II wojnie światowej umożliwiła im odbudowę i dała dobrobyt, ale czy republikańskie pojmowanie wolności?

A Polska to wciąż suwerenne państwo z dumnym tysiącletnim narodem. Nie z nami te numery, pani kanclerz Merkel.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl ed099b4aa6

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Ociec, prać?!

Pan jest albo głupi, albo bardzo zadufany w sobie – usłyszałem od jednego z medialnych mędrków, gdy jasne się stało, że będę miał proces z medialnym kolosem Ringier Axel Springer. Nie wnikam w zawiłości materii procesowej, bo nie wypada mi wykorzystywać felietonowej formuły do prowadzenia swojej walki.

W tym wypadku interesuje mnie świadomość tzw. elity medialnego światka w Warszawie. Ona uważa procesowanie się z Niemcami za rzecz z góry przegraną i skazaną na śmieszność. Tak z grubsza wygląda świadomość dobrowolnego niewolnika. Równemu sobie w statusie dokopie, a na wyższego spogląda z mieszaniną uniżonego dystansu i szczurzej żebraniny o lepszy kąsek.



Witold Gadowski

Żyjemy w czasach, gdy to nie dorobek i mądrość stanowią przepustkę do elity, takim biletem stał się rozgłos. Wystarczy być sławnym i już otacza na nas nimb autorytetu, który może się wypowiadać na każdy temat i o każdej porze.

Media stały się dziś wręcz fermami, tuczarniami – hoduje się na nich celebrytów jak naszpikowane sterydami kurczaki. Taki celebryta nasiąka karmą i zwykle ma za zadanie odezwać się we wskazanym przez hodowcę momencie oraz wywołać stosowne do intencji hodowcy zamieszanie.

Przez Polskę przetoczyła się sponsorowana m.in. przez Niemców kampania przeciwko hodowli zwierząt futerkowych. Ja chciałbym, aby powstały wreszcie organizacje, które – nawet w myśl zasad realnej ekologii myślenia – przeciwstawiają się klatkowej hodowli autorytetów i celebrysiów.

Nie lubię przebywać w tzw. dziennikarskim światku, bo tam droga kropelkową rozsiewanych jest wiele nieprzyjemnych schorzeń charakteru i umysłu: konfirmoza praktyczna, karieroza bezskrupulna, świniowatość pospolita, a także rzeżączka mentalna i syfilis mózgowy.

Ludzie, którzy mają być oczami na świat przeciętnego obywatela, strażnikami lamp, stróżami spraw z gruntu trudnych, są w istocie mali, niekształtni i tępi.

Z władzą nie jest lepiej. Od wielu lat rządzą nami ludzie albo o mentalności komiwojażerów i kamerdynerów, albo zakompleksionych niedouków. Wynikają z tego same biedy. Leje nas, kto chce, i nie trzeba wiele animuszu, aby teraz publicznie obsobaczyć Polskę oraz zmusić ją do ustępstw.

Dopóki nie wydoroślejąprawdziwie polskie elity, dopóty ktoś nie dostanie mocno w zęby za obrażanie Polski... Ot, rzeczy proste.

Genderowy atak

Po katastrofie smoleńskiej „sformatowałem się" (jako twórca) na patriotyczno-historyczny przekaz. Cóż, po 1989 r. dałem się zwieść koncesjonowanej, okrągłostołowej „wolności" i trochę odpuściłem. W tym czasie popkulturę (zwłaszcza piosenkę, teatr i film) zdominowała antypolska narracja. Grozi to szybkim wynarodowieniem, demoralizacją młodego pokolenia Polaków. Zacząłem sukcesywnie nagrywać płyty z premierowymi balladami (o Pileckim, „Roju", „Ince", o polskiej historii) i wrzucać je za darmo do internetu. Taka prywatna misja. Zarówno młodzież, jak i nauczyciele (także akademiccy) docenili edukacyjny charakter tej szlachetnie pojmowanej rozrywki. Dziś na bazie moich ballad młodzi internauci tworzą własne covery i filmiki, a pedagodzy wykorzystują je na zajęciach z historii, religii, na lekcjach wychowawczych. Wrażliwe wpisy pod utworami cieszą; to nadaje sens mojej pracy.



Lech Makowiecki

Zauważyło to (niestety!) środowisko „GW". Piekło medialne, jakie rozpętano w małym Sycowie po prezentacji podczas lekcji w gimnazjum ballady „Rok 966" (to historia polskich zwycięstw w pigułce i diagnoza współczesnych zagrożeń), zakrawa na lincz na biednej nauczycielce! Jednej z matek (wspieranej mocno przez środowisko LGBT) nie spodobała się krytyka ideologii gender zawarta w tym utworze. Jeśli inicjatorzy „tęczowych piątków" w szkołach przezywają mnie bezkarnie faszystą, rasistą czy moherem, to w ramach przysługującej mi wolności słowa mogę chyba (unikając wszelako wulgaryzmów) podjąć z nimi adekwatną polemikę. Mam nadzieję, że „ludzi dobrej woli jest więcej" i nie pozwolą zaszczuć patriotycznej „Siłaczki" z Sycowa. Liczę tu przede wszystkim na presję odpowiedzialnych rodziców; MEN musi otrzymać od was klarowny komunikat!

PS Edukacja dzieci i młodzieży nie musi być nudna. Jako stary belfer (uczyłem przez jakiś czas w szkole) z chęcią podpowiem resortowi edukacji kilka „patentów". O ile ministerialni urzędnicy zechcą mnie wysłuchać...

eprasa.pl ed099b4aa6

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Palę Paryż



Aleksander Nalaskowski

Oczywiście tytuł felietonu to zapożyczenie z tytułu książki Brunona Jasieńskiego z 1929 r. Ale o tym później. Teraz chwilka wspomnień. Pod koniec lat 60. moje starsze rodzeństwo słuchało na prywatkach (teraz to domówki) piosenki w wykonaniu Joego Dassina „Aux Champs-Élysées". To był absolutny hicior! Radosna, pełna słońca piosenka o kultowej ulicy Paryża, beztroskim spacerze i napotkanej miłości. Gdzieś przemknął wtedy filmik (taki ówczesny teledysk), na którym piosenkarz w towarzystwie długonogich blondynek snuje się po słynnej ulicy. U nas wtedy było tuż po Marcu '68. Siermiężny okres gomułkowszczyzny, najbardziej przaśny i najniebezpieczniejszy okres lat 60. Jacyś natolińczycy i puławianie żarli się o władzę, a naród stał w kolejkach po ochłap „rzucony na rynek". Kilka lat wcześniej wykonano wyrok śmierci za nadużycia w tzw. aferze mięsnej. Z mównicy partyjnej prostackim językiem wyklinano pisarzy, wyrzucano Polaków pochodzenia żydowskiego. Zarówno komunistów, byłych ubeków, jak i katolików, szlachetnych ludzi oraz dobrych pracowników. W dobrostanie żyli dawni mordercy sądowi, którzy posłali przez ścieżkę tortur na śmierć setki bohaterów wojny.

W 1967 r. cała Polska czciła Lenina i półwiecze „socjalistycznej rewolucji", która z socjalizmem miała tyle wspólnego, ile Trocki z miłosierdziem. Władza ludowa, czyli banda hołoty nasłanej z Kominternu, próbowała „milenijnie" zatuszować prawdziwe, chrześcijańskie korzenie państwa polskiego. W 1968 r., podczas dożynek z udziałem chamów u władzy, aktu samospalenia dokonał Ryszard Siwiec, patriota, z którego próbowano uczynić obłąkanego. Zdobycie samodzielnego mieszkania graniczyło z cudem. A jeśli już się udało, to pięcioosobowa rodzina otrzymywała przydział lokalu na 30 m2. Pomarańcze i cytryny były do kupienia po odstaniu wielu godzin w gigantycznej kolejce, ale tylko w okresie świątecznym. Ci, którzy przyjeżdżali zza żelaznej kurtyny, opowiadali jakieś bajki o mięsie bez kolejki, pomarańczach tańszych niż jabłka i mieszkaniach od ręki.

To właśnie wtedy Joe Dassin w niewyobrażalnie pięknym i wolnym Paryżu spacerował w modnych, rozkloszowanych dżinsach i skórzanej kurtce po Champs-Élysées. Dla nas był to absolutny kosmos, jakaś baśń. To było w innym świecie i nikt nie był pewny, czy aby nie w jakimś równoległym czasie. Tu za sprawą Kliszków, Cyrankiewiczów, Kociołków, Gomułków, Moczarów i innych szubrawców umierała nadzieja na normalne, polskie życie (wiem, wiem – polskość to skazanie na nienormalność). A tam gdzieś „chłopcy wyglądający jak dziewczyny" (tak pisano o Beatlesach) śpiewali to, czego w polskich stacjach radiowych niemal nie można było usłyszeć. Tutaj aktyw robotniczy tłukł czym popadło studentów, a tam Joe Dassin spacerował po rozświetlonej ulicy Paryża. Ci, którym udało się pojechać z wycieczką do Pragi czy Berlina Wschodniego, długo byli gwiazdami urodzin i spotkań. Ci, którzy byli w Paryżu, pozostawali nimi na zawsze. Czyż można było do tego nie tęsknić?

W imię paru eurocentów za litr benzyny spalić Paryż, tłuc ludzi pałami, wylewać na ulicę hektolitry wody?

Oglądałem ostatnie relacje z Paryża. Champs-Élysées dewastowane przez samych Francuzów. Już nie przez jakichś emigrantów z Afryki czy Azji, ale przez Francuzów. Fala zniszczenia, brutalność policji, bezradność Macrona, zdewastowane urządzenia uliczne, kafejki, sklepy. Już nie trzeba komunistycznej międzynarodówki od Jasieńskiego, aby Paryż upokorzyć i zniszczyć. Do tego wystarczą sami Francuzi. W tych dniach nikt normalny nie poszedłby na spacer na Champs-Élysées. Tam z obu stron cuchnie Marksem, Marcusem i Cohn-Benditem. To odór, który od lat wisi smogiem nad Francją. Nie wiem, kto w tym obecnym sporze ma rację. Mam w nosie francuskie podatki i gry polityczne. Ale żal mi Stolicy Świata, bo jest ona własnością nie tylko Francuzów. Tak jak nie jest naszą wyłączną własnością Kraków, a Anglików Londyn. To dziedzictwo europejskiej kultury, chrześcijaństwa i wszystkiego, co w nas kiedyś było najlepsze. W imię paru eurocentów za litr benzyny spalić Paryż, tłuc ludzi pałami, wylewać na ulicę hektolitry wody?

Tak jak kiedyś tęskniłem do tamtej Europy, w której popularny piosenkarz beztrosko śpiewał i codziennie mógł jeść pomarańcze, tak teraz wolę się przed nią bronić. Wolę doceniać porzekadło „My home is my castle". Z Francji i z Paryża wziąłem już wszystko, co najcenniejsze, i niczego innego nie chcę. A zwłaszcza tamtejszej ogólnoeuropejskiej pawany do jakiejś niewyobrażalnej przepaści. I mojego Torunia nie dam spalić.

49/0818/F

eprasa.pl ed099b4aa6

PRZEZ ŚWIETLIK

Surfer Balcerowicz



Wiktor Świetlik

Jakiś czas temu spotkałem jednego z byłych podwładnych Leszka Balcerowicza, który – głównie na podstawie lektury Twittera – uważał, że pan profesor na skutek nadmiernego fascynowania się polityką zatracił resztki kontaktu z rzeczywistością. Diagnoza ta oparta była na tym, że w twitterowych wpisach agresja zdecydowanie wiodła prym nad jakimkolwiek rozsądkiem. Było to – dowodził kolega – cokolwiek dziwne jak na faceta, który ma ambicje, by stanowić ważny punkt odniesienia do historycznych debat nad transformacją, postkomunizmem i tym podobnymi sprawami.

Ci, którzy się załapali, mogą kochać Balcerowicza; większość, która dostała po tyłku, może go nie znosić, ale dlaczego siwy profesor po SGPiS posługuje się stylem godnym posła Szczerby? Może i faktycznie jest to jakaś forma infantylizmu wtórnego, która sprawia, że choćby na spotkaniu w moich rodzinnych Pabianicach porównywał profesorów popierających PiS do naukowców pracujących dla Hitlera. Ale chyba jednak jest w tym coś więcej. Leszek Balcerowicz dostosował się po prostu do czasów. Nie po raz pierwszy w życiu zresztą. W końcu rzekomym liberałem nie został po karierze wśród chicagowskich uczniów Friedmana ani jakichś wiedeńskich potomków von Hayeka, ale w zupełnie innych kręgach. I nie chodzi o sławiących wolny rynek na polskim gruncie już w latach 70. Kisiela czy Korwina. No więc pan profesor znowu jest na tej fali, na której najlepiej surfują – bez względu na koszulki partyjne – ci, którzy osiągnęli idealną harmonię demagogii, agresji i hipokryzji. Na fali, po której gładko przemieszczają się tacy mistrzowie jak Bartłomiej Sienkiewicz od budki pod ambasadą, bez mrugnięcia okiem stwierdzający, że „w cywilizacji zachodniej nie wybacza się zamachu na niezależne media".

Metoda okazuje się skuteczna. Choćby za najważniejszą wypowiedź listopada, bo szczególnie wytłuszczoną, pismo „Forbes" uznało krótkie stwierdzenie wzmiankowanego Leszka Balcerowicza: „To jest pogarda dla ludzi". Jak dowiadujemy się z „biznesowego" miesięcznika, już z odredakcyjnego komentarza: „Decyzja (podjęta »za pięć dwunasty«) spowodowała chaos w wielu firmach i instytucjach. Koszty poniepodległościowego fajrantu ocenia się na kilka miliardów złotych".

Niestety ani szacowne pismo, ani jeszcze bardziej szacowny profesor nie raczyli opisać, na czym oparli to wyliczenie, więc musimy uwierzyć na słowo. Polacy są drugą nacją Europy, jeśli chodzi o liczbę przepracowywanych godzin. Ze względu na przepracowanie ta liczba nie przechodzi w jakość, czyli efektywność. Swego czasu wprowadzono wolne w dniu święta, które dowcipnie spopularyzował Ryszard Petru, wychowanek Balcerowicza, i też miały być wielkie straty dla gospodarki. Kraje zachodnie nie boją się rozmaitych świąt ani „bank holidays", bo uważają, że w okresie prosperity sprawiają one, iż ludzie puszczają w tym czasie pieniądze w obrót i napędzają gospodarkę. Podróżują, chodzą do restauracji, kin, nawet gdy Tesco i Lidl zamknięte. Ale Leszek Balcerowicz i „Forbes" wiedzą lepiej.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



25 lat
KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt połączenia wg taryfy operatora)

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl ed099b4aa6



Eufonie i nowe oblicze współczesnej duchowości

JAN POSPIESZALSKI

Z niekłamaną satysfakcją odnotowuję pojawienie się w polskim pejzażu muzycznym (mam nadzieję trwałego) zjawiska, jakim jest i – myślę – będzie festiwal Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej „Eufonie".

Jednym z ważniejszych wydarzeń festiwalu był monograficzny koncert muzyki Arvo Pärta z udziałem samego mistrza. Na zaproszenie organizatorów, a dokładnie ministra Jarosława Sellina, do Warszawy przyjechał wybitny kompozytor, a z nim Estoński Filharmoniczny Chór Kameralny i Orkiestra Kameralna z Tallina. Bodaj nigdy tak dojmująco nie odczułem prawidłowości, że termin kultura pochodzi od słowa kult. Muzyka Arvo Pärta prześwietlona jest transcendencją i do transcendencji kieruje. Sam Arvo, leciwy już twórca (rocznik 1935), na co dzień bardzo skromny, wyciszony i skupiony, podczas warszawskiego koncertu, wyjątkowo, jak twierdzą ci, którzy go znają, promieniował witalną radością. Kompozytor podczas koncertu przyjął z rąk ministra Sellina złoty medal Gloria Artis. Dziękując, bardzo ożywiony i uśmiechnięty wspominał swój pierwszy pobyt w Warszawie przed 40 laty. Mówił o swoim udziale w festiwalu Warszawska Jesień, o spotkaniu z Polakami, o tym, jak wielką rolę w artystycznej drodze twórcy z dawnej sowieckiej republiki odegrał kontakt z muzyką polską.

Niezwykłe to przeżycie móc uczestniczyć w koncercie, gdy na widowni obecny jest tej rangi kompozytor. Wyczuwalne było to zarówno w reakcjach publiczności, jak i w wykonaniach orkiestry i chóru.

Ekscytującym faktem był także udział dyrygenta Tõnu Kaljuste, laureata Nagrody Grammy (2014). Kaljuste, profesor Akademii Muzyki i Teatru w Tallinie, należy dziś do najwybitniejszych w świecie dyrygentów orkiestrowych i chóralnych, ale też najlepszych ekspertów od chóralistyki w ogóle. W stosunkowo kameralnym wnętrzu, jakim jest Galeria Porczyńskich, publiczność i muzycy są z sobą praktycznie na wyciągnięcie ręki. Daje to wrażenie bardzo intensywnego wysycenia przestrzeni dźwiękiem, pozwalała czuć się, jakby w samym środku wykonywanego dzieła. Tym samym każdy gest dyrygenta odnosił się również do nas, pozwalał podążać za zmianami dynamiki, ekspresji i natężenia dźwięku.

Program koncertu składał się w większości z utworów sakralnych, choć właściwie wszystko, co tworzy Arvo Pärt, ma tę niezwykłą zdolność przenoszenia słuchacza w wyższy, metafizyczny plan. Znajomość liturgicznych tekstów pozwalała wtajemniczonym śledzić zwroty partytury ilustrujące święte teksty – „Salve Regina" czy „Te Deum". Zwieńczenie koncertu dziękczynnym hymnem stanowiło wymowne nawiązanie do setnej rocznicy odzyskania niepodległości, bo przecież pierwszy festiwal Eufonie odbywa się właśnie w ramach jubileuszowych obchodów. Choć historia Polski i historia Estonii potoczyły się inaczej, to jednak rok 1918 dla obu naszych narodów oznaczał niepodległość.

Tym wszystkim, którzy dziś narzekają, że obchody setnej rocznicy nie zostawiają po sobie trwałych śladów (jak choćby w postaci wymarzonego przez Janka Pietrzaka triumfalnego łuku czy inauguracji Muzeum Historii Polski), można pokazać właśnie ten festiwal. Warszawskie Eufonie są oryginalnym w skali Europy przeglądem muzyki tworzonej w krajach naszego regionu, w państwach o podobnej historii, położonych między wielkimi muzycznymi potęgami: Rosją i Niemcami. Choć wpływy Wschodu i Zachodu były tu bardzo silne – od Finlandii do Rumunii – rozkwitała tu oryginalna muzyczna kultura. Wielcy kompozytorzy, jak Jan Sibelius w Finlandii, Bedřich Smetana w Pradze, Węgier Zoltán Kodály czy George Enescu w Rumunii, zanim ukształtowała się w 1918 r. powojenna Europa, tworzyli dzieła przesycone narodowym i niepodległościowym duchem, czerpiąc z rodzimego folkloru, nadając swym dziełom programowe tytuły: „Finalandia", „Wełtawa", „Rapsodia rumuńska". W tym nurcie pisał też Paderewski, a potem dołączył najwybitniejszy polski kompozytor tamtej epoki – Karol Szymanowski. Eufonie, jak widać na przykładzie koncertu Arvo Pärta, to wspaniała okazja nie tylko, by pokazać bogactwo i piękno muzyki serca Europy, lecz także, by budować ściślejsze relacje muzycznych środowisk, artystów, twórców, ludzi kultury. Nikt za nas tego nie zrobi, a Polska do takiej misji ma wszelkie potrzebne atuty.

eprasa.pl ed099b4aa6

Trudna rola doradcy



Jerzy Jachowicz

– Witam serdecznie pana ministra. Płaszczyk?

– Nie, nie. Dziękuję.

– Pozwoliłem sobie zamówić ustronny stolik w salce dla VIP-ów. Mam nadzieję, że to nie przeszkadza panu ministrowi.

– Ależ skąd. Doskonale.

– Jak miło słyszeć takie słowa z ust pana ministra. Jestem tym doradcą poleconym przez przewodniczącego sejmowej komisji „Sprawne państwo". Nazywam się Jerzy Jachowicz. To moja wizytówka. Mogę nawet zostawić panu ministrowi na stałe... To taki żart na początek, żeby nam się miło rozmawiało przy lunchu.

– Niezłe, niezłe. Też lubię luźną atmosferę. Wie pan, jak to jest na moim stanowisku. Rzadko mogę się czuć trochę swobodniej.

– Przy mnie spoko. Nawiasem mówiąc, pan minister pewnie wie, że szefem firmy konsultingowo-handlowej Strong, w której pracuję, jest daleki kuzyn przewodniczącego komisji. Ale żadnych bliskich związków nie utrzymują od ponad 20 lat. Właściwie to nic nieznacząca okoliczność. Jeśli idzie o mnie, od wielu lat specjalizuję się w sprawach podatkowo-ekonomicznych, stąd moja obecność wspierająca przewodniczącego komisji.

– Wiem o pana roli.

– Chcę się pochwalić, że jesteśmy największym importerem telefonów komórkowych w Europie. Ogromną ich część sprzedajemy do wielu innych krajów. À propos, co ja widzę, panie ministrze. Pan posługuje się jakimś archaicznym modelem zgranej już w świecie cyfrowym Pandy 4. Proponuję panu ministrowi od nas w leasing Nostrę S6 o niebiańskiej akustyce i obrazie ostrym jak żyletka Gillette.

– Zastanowię się.

– Dla pełnej jasności dodam, że nowym działem, który powoli rozszerzamy, jest import luksusowych limuzyn. Ważnym klientom udostępniamy je również w leasing. Naszym komfortowym Lexusem w leasingu jeździ od roku teściowa prezydenta rodzinnego miasta pana ministra. Jeszcze rok i gablota stanie się jej własnością. Po znacznie obniżonej cenie. Nie widzę przeszkód...

– Rozumiem, rozumiem.

– Panie ministrze. Jesteśmy po pierwszym toaście. Czy nie powinniśmy przejść na ty? Cieszę się... Jestem Jurek...

– Sławomir, Sławek...

CO MNIE ZASMUCA

Były prezydent Wałęsa



Katarzyna Łaniewska

Nie, dzisiejszego felietonu nie poświęcę byłemu prezydentowi, panu Wałęsie, szkoda mojego czasu i szkoda oczu czytelników do takiej lektury.

Chcę napisać o tzw. niezależności i niezawisłości polskich sądów na przykładzie prowadzenia przez panią sędzię rozprawy z udziałem Jarosława Kaczyńskiego i Lecha Wałęsy. Tu jak na dłoni były widoczne „niezawisłość", „niezależność" „wielka kultura" i „takt" prowadzenia rozprawy.

Widziałam pana premiera Jarosława Kaczyńskiego, który oskarżał pana Wałęsę o szkalowanie, jakoby to on był odpowiedzialny za katastrofę samolotu 10 kwietnia 2010 r. Przesłuchiwany w sposób nieludzki i nietaktowny pytany był o rzeczy, o które nie powinien być pytany. Czy odczuwa przygnębienie do tej pory, że jego brat umarł?

Wałęsa twierdził, że to Jarosław Kaczyński przez telefon naciskał, by prezydent wydał dyspozycję, aby lądować, mimo mgły i złych warunków. Powiedział, że nie musi dawać żadnych przykładów, bo wiadomo, jak złymi ludźmi są bracia Kaczyńscy. Twierdził, że ich dobrze zna, że przygarnął ich do swojej kancelarii, a gdy zobaczył, co robią, to ich wyrzucił. I dlatego szkalują go teraz, że donosił. Powiedział też, że już nie będzie więcej odpowiadał na pytania, bo nie chce. Pani sędzia w przymilny sposób odrzekła, że rozumie. To był jasny przykład, jak sędziowie są uwikłani w politykę.

Nie mówię już o koszulce z napisem „Konstytucja", w której przyszedł Lech Wałęsa na sprawę. Rozpinał marynarkę, by było widać napis.

Ta sprawa wyglądała na proces pana Kaczyńskiego. Odwracano kota ogonem w sprawie, która ciągnie się od lat. Ważne jest tylko to, by dokopać, dowalić i dosunąć PiS. Na tym polega totalna opozycja. O tym świadczą odpowiedzi na pytania: „Nie, bo nie".

Ten proces ubliżał dobremu imieniu sądów. Możemy tylko się spodziewać, jaki będzie wyrok. Pan Wałęsa na pewno nie zawinił.

Musiałam wylać z siebie ten ból i żal. Tak nie może być dalej. Czy ta zgoda, o którą wszyscy prosili przed marszem, nie ma szans?

eprasa.pl ed099b4aa6

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Kasta się oczyszcza

Nasz wymiar niesprawiedliwości wszedł w nową fazę



Ryszard Makowski

Na początku lat 90. było ewidentne, że sądownictwo oraz przyległości należy przewietrzyć i pozbyć się komunistycznych złogów sięgających lat 50., jeśli nie osobiście, to rodzinnie. I wtedy wyszedł cały na biało prezes Sądu Najwyższego prof. Adam Strzembosz i obwieścił żądnej przemian gawiedzi, że środowisko sędziowskie oczyści się samo.

Mamy tego efekty. Etyka środowiskowa głosi, że podwędzenie 50 zł z lady na stacji benzynowej jest objawem roztargnienia przedstawiciela kasty, a przyznawanie roszczeń do nieruchomości osobom w wieku 128 lat też nie budzi zastrzeżeń.

Wygląda jednak na to, że chyba idzie nowe. Sędziowie sami postanowili pokazać, kto z nich się zupełnie nie nadaje, by orzekać z wokandy. Transmisja z rozprawy przeciwko Lechowi Wałęsie, oskarżonemu o zniesławienie Jarosława Kaczyńskiego, zrobiła więcej niż setki artykułów. Na sali sądowej trudno się było zorientować, kto jest pozwanym, a kto powodem. Nic dziwnego, pani sędzia fotografowała się w koszulce z napisem „Konstytucja", w identycznej był na sali Lech Wałęsa. Grupy prawników postanowiły ujawnić, że nie ma co liczyć na ich niezależność, i rzuciły się do publikowania zbiorowych fotek w trykotach „Konstytucja".

W ramach dumy zawodowej pewnie niedługo jakiś sędzia pójdzie coś podwędzić w supermarkecie w takiej koszulce. Z drugiej strony toga jest bardziej praktyczna, więcej się pod taki chałat zmieści towaru, a i immunitet z daleka widoczny.

eprasa.pl ed099b4aa6

Zawistowski prezentuje: Mars



Wycinki z przeszłości

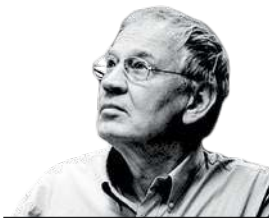
30 lat zaledwie żył i tworzył Artur Grottger, ale jego prace na zawsze wpisały się w narodową ikonografię. Plastyczny język, którym pokazał powstanie styczniowe, do dziś kształtuje narodową wyobraźnię. „Kuryer Literacko-Naukowy" z 12 grudnia 1927 r. tak oddawał mu hołd w przeddzień rocznicy śmierci (artysta umarł 13 grudnia 1867 r.):

„Chociaż artysta był z dala od miejsca rozgrywających się wypadków i to poprzedzających Powstanie Styczniowe 1863/4 r., jak i walk wówczas się toczących, to jednak siłą swego twórczego ducha, swej natchnionej wizyjności, stworzył te dzieła pełne realizmu i grozy, jako twór fantazji, syntezę wrażeń i nastrojów w indywidualnej szacie. Nikt tak dobitnie, tak realistycznie w swem epickiem ujęciu nie przedstawił tragizmu, nieszczęść i skutków wojny, jak to uczynił Grottger w cyklach trzech wielkich utworów. O ile pierwszy cykl »Wojna« posiada cechy ogólne, alegoryczne, o tyle następne dwa, to jest »Polonja« i »Lituanja« są obrazem martyrologii narodu polskiego, dramatu historycznego, jakim są dzieje powstania z 1863/4 r. Cykl cały maluje dramatyczne sceny zmagania się słabszego z przemocą, miłość i tragizm już nie tylko ojczyzny i rodaków, ale bliźniego i całej ludzkości".



(mk)

Podchodzi ku nam grudzień... (A.D. 2018)



Leszek Długosz

Na grudniową nutę dni znowu już śpiewają
Światło adwentu rozprasza mroki...
– Podchodzi ku nam grudzień
Ten miesiąc arcypolski

Dziecięco ufny radosny
– Z jodłą na saniach, na stołach z opłatkami
Skalany czas, zraniony
W kopalniach, w stoczniach na Wybrzeżu
– Ten grudzień nam tu przydarzony...
Zagazowany pod oknami
Z łomotem w drzwi, z psów ujadaniem
Z razami pałek, jak popadnie
– Ze strzałem, prosto w serce
Tragiczny polski grudzień
– Czołgiem nadjeżdża do własnego kraju

– Zimny, więzienny, postny
Skuty, stłumionym w krąg milczeniem
Z łzą gorzko przełykaną
Z niedośpiewaną nutą
Taki się stał nam tutaj

– I z własnej ręki tak
– Z serc i dusz upodlonych
Z sojuszu skundlonego
– Róży z chochołem pokumanej
I na wiek wieków, po kres pamiętania
Taki się on nad Wisłą nam ostanie

Splątany czas
– Miłości, nienawiści
– Nadziei, braku wiary?
Do zapomnienia kiedyś?
Do wybaczenia?
Bo nie mów, że do wyrównania...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl ed099b4aa6

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Władca Ziemi?

Kto pamięta numery telefonów do bliskich? Zaraz usłyszymy, że to przecież zbyteczne. Wystarczy pamiętać imiona (jeszcze są istotne), reszta jest w smartfonie.

Dziś tysiące urządzeń drobnych i dużych „myśli" za nas. Nawet w prozaicznych sprawach – np. w wielu miejscach automatycznie gasi i zapala „się" światło. Na czas wyłączy „się" płyta indukcyjna, na której gotujemy makaron, i nie trzeba go pilnować. Na razie trzeba naciskać guziki, ale już testuje się sterowanie sprzętami za pomocą myśli.

Niemal jak Matkę Naturę traktujemy otaczające nas inteligentne sprzęty. Zdobycze technologii mają nasz mózg odciążyć, automatyzować kolejne czynności, uczynić życie bezpieczniejszym i wygodniejszym, czyli szczęśliwszym. Takie jest chyba potoczne założenie.

Co w takim razie z tym miejscem w naszych mózgach, które powinno się „zwolnić" dzięki tak licznym odciążeniom i ułatwieniom? Naprawdę dzięki technice mamy teraz dodatkowe zasoby na głębinowe refleksje, szlifowanie charakteru, na poświęcenie uwagi dzieciom i bliskim? A dzieci tego pragną czy wolą „siedzieć" gdzieś w sieci?



NIC Z TEGO

Krytyczny stosunek do techniki zazwyczaj pojawia się wtedy, gdy uzmysławiamy sobie koszty, jakie za nasz rozwój płaci przyroda. Dzisiejszą techniką oddziałujemy na przyrodę tak znacząco, że mówi się o nadchodzącej katastrofie klimatycznej. Analizie uwarunkowań tej katastrofy poświęcono ogromne środki, niezliczoną ilość badań, konferencji naukowych, debat.

Troska o Ziemię – nasz wspólny dom – rzecz ważna i godna pochwały. Ale rozwijana na bazie naukowych odkryć technika dotkliwie wpływa nie tylko na świat przyrody. Robi to także z nami – samymi ludźmi.

NOWA SIŁA

Wiele wskazuje na to, że w ostatnich dekadach całkiem nowa jakość powstała dzięki badaniom nad mózgiem – czasem określa się je neuronauką. Ta dziedzina wiedzy korzysta z cyfrowych, zautomatyzowanych metod penetracji mózgu. Rozwój tych metod – np. komputerowego neuroobrazowania – umożliwił nie tylko głębsze niż kiedykolwiek w przeszłości poznawanie natury ludzkiej.

Ludzkość wkroczyła na niebezpieczną ścieżkę coraz szybszej technoewolucji. Coraz bardziej zdaje się ona prowadzić do unicestwienia człowieczeństwa

Okazało się, że nowoczesne metody badania mózgu przy okazji wystawiają nas na zupełnie nowego rodzaju pokusy. Już teraz umożliwiają one bowiem manipulowanie głębokimi procesami przebiegającymi w naszych umysłach. Można technicznie wyłączać i uruchamiać tę właściwość umysłu, jaką jest zdolność do przeżywania empatii, np. odczuwania cierpień innych osób. Wraz z postępem neuronauki oraz technologii genetycznych na porządku dziennym stanęło coś więcej niż tylko poznawanie i leczenie człowieka.

Realne stały się rzeczy do niedawna obecne tylko w powieściach science fiction: czytanie ludzkich myśli, sterowanie nimi, a także przebudowa dotychczasowego, niedoskonałego człowieka w coś bytowo nowego – np. hybrydę robo-człeka albo człeko-zwierza. Głoszone są trans- i posthumanizm, a także postulat wolności morfologicznej, tj. swobody wyboru nie tylko płci, lecz już niebawem np. formy zwierzopodobnej, posiadającej np. dodatkową rękę albo skrzydełka...

POD CZYIM ZWIERZCHNICTWEM?

W przypadku Ziemi, która miała być nam poddana (Rdz 1,28), jej zwierzchnikami mieliśmy być my, ludzie. A kto ma być zwierzchnikiem nas samych, gdy technika już pozwala, byśmy zhakowali swoją naturę? Jakimi zasadami, wartościami mielibyśmy się przy tym kierować?

O takich dylematach mówi wydana w 2015 r. książka „Samobójstwo Oświecenia? Jak neuronauka i nowe technologie pustoszą ludzki świat" (napisana przez Andrzeja Zybertowicza z zespołem). Takie problemy podejmują książki izraelskiego wybitnego myśliciela Yuvala Hararriego, w tym jego głośne dzieło „Homo deus".

Ludzkość wkroczyła na niebezpieczną ścieżkę coraz szybszej technoewolucji. Coraz bardziej zdaje się ona prowadzić do unicestwienia człowieczeństwa, czyli samego rdzenia ludzkiej natury, grożąc zamianą dotychczasowej ewolucji w technorewolucję. Technika nie tylko zwalnia nas z wysiłku myślenia. Niedługo możemy zostać zwolnieni z „obowiązku" istnienia pod swą postacią.

Kto zatem obecnie staje się władcą Ziemi?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 58/1118/F

eprasa.pl ed099b4aa6

GRUDZIEŃ

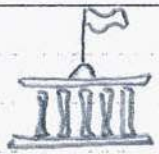
MOCNY TYDZIEŃ

Z TELEWIZJĄ WPOLSCE PL

3 Poniedziałek

17:05 BARDZO WAŻNA SPRAWA GORĄCA DYSKUSJA!!

4 Wtorek



22:00 SERIAL SŁUGA NARODU

5 Środa

13:05 PROSZĘ TO WYJAŚNIĆ

6 Czwartek



17:25 TYDZIEŃ JACKA I MICHAŁA KARNOWSKICH

7 Piątek

22:00 BEZ SPINY

IRONICZNIE O POLITYCE

8 Sobota



9 Niedziela



16:00 POWTÓRKA

21:00 POWTÓRKA

eprasa.pl ed099b4aa6

Lotteria Świąteczna

WYGRANE że HoHoHo!

Weź udział w loterii do 31 grudnia 2018 r.

Ponad 600 nagród do wygrania!



4x Toyota AYGO



28x 5000 zł



92x PREZENT JUBILERSKI 1000 zł



500x KARTA PRZEDPŁACONA 200 zł

Graj w punktach LOTTO

Zapoznaj się z regulaminem loterii na www.lotteriaswiateczna.pl. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Lotto | EUROJACKPOT | Ekstra Pensja | Multi Multi | Mini Lotto | KASKADA | Super Szansa | Zdrapki | KENO

eprasa.pl ed099b4aa6